

HAROLD ROBBINS

poleca



BLUE SKY



SAM STEWART

Bohater wojny wietnamskiej Burke Kelley po powrocie do Ameryki zyskuje sławę i pieniądze jako twórca jednej z najszybciej rozwijających się linii lotniczych. Sława i kobiety to jedna strona „miejsca na górze”; drugą jest zazarta walka z konkurencją, która nie przebiera w środkach. Gdy szczęście Kelleys się odwraca, musi postawić wszystko na jedną kartę, aby zwyciężyć w zaciętym wyścigu z czasem.

Harold Robbins, mistrz romansu sensacyjnego, wybrał tę książkę do polecanej przez siebie serii.

▲ Cena 11 zł

Sam Stewart

BLUE SKY

przełożyła
Katarzyna Chechlińska



Wydawnictwo

ALKAZAR

Warszawa 1995

Tytuł oryginału Blue Sky,

Pocket Books,

New York 1985

Copyright © 1985 by Pocket Books

This edition Copyright © 1995 by Wydawnictwo ALKAZAR

Projekt okładki

Maria Dylis

Ilustracja na okładce

Iwona Walaszek

ISBN 83-85784-36-5

Wydawnictwo filhazar

ul. Chmielna 89

00-805 Warszawa

tel. 26-67-94 w. 23

fax 664-41-79

Wydanie I,

Warszawa 1995

Skład i famanie: Argus A&Z

Druk i oprawa:

Drukarnia Narodowa

Kraków,

ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19

ROZDZIAŁ I

Kilkakrotnie spotykał tę kobietę w korytarzu. Ubrana była zawsze bez zarzutu. Nosiła pobrzękujące bransoletki, zegarek od Cartiera i błyszczącą obrączkę. Ostatniej nocy, którą spędził w Paryżu, odezwała się do niego.

– Więc? – zapytała. Stała bez ruchu w drzwiach swojego pokoju w hotelu „Crillon”. W wypięlegnowanej dłoni trzymała klucz.

Kelley wrócił właśnie z kolacji. Spojrzał na kobietę przeciągle, znacząco. Otaksował ją wzrokiem. Zawracać sobie głowę? – pomyślał. Dlaczego nie? Klucz od jego pokoju powędrował z powrotem do kieszeni.

Krótko, rzeczowo, bez czułości. Doskonale. Potem Kelley zapadł w głęboki, trwający trzy kwadransy, sen. Obudził się dręczony koszmarem.

– Cóż – powiedziała kobieta.

Wylądował na oblodzonym pasie lotniska w Newark piętnaście po jedenastej. Nie mógł oprzeć się chęci sprawdzenia,

jak wiedzie się jego rywalom. Pozwolił więc, aby samolot konkurencyjnej linii uniósł go ponad chmury. Zgodnie z przewidywaniami stwierdził, że przeciwnikom wiedzie się całkiem nieźle. Lot przebiegał sprawnie, bez zakłóceń. Zniżkowy bilet, kupiony w recepcji hotelu „Crillon”, kosztował czterysta czterdzieści dziewięć dolarów. Linia Blue Sky będzie mogła obsłużyć tę trasę za cenę o trzysta dolarów niższą. Początek w kwietniu. Może w kwietniu, jeśli szczęście dopisze.

Kelley bezustannie wierzył w szczęście. Nie był przesądny i nie liczył na opiekę anioła stróża czy dobrej gwiazdy. Był jedynie uważnym obserwatorem życia, a jego wiara sprawdziła się już zarówno podczas gry w kości, jak i za sterami samolotu. Człowiek robi to, co musi. Reszta zależy od szczęścia. Niezwykłe, ale prawdziwe.

Shczęście nie opuściło go także podczas odprawy celnej. Mógłby przecież trafić na takiego celnika jak ten w Chicago. To był prawdziwy zawodowiec. Ziemisty mały człowieczek, który spojrział na opaleniznę Kelleya i stempel graniczny z Genewy.

– Było się na nartach? – rzucił nienawistnie.

Sprawiał wrażenie, że wie wszystko o narciarzach, a zwłaszcza o takich, którzy paradują ze złotym rolexem i torbą od Marka Crossa; rozwydrzonych cudzołożnikach, bogatych próżniakach z mnóstwem pieniędzy zarobionych kupczeniem na wysokim poziomie. Sprawdził wszystko, wycisnął nawet odrobinę pasy do zębów.

Tym razem jednak, w Newark, celnik rozpoznał nazwisko Kelleya i sportowa torba ze świńskiej skóry pozostała nie tknięta. A właśnie za dzisiejszą zawartość torby można było

dostać dobre trzy do pięciu lat więzienia.

Pewnego razu Kelley odwiedził zakład dla nieletnich w północnej części stanu Nowy Jork. Na biurku kierownika umieszczono tabliczkę z napisem: TUTAJ ZATRZYMUJE SIĘ SZCZĘŚCIE.

Kelley zarzucił torbę na ramię i dał nurka w tłum. Kiedy przechodził przez terminale, miał wrażenie, jakby brodził po kolana w beczce pełnej błota. Wpłynęła na to niewątpliwie różnica czasu, szkocka whisky i, jak sam przyznawał, coś jeszcze. Coś o wiele bardziej groźnego i subtelnego – od bardzo długiego czasu nic nie brał. Na ruchomych schodach wiodących na półpiętro, wpadł na Heidiggera, nowego młodego pracownika, który jako jeden z nielicznych znał się na komputerach. Mówił, na przykład, komputerowi: „Nie wciskaj mi kitu” i dwadzieścia siedem podporządkowanych mu innych komputerów grzecznie wykonywało polecenie. „Nie wciskaj mi kitu”. Właśnie tak. Bardzo poważnym tonem.

– Bry, szefie. Wrócił pan – szepnął Heidigger.

Kelley nie odpowiedział, lecz starał się uśmiechnąć przyjaźnie. Pomyślał, że ten mały wygląda na onieśmiałego, a może zawstydzonego. Chciał mu powiedzieć, że życie jest krótkie i trzeba traktować je lekko.

– Będzie padał śnieg – oznajmił młodzieniec takim tonem, jakby zdradzał ogromny sekret.

– Spodziewam się – odparł Kelley.

– Pan McDermott chce pana widzieć, proszę pana.

– Tego także powinienem być się spodziewać.

– Poszedł do wyjścia, bo chciał pana spotkać, ale wydaje mi się, że nie spotkał.

– Tylko spokojnie – powiedział Kelley.

McDermott był dyrektorem finansowym firmy.

Pieniądze gwałtownie wymykały mu się z rąk, mimo że Kelley starał się zachować właściwą perspektywę: pieniądze to tylko pieniądze, a uganiecie się za nimi to trywialne zajęcie.

Znowu uświadomił sobie obecność młodego „czarodzieja komputerów” za plecami. Heidigger wyglądał na jeszcze bardziej zakłopotanego niż poprzednio. Pogwizdywał i mruczał, skupiając całą uwagę na gazecie, którą trzymał w ręku. Zwinął ją w ciasny rulon i traktował jak szpicrutę, którą energicznie okładał poręcz schodów.

– Czy coś się stało dziś rano? – spytał Kelley. – Albo inaczej: czy coś niespodziewanego stało się dziś rano?

Gdy dojechali do półpiętra i skierowali się w stronę ozdobnych drzwi, „cudowne dziecko informatyki” zaczęło przejawiać oznaki poważnego skupienia.

Młodzieniec dał susa naprzód, a Kelley, który nadal cierpliwie czekał na rodzącą się w bólach informację, został obdarowany gazetą.

– Wiem tylko o tym, co jest na stronie sześćdziesiątej trzeciej – rzucił Heidigger.

Kelley skinął głową w milczeniu. Heidigger otworzył przed nim drzwi do biura dykcji Linii Lotniczych Blue Sky i Kelley wszedł do środka. Nic się nie stało. Żadne niebo, błękitne czy inne, nie wpadło mu na głowę. Pokoje wypełniała znajoma kakofonia dźwięków; stukanie komputerów i dzwonki telefonów.

– Do Syracuse? Tak, proszę pana. Dwadzieścia sześć dolarów. Nie, nie żartuję, proszę pana. Taka jest cena. – Dziewczyna, która rozmawiała przez telefon, uśmiechnęła się do Kelleya. – Naprawdę nie żartuję, proszę pana.

Kelley przesunął wzrokiem po sali podzielonej na małe boksy wyposażone w komputery. Trzystu operatorów odpowiadało na telefony, rezerwowało bilety i potwierdzało rezerwację. To był jego pomysł, jego system. Wszystkie operacje dotyczące rezerwacji skupione zostały w jednym miejscu. Żadnych więcej stoisk i biur w terminalach czy w mieście. Dlatego właśnie mógł zaoferować pasażerom tak niską cenę biletów.

Przeszedł wzdłuż korytarza obwieszzonego plakatami reklamowymi. ODLEĆ Z NAMI PRZED DŁUGAMI, PRZYJACIELE NA SPECJALNĄ OKAZJĘ i najlepszy z nich – WSZYSTKIE DZIECI BOGA MAJĄ SKRZYDŁA. Rosetti przejawiał tu pełnię swego reklamowego talentu.

Drzwi do gabinetu George'a McDermotta stały otworem, lecz ku zadowoleniu Kelleya pokój był pusty. Dzięki Bogu. Kelley nie pałał nadmierną chęcią ujrzenia George'a. Rozpaczliwie natomiast potrzebował dziesięćminutowej drzemki lub dwóch tygodni urlopu. Albo kilku milionów dolarów.

Gdy znalazł się już w swoim biurze, zrzucił płaszcz i zdjął krawat. Do drzwi podeszła Frannie, jego sekretarka. Była to smukła Murzynka, z lekko wystającymi, egzotycznymi kośćmi policzkowymi i chłodnymi, głębokimi oczami, które zdawały się umieć rzucać czary. Kelley porównywał ją kiedyś do zimnej dłoni w miękkiej zamszowej rękawiczce.

– Czytałeś to? – spytała wskazując gazetę, którą rzucił na biurko.

– Muszę?

Frannie zastanawiała się chwilę z kamienną twarzą.

– Cóż... – powiedziała wreszcie. – Mógłbyś chociaż obejrzeć obrazki...

– Aż tak źle? – Kelley roześmiał się.

– No... nie wiem – odparła powściągliwie. – Naprawdę nie wiem. Moim zdaniem nie aż tak źle. Ale ja jestem starym wyjadaczem, jeśli chodzi o przegrywanie. Nasz dyrektor handlowy, Ashe, twierdzi, że gdy się wygląda na przegranego, to już się jest przegranym.

– To nie jest twierdzenie. – Kelley ziewnął. – To sprawdzony fakt. Ludzie obawiają się, że zrobisz klapę i zawczasu wolą się wycofać. Agenci nie rezerwują u ciebie lotów, bo boją się procesów sądowych. Tak więc z sytuacji tylko troszkę kłopotliwej wpadasz w prawdziwe tarapaty.

– Och... – mruknęła.

Kelley roześmiał się niespodziewanie.

– Panie i panowie, oto wasz kapitan. Ruszamy w podróż. Przed nami Błędné Koło.

Frannie stała nieporuszona, a na jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień.

– Jak było w Paryżu? – spytała. – Też tak wesoło?

– Nie – odparł. – Jak to mówią w starych filmach: „Ciężka harowa, mamuśka”. – Usadowił się na kanapie i zapalił papierosa. – Na początku powiedzieli mi, że możemy latać do Paryża, nie ma problemu, ale najbliższym lotniskiem, na którym

możemy lądować, jest Deauville. Wiesz, gdzie to jest: Sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Paryża. Ostatnim razem lądowano tam podczas inwazji na Normandię. Wiesz, co mówią ci Francuzi? Mają takie określenie: *Je suis desolé*. To znaczy: strasznie mi przykro. Mówią to z miłym uśmiechem, wbijając ci nóż w serce. No ale po czterech dniach rozmów ostatecznie lądujemy na Orly. Co prawda tylko trzy razy w tygodniu, ale jednak.

– Jesteś... – zaczęła.

– Baaardzo zmęczony.

– Jesteś skrzyżowaniem Henry'ego Kissingera z Indianą Jonesem. Tylko takie porównanie przychodzi mi na myśl. Chcesz kawy?

– Nie teraz.

– Chcesz McDermotta?

– Wolałbym nie, ale daj mi dwadzieścia minut. A tak w ogóle, to o co ta cała wrzawa?

– Według mnie – powiedziała Frannie – to przez ten bilans. Wczoraj go przynieśli.

– Znasz jakieś liczby?

– Ja? – Frannie spojrzała przeciągle. – Ja tu tylko sprzątam. Ale używając terminologii medycznej, powiedziałbym, że masz dziesięciomiliogramowy kłopot.

– Bardzo zabawne. – Kelley ziewnął i przeciągnął się. – Masz jeszcze coś, co mogłoby nieco rozjaśnić ten ponury dzień? – zapytał. Frannie potrząsnęła głową. – Spis telefonów? Listę spotkań?

– Wszystko leży na biurku. A jaśniejszego promyka słońca możesz spodziewać się najwcześniej o szóstej wraz z obecnością Rosettiego, który pytał, czy spotkałbyś się z nim w

barze „Westbury”. – Przyjrzała mu się i zmarszczyła brwi. – Chyba że chcesz to odłożyć?

– Nie. Dziś jest piątek. Dziś jest piątek?

– Czwartek. I myślę, że zaczynasz bredzić – odparła. – Myślę też, że przydałaby ci się szklanka mleka z kilkoma procentami oraz krótka drzemka. – Wyszła, cicho zamykając drzwi.

Przez chwilę jeszcze po wyjściu Frannie Kelley patrzył bezmyślnie w okno. Za szybą rozpościerała się płyta lotniska, a po pasie kołował jeden z jego Boeingów 737. Kelley obserwował go aż do momentu, gdy samolot oderwał się od ziemi. Potem zapalił gauloise'a i otworzył gazetę na stronie sześćdziesiątej trzeciej. Od razu uderzył go nagłówek: CZARNE BŁĘKITNE NIEBO.

Odłożył pismo, podszedł do barku i przygotował solidną porcję whisky z lodem.

CZARNE BŁĘKITNE NIEBO.

Zdjęcie pochodziło z 1971 roku. Prezydent Nixon ścisnął mu dłoń, wręczając DFC*. Kelley patrzył na własną, dziwnie młodą i raczej paskudną, twarz i zastanawiał się, kim był ten dzieciak. Prawdziwy dzieciak – z chmurną miną i wąsami jak wiechcie, a już z jakąś bałamutną iskierką w oku. Kelley: as nad asy, półlotnik, półkorsarz. Była z nim wtedy Karen. „Wzruszona i zachwycona”, jak zwierzyła się Tricky. Teraz nie jest już tak „wzruszona i zachwycona”.

* DFC – Distinguished Flying Cross – wysokie odznaczenie przyznawane oficerom lotnictwa.

Uniósł gazetę i poważnie zabrał się za czytanie.

CZARNE BŁĘKITNE NIEBO

„Linie Lotnicze «Blue Sky», działające na zasadzie całkowitego lekceważenia zasad i oferowania niebotycznych zniżek, zdają się przeżywać największe niepowodzenie swego życia. Bilans strat za ostatnie trzy kwartały tego roku jest zaledwie przedsmakiem kłopotów tego przewoźnika. Biegły z firmy «Rockwell i Carz» twierdzi: «Będziemy musieli przyrzec się wynikom za czwarty kwartał. W tym momencie musiałbym je skorygować, ale nie mogę wydać ostatecznej opinii. Bilans wyników będzie już ósmego». Niegdyśejszy rewolucyjny przewoźnik z siedzibą w Newark, obecnie chwieje się pod ciosami. Z lewej pada ofiarą nadmiernie optymistycznego programu ekspansji, wprowadzonego przez założyciela i dyrektora linii, Burke'a M. Kelleya, z prawej zaś zbiera ciężki w łupieżczej wojnie taryfowej, w nieskończoność obniżając ceny praktycznie na wszystkie loty krajowe. «Konkurenci naprawdę chcą jego krwi – powiedział o Kelleyu ekspert z Wall Street. – Na serio chcą go dostać. Nadszedł czas zemsty». Ale pokonanie Burke'a Kelleya nigdy nie było łatwe. Zawsze potrafił unikać kłopotów, a wtajemniczeni sądzą, że tym razem też mu się uda”.

MŁODY ŚMIAŁEK NA PODNIEBNYM TRAPEZIE

„«Wietnamczycy nie mogli go zestrzelić. Nie wierzę więc, aby paru gryzipiórków dało radę» – powiedział kierownik działu operacyjnego «Blue Sky», Charles Stryker. Kelley, którego waleczna przeszłość w Wietnamie pozostawiła ślad w postaci dwóch medali i niemal śmiertelnej rany, założył «Blue Sky» jako zupełny nowicjusz w branży. Linie te stały się od

razu bardzo konkurencyjne. Jako jedyne operowały w stanie Nowy Jork. Gdy tylko pierwsze odremontowane DC-3 wystartowały w 1972 roku, a pełna młodzieńczego entuzjazmu reklama pojawiła się w mediach, przedsiębiorstwo wraz ze swoim energicznym młodym dyrektorem stało się natychmiastowym celem ataków oburzonych konkurentów. Zaoferowanie takich specjalnych taryf jak «Nocny Wędrowiec» dla pasażerów lecących skądkolwiek do uniwersyteckich miast Syracuse i Utica za trzysta do siedemnaście dolarów, czy też «Nocny Gracz» na trasie do Saratoga Springs, było rękawicą rzuconą w twarz wszystkim regionalnym liniom lotniczym, których stawki były nawet o trzysta dwanaście procent większe. Pierwszą serię reklam rozpoczęła hasło «Przestworza są dla ludzi». Konkurenci odpowiedzieli otwartą wojną, która przyniosła w sumie pięć milionów udokumentowanych księgowo strat przez pierwsze dwa lata. Lecz Kelley nie rezygnował, gnany entuzjazmem godnym pionierów awiacji. Określił swoją firmę jako linie «Latająca Kaczka» /«przynajmniej latamy, a nie siedzimy» powiedział/ i śmiał się ze strat. «Pochodzę z górniczego miasteczka w Kentucky – powiedział kiedyś w wywiadzie dla *Newsweeka* – gdzie nieszczęściem jest strata pięciu dolarów. Ale pięć milionów? Człowieku, to żart». Był to istotnie żart, gdyż jak się później okazało, ku zaskoczeniu wszystkich, linie «Blue Sky» przetrwały trudny okres i działały nadal. Siedem lat od tego burzliwego początku, wraz ze zmianą systemu zarządzania firmą, Kelley rozszerzył działalność o loty po całych Stanach i ponownie wprowadził

nieślachane, prowokujące wręcz, zniżki taryfowe. Znów zaczęła się wojna. Raz jeszcze błyskotliwe manewry, zuchwałe akcje i czysta siła woli pomogły wygrać Kelleyowi i jego parweniuszowskiej karierze. W czasach ogólnego regresu w branży lotniczej «Blue Sky» osiągnęły wyżyny sławy, a ich przystojny młody szef odniósł wielki sukces”.

PROSZĘ ZAPIĄĆ PASY

„Śmiały młody /tuż przed czterdziestką/ człowiek szykuje się do najbardziej karkołomnej podróży w swoim życiu. Jego linie lotnicze, wraz z nie zrzeszonymi w związkach pilotami, niskim standardem oferowanych usług i mocno zużytymi samolotami, przymierzają się do lotów transatlantyckich. «To poważny problem – oświadczył jeden z konkurentów. – Takie przedsięwzięcie jest ponad jego siły. Zadłużenie hipoteczne jest ogromne. Kelley nie jest w stanie walczyć, pozwolę sobie użyć tego określenia, lecz praktycznie aż się prosi o Trzecią Wojnę Powietrzną. Lepiej zapnijmy pasy bezpieczeństwa, gdyż ta wojna może się przekształcić w wojnę nuklearną»”.

– Skończyłeś?

Kelley spojrział ku drzwiom na McDermotta, który trzymał w ręku posrebrzany kubeczek z kawą. Doskonała rzecz na prezent dla faceta, który ma wszystko z wyjątkiem powściągliwości i skromności. Kelley musiał znosić McDermotta jako partnera w tym iście szatańskim interesie. Ale George był gorzką pigułką. Ten jasnowłosy czterdziestolatek, ostrzejszy

niż brzytwa, należał do gatunku mądrali, wobec których Kelley żywił jedynie głęboką nieufność. Znał takich z ich działalności w Sajgonie. Politycy i generałowie, agenci i wysocy rangą oficerowie – „rozummy”, które tak doskonale górowały nad „materią”.

– Wejdz, George – rzucił Kelley – jak już tu jesteś. Myślałeś pewnie, że pieprzę tu jakąś – dodał grubiańsko. – Słyszałeś kiedyś o starym dobrym zwyczaju pukania do drzwi?

McDermott uniosł jasne prowokujące brwi w wyrazie nie-mego zdziwienia.

– Jesteś zdenerwowany – stwierdził. – Rozumiem to. A poza tym, pukałem, i to dwa razy, sądzę więc, że nie słyszałeś. Cóż, przepraszam.

– Cóż. – Kelley uśmiechnął się, a potem wolno potrząsnął głową nad swoim dziecinnym zachowaniem, a może nad uniozoną postawą George'a. Nie był pewien. – Uspokój się, siadaj. – Wyłowił następnego papierosa z kieszeni i patrzył, jak George McDermott sadowi się na krześle. – A odpowiedź na pytanie, które ciśnie się wszystkim na usta, brzmi: Nie. Nie jestem skończony.

– Och, oczywiście, że nie – szybko, za szybko, odparł George. Przypominał Kelleyowi pewnego wojskowego lekarza, który w taki sam sposób zapewniał go, że nie straci lewego oka. Tylko doktor własnoręcznie mu je usunie. – Ale oczywiście będziesz musiał wprowadzić kilka zmian – dodał George.

Kelley kiwnął potakująco głową, tak samo jak niegdyś w rozmowie z doktorem. Lecz najwidoczniej McDermott był lepszym znawcą nastrojów Kelleya i jego sposobów wyrażania

dezaprobaty. Pochylił się żwawo w jego stronę.

– Posłuchaj, Kelley – rzucił. – Wydaje mi się, że nie pojmujesz ogromu swoich kłopotów. Trzydziestego pierwszego marca musisz wpłacić dwadzieścia dwa miliony, które dostałeś na krótkoterminowy kredyt. Nie zapłacisz, jesteś skończony. Nawet jeśli inni kredytodawcy nie tkną cię nawet chusteczką, to i tak strata na koniec czwartego kwartału wyniesie trzydzieści dwa miliony. Ta wojna jest skończona, Kelley. Wykrwawiasz się na śmierć. Całkowita suma zobowiązań wynosi dwieście dwadzieścia siedem...

– Dosyć – przerwał Kelley. – Pojmuję ten, jak to określiłeś, ogrom.

– Nie, nie. Naprawdę nie sędzę, abyś to rozumiał. Dzisiaj o dziesiątej rano „Standard i Poor” obniżyli cenę twojego długu. Ustawili ją na tym poziomie „czysto spekulatywnie”. Ale jak tylko zobaczą nasz rachunek wyników za czwarty kwartał...

– To usiądź na tym i nie pokazuj.

– Na czym?

– Na wynikach bilansu, Jak długo możesz ich nie ujawniać?

– Zgodnie z prawem?

– Na początek.

– Przepisy mówią o dziewięćdziesięciu dniach.

– Trzydziestego pierwszego marca.

– Z drugiej strony...

– Nie – zaprotestował Kelley. – To najlepsza strona, jaką mamy. No, dalej. Chciałeś coś powiedzieć?

McDermott westchnął, oparł się wygodnie i pociągnął łyk kawy. Pochodził z bankierskiej rodziny, zajmującej się emisją i sprzedażą zyskownych akcji. Umiejętność liczenia wyssał z mlekiem matki.

– Tak. Chciałem powiedzieć, że to ci nic nie pomoże, Kelley. Dziewięćdziesiąt dni na czary...? – Potrzęsnał głową energicznie. – Bez względu na to, co chcesz zrobić, bądź ostrożny. Mogą cię oskarżyć o oszustwo.

– I od razu podpadnę pod Rozdział XI*. Czy to właśnie chciałeś mi uświadomić?

* Rozdział XI – część Federalnej Ustawy o Bankructwie, zezwalającej firmie lub korporacji prowadzić interesy, dopóki płaci bieżące należności, lecz pod warunkiem reorganizacji, spłacenia wierzycieli lub zaprzestania pewnych operacji.

– Chyba jednak pojąłeś to wszystko.

– Spokojnie, George. Rzymu nie spalono w jeden dzień.

– Ani nie zbudowano w dziewięćdziesiąt – odparł McDermott. – Jeśli chcesz ocalić tę firmę, wiesz, co masz robić. Sprzedaj samoloty. Skróć trasy. Zapomnij o Paryżu, a zwłaszcza zapomnij o swoim magicznym wykrywaczu wiatru uskokowego.

– Który może tylko pomóc w uratowaniu komuś życia.

– Nikt tego nie sprawdził.

– Jeszcze nie – warknął Kelley. – Daj mi trochę czasu.

– Nie masz czasu – wybuchnął McDermott. – To właśnie usiłuję ci powiedzieć. Twój czas się skończył. Igrasz z losem. Z każdą chwilą... – Przerwał i wziął głęboki oddech. – Płacisz mi, abym ci radził – powiedział już spokojniej. – Więc robię

to, Kelley. Podnieś ceny. Od zaraz. Jutro. Gdyby Bóg naprawdę chciał, aby wszystkie jego dzieci miały skrzydła...

– Już dawno wycofałby się z interesu?

McDermott wyglądał na zaskoczonego.

– Właśnie – przytaknął. – Dokładnie o to chodzi.

Kelley znów pokiwał głową.

– Widzisz, a ja myślę, że ty nie wiesz, o co tu chodzi, George. Twoją dewizą jest „pokój za wszelką cenę”. Poddajesz się silniejszemu. Co nie jest, jeśli już mówimy o strategii wojennej, tak bardzo godne polecenia. Ale wracając do naszej sprawy, jej sedno leży w tym, że ja nigdy nie planowałem stworzenia takich sobie, zwyczajnych linii lotniczych. To miały być linie alternatywne. Nadażasz za tym, co mówię? Trzecia droga. Wiesz przecież, że w naszej branży mamy pierwszą klasę i „dylizans”. A wiesz, dlaczego „dylizans”? Ponieważ nikt nie chce być nazywany pasażerem drugiej klasy. Nie ma też trzeciej klasy. W Ameryce pasażerowie trzeciej klasy drążą na piechotę. Więc wymyśliłem sobie, że stworzę linie lotnicze trzeciej klasy. Żadnej konkurencji. Nikt inny nie zajmuje się czymś takim. Słuchajcie, ludzie! Chcecie kupić bilet do Los Angeles, wydać osiemset dolarów, pojeść i podymać na wysokości sześciu tysięcy metrów? Wasza sprawa. Chcecie wydać czterysta dolarów? Proszę bardzo. Ale jeśli nie chcecie wydać czterech setek, jeśli w ogóle nie macie czterech setek, zgłóście się do mnie. Po to tu jestem. Lecz gdy przepadnę, cała masa ludzi będzie musiała zostać w domciu. Więc nie mów mi, George, że nie wiem, o co gram. Nikt inny nie wie

tego lepiej ode mnie. Ale tak już jest na tym świecie. Skróciłem wszystkie możliwe trasy i sprzedałem wszystkie samoloty, które mogłem sprzedać. Co prawda mylisz się co do detektora wiatru i mylisz się co do Paryża, ale naprawdę, z całego serca doceniam twoje wysiłki. I obiecuję, że przemyślę wszystko to, co mi powiedziałeś.

McDermott sztywno podniósł się z fotela.

– Zdajesz sobie sprawę, że będę musiał powiadomić o wszystkim Pułkownika?

– Myślę, że już to zrobiłeś – odparł Kelley.

Dzwonek telefonu zabrzmiał już po raz szósty czy siódmy. Kelley policzył do dziesięciu i powoli podniósł słuchawkę. Usłyszał głos Karen. Cóż za niespodzianka, pomyślał. Ona naprawdę chce wiedzieć jak tam było w Paryżu.

– Chciałam przypomnieć ci o kolacji – powiedziała Karen.

– Jakiej kolacji?

– No nie! Dziś wieczorem. O ósmej. – Dzwoni najwidoczniej z budki telefonicznej, gdyż w tle słychać było głos mężczyzny, który powtarzał: „Nigdy więcej”. – Stroje wieczorowe – kontynuowała. U Zeedee'ego.

– Cholera. – Kelley nie był w nastroju do odwiedzania Zacharego Davida ani nikogo o równie wspaniałym przeżwisku. Najbardziej ucieszyłaby go chińska kolacja podana do łóżka. – Musimy?

Karen westchnęła.

– Ty nie musisz, skarbie. Jeśli chodzi o mnie, możesz sobie siedzieć w domu i pociągać śliwownicę. Uważam jednak,

że powinieneś tam pójść i zdementować kilka plotek. Na przykład o twojej śmierci.

– Wezmę ze sobą dużo whisky.

– Garnitur masz przygotowany w mieszkaniu, a ja muszę już skończyć rozmowę.

– Skończyć rozmowę! Co ty mówisz?! – wykrzyknął. – Rozmawiamy jak Anglicy.

Lecz Karen już odłożyła słuchawkę.

Kelley okręcił się na fotelu i zerknął na obrazek w okrągłej srebrnej ramce. Karen z przeszłości. Dziewczyna w dresie z napisem na piersiach „Linie Lotnicze «Blue Sky»”. Cóż, te piersi były jego własnym niebem, w którym z radością nurkował. Bum! Raptownie uderzył o kamień, który okazał się jej sercem. No, gwoli przyzwoitości trzeba przyznać, że nie był taki znowu raptowny. Przez chwilę unosił się w powietrzu...

Te miłe wspomnienia przerwała seria telefonów.

Lotnisko w Waszyngtonie tonęło w śniegu, a prognozy mówiły o jeszcze większych opadach.

Kontrakt z dostawcą posiłków wymagał odnowienia.

Szef mechaników oznajmił, że z fabryki przysłano kilka następnych detektorów wiatru uskokowego. Zamontowanie ich bez zdejmowania samolotów z wyznaczonych tras oznaczało nadgodziny.

– To jak ma być? – spytał.

– Montuj je – odparł Kelley. – To już nie ma znaczenia, czy bekniemy za pensa, czy za funta.

Gdy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że ten „pens” oznacza mniej więcej dwa i pół miliona dolarów. Wymyślił to urządzenie. Wystąpił o patent. Postarał się o zatwierdzenie

przez Federalny Zarząd Lotnictwa i wreszcie znalazł fabrykę zdolną do produkcji dekoderów. Od pomysłu do jego realizacji upłynęło sześć lat i każdy dzień był tego wart. Mimo kwaśnych uwag George'a w rodzaju: „Jeśli chcesz mieć hobby, kup sobie jacht. Przynajmniej będziesz mógł go sprzedać”. Odpowiedź na pytanie, czy będzie mógł sprzedać dekoder wiatru uskokowego, dosłownie i w przenośni wisiała w powietrzu.

Rzucił okiem na stertę notatek, które Frannie zostawiła na biurku. Co najmniej tuzin ludzi chciało się z nim widzieć. „Pilne!” – jedno z tych biurokratycznych określeń, które powodowało, że czuł się wprost chory na myśl o spotkaniu, przy godzinie którego widniało. Jediną osobą, którą mógł znieść w tej chwili, był Duke, czyli Johnny Dukovic, dyrektor działu operacyjnego.

Kilka minut po telefonie Kelleya Duke wtoczył się z impetem na swoim wózku. Pomachał notesem i zatrzymał się w drzwiach z przeraźliwym piskiem kół. Kelley wiedział, że Duke służył kiedyś w siłach powietrznych marynarki. Był wtedy takim latającym kowbojem w stetsonie koloru khaki, przemierzającym przestworza do wtóru ryku silników. W głębi duszy pozostał kowbojem. Nosił buty z cholewką i dżinsy, miał sumiaste wąsy i zmierzwioną czuprynę. Teraz był środkowym rozgrywającym w koszykarskiej drużynie bardzo ostrych chłopaków na wózkach inwalidzkich. Nazywali się „Bandą Na Kółkach”.

Duke wjechał do pokoju, nadal piszcząc kołami.

– Piszczalka – powiedział Kelley. – Ósmu krasnoludek.

Duke cisnął notes na biurko.

– Ładne. Naprawdę ładne. A Frannie powinna śpiewać: „Piszcz mi cichutko, słodki rydwanie”. Osobiście wolałbym jednak, aby wokół mnie było nieco mniej ironii, a za to odrobinę więcej otwartego, tkliwego współczucia.

– Rozumiem przez to, że przegraliście wczoraj.

– Ci faceci nazywali się „Heavy Metal”. To wystarczy za jakikolwiek komentarz. – Duke zapalił papierosa i stuknął palcem w czasopismo. – Czytałeś wypowiedź naszego drogiego przyjaciela Chambersa?

– Ostro pograł.

– Facet chce nas zniszczyć wojną nuklearną.

Kelley wzruszył ramionami.

– Jego linie niszczą nas prawie od roku. On nie potrzebuje atomówek, żeby nas trafić. Wystarczą jego strzelcy wyborowi.

Duke oparł ręce na poręczach wózka.

– Myślisz, że zdecyduje się na wojnę psychologiczną? – spytał.

– To znaczy?

– Kropla drąży skałę.

– Dalej – ponaglił Kelley.

– Na przykład coś takiego. Dziś rano przyszła do mnie dziewczyna z rezerwacji, Pam. Znasz Pam? Chodzi z jednym z pilotów. Facet leci o szóstej do Chicago. Komputer mówi jej, że wszystkie miejsca są zajęte. A pilot mówi, że zmieści się jeszcze cała ludność Toledo, orkiestra symfoniczna i połowa drużyny rugby.

Kelley nie odezwał się. Pozwolił myślom płynąć swobodnie. Daj spokój, nakazał sobie w duszy. Tego typu myśli należało trzymać na wodzy, w kagańcu.

- Robisz z tego sprawę dla federalnych?
- Nie wiem – odrzekł Duke. – Po prostu nie wiem. Ale odsyłamy z kwitkiem pasażerów na pusty lot. Poleciało tylko dwadzieścia jeden osób. A komputer podał, że mieliśmy zarezerwowane wszystkie cholerne sto trzydzieści miejsc.
- Uhm – mruknął Kelley i okręcił się na Krześle. – A więc ja myślę, że zrobisz rzecz następującą – powiedział wolno. – Wprowadzisz stary dobry zwyczaj liczenia łebków. Gdy komputer powie, że samolot jest pełen, wy policzycie pasażerów. Nie robiliśmy tego dotąd, prawda?
- Nikt tego nie robi. Nie ma powodu.
- Cóż... jeden by się znalazł – odparł cicho Kelley.

Gdy już został sam, podsunął fotel do okna i zapatrzył się w ołowiane, nic dobrego nie wróżące, niebo. Przywodziło mu na myśl warowną zagrodę w Oklahomie. A Chambers, długoletni prezes Federal Airlines, przybrał postać kowboja podobnego do Lyndona Johnsona, który dosiadał Boeinga 747 jak konia z okrzykiem: „Niebo jest za małe na nas dwóch, kolego!”

A może Chambers strzeli mu w plecy?

Nie, zreflektował się. To bez sensu. Chambers nie musi strzelać mu w plecy. Kelley stał nad przepaścią, wychylony tak dalece, że wystarczyłaby jedna śrucina, aby go strącić. Uczciwie, otwarcie, prosto między oczy.

Do pokoju weszła Frannie z raportem księgowym, oprawionym w błyszczącą czerwoną okładkę z nazwą firmy, która go wykonała. Kelley zastanawiał się leniwie, czy raport

wypłacalnej firmy powinien mieć czarną okładkę.

– Sądząc po wyrazie twarzy McDermotta, na froncie powinna być trupia czaszka i dwa piszczele.

– I napis: „Chronić przed dziećmi” – dodał Kelley. – Ale poważnie, Frannie. Jeśli ty czy Duke chcecie na to zerknąć, to nie ma sprawy. Ale tylko wy. Nikt inny. – Spojrzał na nią. – Masz jakieś nowiny?

– Warner chce pokazać kilka próbek reklam.

– To może poczekać do jutra. – Kartkował raport, dopóki Frannie nie wyszła.

Pół godziny później cisnął go na biurko, podszedł do barku i nalał sobie drinka. To było parszywe pół godziny. Czuł się jak na beznadziejnym przedstawieniu bez szansy na drugi akt. Chociaż nie. Jedynym aktem mógłby być akt desperacji. Rozwiązanie McDermotta, czyli okrojenie pakietu usług i podniesienie taryf. Zniszczenie firmy, aby ją uratować. A tego właśnie Kelley nie mógł zrobić.

Spojrzał na zdjęcie Strykera, wiszące na ścianie. Szef działu operacyjnego, jak nazywał go *Newsweek*. Niewiele osób wiedziało, że Stryker był jedynym człowiekiem, któremu Kelley naprawdę ufał. Gdyby Stryker był tu teraz, Kelley mógłby go zapytać: „Słuchaj, stary, mam bzika, czy jak?” A Stryker powiedziałby mu zarówno o tym bzik, jak i o tym „jak”. I Kelley wysłuchałby go.

– Ha, co by było, gdyby... – mruknął i nalał sobie następnego drinka.

ROZDZIAŁ 2

Ostry, wiejący z płyty lotniska, wiatr przenikał płaszcz z wielbłądziej wełny. Kelley czuł pulsowanie w skroniach. Rozkołysany zegar w jego głowie wybijał minuty. Dwadzieścia po dziewiątej czasu europejskiego. Dwadzieścia po piątej czasu w Newark, a na szóstą był umówiony z Rosettim na drinka.

Na płycie czekał firmowy helikopter. Burnett, pilot, który zazwyczaj go obsługiwał, stał obok. Kelley poczuł nagłą, nieopaną chęć, aby samemu usiąść za sterami.

– Odpocznij. Idź do domu – powiedział Kelley i wsiadł do maszyny. Pilot osłupiał.

– Ja... mieszkam w Nowym Jorku – wydukał.

– Jedź autobusem – odparł Kelley. Otworzył przepustnicę i objął dłonią manetkę. Łopaty śmigła zaczęły się powoli obracać. – Zero sześć dziewięć gotowy do startu – zgłosił przez radio.

Zapiął pasy. Wizg turbiny był coraz głośniejszy, wskaźniki przesunęły się z czerwonego na zielone pole. Dostał zgodę na start, przesunął manetkę i zwiększył obroty silnika. Po chwili

był już w powietrzu. Zegar w głowie umilkł. Kelley czuł narastające odprężenie, jego wewnętrzny motor zwalniał, podczas gdy ten drugi niósł go poprzez ciemne mroźne niebo. Helikopter wznosił się, a Kelley patrzył na błądy zimowy księżyc, okrągły jak tarcza strzelnicza. Księżyc kochanków lub pilotów bombowców, zależy od miejsca i czasu. Przypomniała mu się piosenka Micka Jaggera „Kto kieruje twoim, bracie, samolotem?” To musiało być, zaraz, zaraz, tak, chyba lato w 1970 roku. Morderczy, wyczerpujący, wysysający myśli pobyt w bazie w Can Tho. Nawet ci, którzy wytrzymali tam zaledwie połowę przewidzianego okresu, wracali wykończeni. Był tam taki czarny chłopak, McClure, który w kółko puszczał starą, zdartą kasetę Jaggera:

Kto kieruje twoim, bracie, samolotem?

*Czy panujesz nad sterami, czy szaleństwo
twoją dłonią rządzi, twoim rządzi lotem?*

Pod spodem rozpościerał się migoczący wzór świateł Manhattanu. Kelley skierował się w stronę lądowiska dla helikopterów na Trzydziestej Czwartej Wschodniej, obserwując kłębiący się w dole ruch uliczny. Pędzący tu i tam ludzie, gnani ostatecznymi złudzeniami, niezmordowani w swoim ruchu. *Kto kieruje twoim, bracie, samolotem? Kto?*

– Pieprzony kamikadze! – wrzasnął drugi pilot.

Dostali się pod zmasowany ogień artylerii przeciwlotniczej, niebo drżało w blasku kolorowych smug, znaczących tory pocisków. Gdzieś w dole walił mózdzierz, przy akompaniamencie nieustannego, wstrząsającego powietrzem

grzechotu broni maszynowej.

– Zmasakrują nas, ty głupi sukinsynu! Wracaj!

Kelley przytaknął i zaczął schodzić niżej. Dwusilnikowy „Caribou” sunął po niebie pełnym błyskającej śmierci. Jeśli któryś z pocisków trafi w amunicję na pokładzie, będą załatwieni. Ugotowani, rozwaleni na kawałeczki. Strzelec nigdy nie brał udziału w lotach z uzupełnianiem zaopatrzenia. Trzeba było po prostu lecieć i modlić się. Kelley wciąż schodził w dół. Za jego plecami Roginsky i mechanik dostawali małego rozumu, podczas gdy on sam był śmiertelnie spokojny. Jego umysł pracował precyzyjnie, jak automat. Czuł się jak na najwyższej zjeżdżalni w wesołym miasteczku – leciał w dół, praktycznie nie kontrolując otaczającej go rzeczywistości. Miał wyznaczone zadanie. Leciał, bo ktoś tam, na dole, potrzebował amunicji.

– Rakiet!

Kelley skręcił gwałtownie. Lecący obok samolot zniknął w kuli ognia. Bum i już. Pustka. Zupełnie jak w cholernej kreśkówece Walta Disneya. Był jeźdźcem, podniebnym jeźdźcem, szczerym, posłusznym szaleńcem, miotającym się w technolorze nieba.

– Zawracaj!

Był szczęściarzem, jechał na fali swojego szczęścia, aż wreszcie ich zobaczył, tam w dole. Biegli z bronią uniesioną w górę. Stu, może dwustu, a może trzystu ludzi. Kierowali się w stronę przyczółka, gdzie artyleria oczekiwała na amunicję. Maszyna schodziła coraz niżej. Gdy wpadł w sam środek grupy Kelley dojrzał wyraz niedowierzania na twarzach mężczyzn. Ciała fruwały dosłownie wszędzie, uderzały o kadłub.

Roginsky wciąż jęczał: „Pieprzony kamikadze!”, a Kelley myślał tylko o tym, że musi rozwalić dwudziestu, może trzydziestu.

Wylądował na wypalonej napalmem połaci gruntu. Trap opadł w rekordowym czasie i mechanik rozpoczął wyładunek. Rzucił skrzynki w wyciągnięte, czekające już ręce. Kelley siedział bez ruchu, oszołomiony swoim szczęściem, bezustannym kuszeniem losu. Niejasno zdał sobie sprawę, że chłopcy wciągnęli już trap, a szef krzyczy na niego: „Już! Jazda!” W tej właśnie chwili usłyszał krótki soczysty dźwięk. Klik! Jakby trzask drzwi, które zamknęły się za odchodzącym szczęściem. Krew. Widział tylko krew. Kula zahaczyła o hełm i trafiła w twarz. Krew i Roginsky, znów wymyślający mu od pieprzonych kamikadze. Ponaglany przez szefa, z wciąż krwawiącą raną na twarzy, dowiózł ich wszystkich bezpiecznie do bazy.

A teraz, gdy leciał prowadzony feerią świateł Manhattanu, pytał sam siebie, czy to było pouczające wydarzenie. Gdy już usiadł na wschodnim lądowisku, doszedł do wniosku, że chyba jednak nie. Chociaż, z drugiej strony... pomyślał wysiadając z helikoptera. Z drugiej strony, pan i władca mojej duszy jest naprawdę pieprzonym kamikadze.

Zaczął padać śnieg. Z taksówki sunącej Wschodnią autostradą Kelley obserwował grube białe płatki osiadające na brzegach brudnej rzeki jak perły rzucane w gnój. Przyszło mu na myśl, że lubi to miasto właśnie dlatego, że było tak pełne kontrastów. Widział kiedyś karalucha maszerującego po

brylantach na wystawie u Tiffany'ego. Pokazał go Karen. Powiedziała jedynie: „Brr!” , lecz Kelley widział w tym całą wszechogarniającą prawdę świata. Życie trwa wiecznie, gdyż komórka żeńska łączy się z męską.

Mimo dość dużego ruchu na ulicach Kelley przyjechał do „Westbury” punktualnie o szóstej. Wszedł do baru, zwanego „Salą Polo”. Obrazki przedstawiające graczy w polo upstrzyły każdy skrawek ścian wokół ciemnego dębowego bufetu. Znalazł wolny stolik naprzeciw ściany pozbawionej sportowych akcentów i zamówił drinka u szczupłego czarnego kelnera. Usiadł i podziwiał szczególne aspiracje właścicieli lokalu, pomieszane wonie skóry okrywającej meble, whisky i papierosowego dymu, a wreszcie klientelę, odprężoną, swobodną. Nikt niczego nie sprzedaje, ani nie kupuje. Zastanawiał się, co Rosetti będzie mu dzisiaj sprzedawał. I dlatego chce to robić w barze. Poprawka, w sali barowej.

Po raz pierwszy spotkał Rosettiego w 1972 roku. Rosetti był wtedy jednym z wielu bardzo inteligentnych młodzieńców, którzy pracowali w agencji reklamowej przy Madison Avenue. Nosił brodę i siedział w pozbawionym okien pokoju, ozdobionym plakatem z płaczącym Indianinem. Na biurku trzymał kilka zaostrzonych ołówków i pudełeczko ze skrętami z marihuany. Bazgrał coś bez przerwy na bloku rysunkowym i słuchał płyt Rolling Stonesów.

Agencja, w której pracował, była nowa i nie znana. Szukała szansy wybicia się i pokazania swoich możliwości. Wtedy właśnie napatoczył się Kelley, który rozmawiał już z co najmniej sześcioma poważnymi firmami, poznał mężczyzn pachnących dobrą wodą kolońską i mówiących z akcentem z

Connecticut, aż wreszcie znalazł się w poplamionych atramentem rękach czterech chłopców z Brooklynu. Byli to: Davanian, Rosetti, Rosco i Schwartz. W jednym z artykułów w *Ad Age* napisano, że Linie Lotnicze Blue Sky wylansowały agencję, która reklamowała te linie. I to była prawda. Pomogli sobie nawzajem.

Rosetti wszedł teraz do baru. Był spóźniony i wyglądał na strapionego.

– Zimniej niż na biegunie – powiedział ponuro. – Cholera, co za miasto! – Usiadł za stolikiem. – Nie można złapać takśówki ani innego samochodu, za to z łatwością można złapać obustronne zapalenie płuc. Jak interesy? – spytał i machnął wypielęgnowaną dłońią na kelnera. – Jak tam w Paryżu? Jak ci się wiodło? – dopytywał się i jednocześnie rozglądał wokół w poszukiwaniu kelnera.

– Świetnie.

– To dobrze. Naprawdę dobrze. – Nadal wodził wzrokiem po sali. – Cholera.

Kelley przyjrzał mu się, pociągnął łyk whisky i doszedł do wniosku, że Rosetti to elegant. Był modny, gdy było w dobrym tonie stosować się do nakazów mody. Nawet teraz wyglądał jak z zumała. Model lat osiemdziesiątych: intelekt plus agresywna męskość. Garnitur od Armaniego okrywał sylwetkę, która była owocem niewiarygodnego wręcz wysiłku na sali gimnastycznej. Rosetti przejechał dłońią po gładko wygolonej szczęce.

– Myślisz, że można tu doprosić się o jakąkolwiek obsługę? – mruknął. – Tylko spróbuj. Wszyscy pracują tylko wtedy, gdy szef na nich patrzy.

Kelner nadszedł wreszcie i Rosettiemu udało się dokonać rzeczy prawie niemożliwej; zamówił białe wino z wodą sodową. Nie chciał jednakże zwykłego kalifornijskiego wina. Poprosił o pół butelki „Cios Blanc de Vougeot” i odrobinę wody sodowej. Jak tylko kelner odszedł od ich stolika, Rosetti wyznał Kelleyowi, że od czasu kiedy rzucił palenie, ma bardzo wyostrzony smak i naprawdę wie, co dobre.

– Na przykład truskawki – powiedział. – Próboweś kiedyś truskawek? Mam na myśli, czy smakowaś je tak naprawdę? – Kelley nie odpowiedział, zapalił jedynie papierosa. – Albo cipka. – Rosetti coraz bardziej zapalał się do tej kwestii. – Ma smak... o rany, no wprost nie do uwierzenia.

Co za bzdury, pomyślał Kelley, lecz nadal nic nie mówił. Począł, aż kelner wróci z butelką, otworzył ją i nalał wina do kieliszka. Rosetti spróbował, a wtedy kelner dodał nieco wody sodowej. Rosetti skinął głową z aprobatą i kelner odszedł.

– No co? – spytał Kelley.

– Co co? – Rosetti nie zrozumiał.

– Na przykład, co tu robisz? Rozumiem, że nie przyniosłeś wzorów reklam tu, do baru.

– Taaa... – mruknął Rosetti. – No, nie. Ale są naprawdę wspaniałe. Wpadliśmy na nowy pomysł. Te stare hasła były niezbyt udane. Ale jak ci się podoba coś takiego: „To jest klasa”.

– Co znaczy „to”? – Kelley zamrugał zdziwiony.

– Blue Sky. Chcemy podkreślić, że macie prawdziwą klasę. Podoba ci się?

Kelley skinął głową. Kelner podszedł do nich i postawił na stoliku miseczkę z solonymi orzeszkami.

– Świństwo – burknął Kelley.
– Kwestia gustu – zaproponował Rosetti.
– Bzdury. Nie traćmy czasu. Łupie mnie cholernie w skroniach. Co z Paryżem? Myślałeś już o tym?

Rosetti pociągnął solidny łyk wina.

– Rzecz polega na tym – zaczął powoli – że mam problem. Nie akurat z Paryżem, ale w ogóle, ze wszystkim.

Kelley milczał.

Rosetti przebierał palcami w orzeszkach.

– No, dobra. Zbyt długo się przyjaźnimy, żeby sobie mydlić oczy. Mam kłopot. Ci z Federal Airlines skontaktowali się ze mną w ostatni poniedziałek. Kontrakt z nimi jest wart jedenaście milionów dolarów rocznie i... ja nie mogę odrzucić czegoś takiego. Nie... – Zastanawiał się nad sformułowaniem.

– Chcesz powiedzieć, że nie teraz, gdy wygląda na to, że ja przepadnę – podpowiedział Kelley i zaciągnął się dymem. – Piekło i szatani. Ale nie mogę mieć ci tego za złe.

– To nie tak...

– Pożegnamy się zatem. Masz szansę zarobić, wykorzystaj ją.

Rosetti pochylił się w stronę Kelleya.

– Ale co z tobą? Wydaje mi się, że jesteś wart, no, powiedzmy, dwadzieścia, może dwadzieścia pięć do trzydziestu milionów dolców.

– Nie wyciągnę tyle. – Kelley potrząsnął głową.

– No, w przybliżeniu. Ale większość z tego, mogę się założyć, wpakowałeś w akcje. Więc dlaczego ich nie sprzedajesz? Puść je. Słyszałem, że Lester Quaid chce cię kupić.

– Chciał w zeszłym roku.

- Hm... chce nadal.
- Kelley uniósł głowę.
- Dobra, rozumiem więc, że dotyczy to także tych akcji, które ty posiadasz.
- Nie – mruknął Rosetti, spuszczać wzrok.
- Mniej więcej. Zresztą, wszystko jedno. Jeśli pozbyłbyś się ich teraz, mógłbyś jeszcze na tym zyskać. Zważywszy że kupiłeś je po pięćdziesiąt centów za sztukę.
- Nie mógłbym tego zrobić.
- Jak chcesz. Rób, jak uważasz. – Kelley podniósł się i rzucił kilka monet na stół. – Idę. Muszę wbić się w garnitur. Karen mi kazała. – Zrobił parę kroków, po czym odwrócił się i spojrzął na Rosettiego. – Trzymaj się, stary.
- Nie czujesz do mnie urazy?
- Nic już nie czuję – odparł Kelley.

Spacerem ruszył do domu. A raczej do miejsca, gdzie zatrzymywał się, kiedy był „w mieście”. W przeciwieństwie do „wsi”, jak ostatnio myślał o domu w Oyster Bay. Domu, który przekształcił się w regularne pole bitwy, łącznie z atakami i nalotami, w wojnie małżeńskiej. Apartament przy Piątej Alei został urządzony w czasach, gdy ulubionym słówkiem dekoratorów wewnątrz było „Santa Fe”. Kelley lubił to wewnątrz; sufity z drewnianymi belkami, ściany z nie wypalanej cegły, ręcznie tkane kilimy, kominek i mnóstwo okien z widokiem na park.

Gdy wszedł do sypialni, rzucił torbę podróżną na podłogę, rozebrał się szybko i wziął prysznic. Wykąpany, owinięty w talii brązowym frotowym ręcznikiem, zaczął wypakowywać

torbę. Pośród ubrań spoczywało opakowane w celofan kilogramowe pudełko czekoladek. Jednakże zamiast spodniej warstwy pomadek zawierało pół kilograma trawki, bardziej familiarnie zwanej „maryską”. Gdy łapią człowieka z czymś takim, nazywają to oficjalnie marihuaną. Kelley wpatrywał się w pudełko. Pół kilograma. Załedwie pół kilograma, które było równoważne pięciu pełnym latom odsiadki. Podjęcie ryzyka przemycenia tej paczki przez granicę było skrajną głupotą, niewyobrażalną bezmyślnością. Lecz w Paryżu zaofierowano mu towar z taką łatwością, bez czekania, bez kłopotów, bez chciwych, obłudnych numerów pod tytułem „muszę pogadać z Birdym”, czy siedmiu wycieczek do Harlemu, które poddawały w wątpliwość sens takiego interesu. A poza tym potrzebował tego. Takiej ilości i takiej jakości. A może miał też ochotę poigrać trochę ze swoim szczęściem.

Położył bombonierkę na łóżku i rozejrzał się wokół z niesmakiem. Co za bałagan! Garderoba Karen, warta kilka tysięcy dolarów, tworzyła jedwabne, barwne stosiki, ciągnące się dróżką od szafy do łóżka. Archeolodzy, którzy odkopią ten dom w parę wieków później, będą mogli z łatwością ustalić tygodniową aktywność tej kobiety, analizując jej ciuchy, pomyślał. Na obiad, z obiadu na przyjęcie, z przyjęcia do teatru, z teatru na kolację.

Odwrócił się i zauważył karteczkę od Karen, wciśniętą pomiędzy lampkę nocną a popielniczkę. „Jestem u Candy. Przyjdź, zadzwoń, albo spotkamy się u ZD”.

Przeturlał się po łóżku, podniósł słuchawkę i wybrał

numer. Ale nie do Candy. Wsłuchiwał się w sygnał, charakterystyczny dla starych wiejskich central telefonicznych. Po czterech czy pięciu dzwonekach usłyszał głos Margaret.

– Cześć.

– To ty, Burke?

– Tak. Jak leci?

– Wiesz... – Margaret zniżyła głos. – Można by powiedzieć, że po przyprawiającym o mdłości ranku nadeszło cholernie przynębiające popołudnie. Ale pada śnieg, więc dałam mu duży talerz śniegu i zjadł to.

Kelley roześmiał się cicho.

– Co to miało być? Biała magia?

– Teraz, jak to mówisz, to myślę, że chyba tak. A jak było w Paryżu?

– Myślałem, że jutro opowiem o tym wam obojgu. Czy Charlie znieśie gościa?

– Tylko wtedy, gdy będziesz nim ty. Ale nie wydaje mi się, abyś dał radę. Drogi są parszywe, a lotnisko stanie, gdy tylko mocniej na nie dmuchnie. Spodziewamy się trzydziestu centymetrów śniegu.

– Mnie też możecie się spodziewać.

– Wiem, że potrafisz chodzić po wodzie, ale po śniegu?

Kelley wybuchnął śmiechem.

– Chciałbym cię o coś zapytać. Ta wypowiedź, którą zacytowali w czasopiśmie, ta o żółtkach i pilotach... Kiedy on to mówił?

– Ach, ta. Całe wieki temu. Musieli to wyciągnąć z archiwum. Mam wrażenie, że to z tego samego rocznika co twoje radosne żarciki o stracie pięciu milionów dolarów.

- Ha! Moje poczucie humoru jest coraz lepsze.
- Zauważyłam. Słuchaj, dzieci tu wrzeszczą, a pieczeń zaraz się przypali. Kocham cię bardzo, ale zobaczymy się jutro. To znaczy, jeśli tu dotrzesz. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to jesteś wariat.
- Możesz się przyłączyć do mojego klubu szaleńców. Pa.
- Spojrzał na zegarek, wykręcił lokalny numer, usłyszał głos służącej z Haiti i poprosił z panem Wagnerem.
- Ab podszedł do telefonu bardzo zaspany.
- Kelley? Dobrze, że dzwonicz, ale właśnie kończę tenisa. Jeszcze jakieś pięć minut. Oddzwonię później, dobrze?
- Możesz mi poświęcić trzy lub pięć minut teraz? Nie było cię dziś po południu i...
- Czyli to służbowa rozmowa?
- Obawiam się, że tak, Ab.
- Czytałem o twoich kłopotach.
- Więc już zaoszczędziliśmy minutę. Przypuśćmy, że właśnie ci oznajmiłem, iż wyniki za czwarty kwartał są katastrofalne, że muszę trzymać je w tajemnicy, próbując jakoś zdobyć forszę. Co byś mi poradził?
- Jako prawnik?
- Tak.
- Ostrożnie, bo mogą cię oskarżyć o oszustwo.
- Już ktoś mi to mówił dziś rano.
- No cóż. Miał rację. – Wagner zamilkł na chwilę. – Dobra. A teraz ty mi coś powiedz, Burke. Czy, jak to się mówi, w głębi duszy uważasz, że zdołasz utrzymać się na powierzchni? Nie, nie. Nie odpowiadaj jeszcze. W świetle prawa przestępstwo

zaczyna się już w chwili, gdy się o nim pomyśli. Jeśli więc uważasz, że zbankrutujesz, ale wciąż wydajesz pieniądze, to według prawa okradasz swoich kredytodawców. Peter i ty okradacie ich, aby spłacić Paula. Nosisz garnitur i białą koszulę, więc nie nazwę tego rabunkiem, a „sprzeniewierzeniem aktywów”, ale to generalnie to samo. Nadażasz? Posądzą cię o oszustwo, jak tylko spróbujesz zdobyć pieniądze. Musisz cholernie uważać. To jest tak. Idziesz do faceta i mówisz mu: słuchaj, stary, chcesz kupić cytrynę? O, jesteś w porządku, bo mówisz prawdę. Ale jeżeli tylko przedstawisz to inaczej, na przykład mówiąc, że to jest kawałek żółtego kamienia albo błękitnego nieba, jeżeli tylko przedstawisz to fałszywie, już mamy oszustwo.

– Z tego, co mówisz, wynika, że jest gorzej, niż myślałem
– powiedział Kelley. – Znaczący, że jeśli wydam forszę, będę złodziejem, a jeśli ją zdobędę, to oszustem.

– Coś koło tego, Burke.

– Dzięki. I... Ab?

– Tak?

– Daj im popalić na korcie.

ROZDZIAŁ 3

Ulica przed domem Zeedee'ego była zatłoczona, Kelley minął róg i ujrzał coś w rodzaju walnego zgromadzenia szoferów, którzy siedzieli w srebrzystych mercedesach i rolls-royce'ach, pojadali kanapki, włączali ogrzewanie i muzykę. Zabawa na cztery fajerki.

Z willi dochodziły zgoła odmienne odgłosy. Delikatne dźwięki kantaty Bacha doszły do uszu Kelleya, gdy stuknął w drzwi wielką mosiężną kołatką. Ponad nią widniał napis: „Obiekt chroniony przez firmę Holmes Electronics”.

Kamerdyner skierował go do salonu, tak ogromnego, że mógłby służyć za lądowisko dla helikoptera, przeładowanego płótnami impresjonistów i kwiatami w bogato zdobionych misach.

Zeedee gościł może ze dwa tuziny osób; najdoskonalsza kolekcja Wspaniałych i Uczciwych. Modelka, niezależny konstruktor samochodów, francuski ambasador, bankier z żoną, która ostatnio wygładzała sobie zmarszczki w Hiszpanii. /”Wyobraź sobie! W Hiszpanii! – zawyłaby Karen./ Lecz

Karen nie było wśród gości.

Głowa Zeedee'ego sterczała jak żuraw nad oparciem kanapy i kiwała się w prawo i w lewo. On sam wyglądał bardzo schludnie i godnie, a krawat miał przekrzywiony wystarczająco, by podkreślić klasę i lekko niedbałą elegancję.

– Ach! Nasz triumfator wraca z ringu! – zawołał Zeedee na widok Kelleya. – Chodź, pokaż się! No nie, nie jest tak źle. Zaledwie mały, naprawdę malutki siniaczek pod okiem. – Zeedee był w swoim żywiole. – Oczywiście znasz wszystkich moich wspaniałych gości? I wiesz, gdzie jest bar?

Kelley skierował się zatem prosto do baru. W głowie czuł lekki szmerek i było mu z tym całkiem dobrze. Jeszcze kilka szkockich i dość. Zamówił podwójną whisky i stał przez chwilę ze szklaneczką w ręce. Przysłuchiwał się odgłosom rozmów i przyciszonej muzyce. Gdy podniósł wzrok, w rogu pokoju ujrzał kobietę. Nie spotkał jej nigdy przedtem, nie widział też nigdzie jej zdjęć, a jednak wyglądała na dziewczynę, która zna swoją wartość. Stała w grupce kilku wysokich, dystyngowanie wyglądających ważniaków i piła kawę z małej chińskiej filiżanki. Kelley mógł niemal dokładnie wyobrazić sobie, w jaki sposób dostała tę kawę. Poprosiła o nią barmana, który z zakłopotaniem poinformował kamerdynera, który z kolei powiadomił służącą, która w końcu skłoniła kucharkę, aby ta przygotowała filiżankę kawy. Oto dziewczyna, która wie, czego chce, pomyślał Kelley.

Ubrana była z prostotą, w szarości, nie wyglądającej jednakże nudno. Długa spódnica, sweter z luźnym golfem i srebrny

pasek z turkusami. W uszach miała kolczyki stanowiące komplet z paskiem. Kelleyowi podobały się jej ciemne mocne włosy, przycięte dość krótko. Nieco dłuższa grzywka opadała na oczy, nadając dziewczynie łobuzerski wygląd. W tej chwili odrzuciła głowę w tył i roześmiała się. Miała bardzo miły, melodyjny śmiech. Kelley przyjrzał się mężczyźnie, który właśnie coś opowiadał, a który zdawał się mieć poczucie humoru równe krokodylemu, i stwierdził, że jedynie ta dziewczyna wnosi jakieś życie do towarzystwa. Po chwili zaciekawił się, po co ona to robi. Odwróciła się, jakby nagle uświadomiła sobie, że ktoś ją obserwuje. A może była tego świadoma przez cały czas? Jej oczy napotkały wzrok Kelleya: „Czy my się znamy? Czy chciałbyś, abyśmy się poznali?” Kelley nakazał swoim oczom milczenie. Dziewczyna trzymała w ręce zapalonego papierosa i odeszła na moment, aby go zgasić.

Kelleya dopadła Maria Van Kamp. Pytała o Paryż.

– Świetnie, naprawdę świetnie – odparł Kelley. – A jak tam twoje džinsy?

– Dżinsy? – zdziwiła się. – Ktoś jeszcze nosi džinsy? Wielki Boże! Nie widziałam nikogo w tym od wieków!

– Sądziłem, że ty właśnie je projektujesz?

– To było dawno, a poza tym trudno powiedzieć, żebym naprawdę kreowała džinsową modę. Dżinsy to džinsy, na liłość boską, a nie jakiś bożek, dookoła którego wszyscy skaczą. Trochę pracowałam nad kolekcją w stylu japońskiego kimona, ale to też nie wyszło. Chodzi mi o to, że mało kto lubi zawijać

się w szmaty jak mumie, nie mówiąc już o tym, że mało kto ma na to czas. Trzeba poświęcić czterdzieści pięć minut, aby się w to ubrać. No, to ja wysiadam. Wolę prześcieradła i ręczniki. Owijasz się nimi w pięć sekund, a poza tym są takie miłe i kojące, nie uważasz?

Kelley odparł, że często bywa ukojony przez prześcieradła, a czasami nawet przez ręczniki. Grzecznie wymówił się od dalszej rozmowy na ten pasjonujący temat, napomykając, że ma do załatwienia ważny telefon. Po czym udał się do barku i uzupełnił zawartość szklaneczki. Starał się zdwoić wysiłki, aby znieczulić się na otaczającą go rzeczywistość. Bankier rozmawiał z kompozytorem z Broadwayu. Kompozytor wspominał dwumilionowe honorarium i psioczył na podatki.

– A co z dewaluacją talentu? – pytał. – Po takim wysiłku umysłowym człowiek czuje się wyciśnięty jak cytryna. Gdzie koszty zużycia umysłu?

Bankier odwrócił się do Kelleya z przyjaznym uśmiechem.

– To interesujące – powiedział. – Co pan o tym sądzi?

– Jestem zbyt wyciśnięty, aby myśleć – odparł Kelley i odszedł od nich.

Chciał dotrzeć do telefonu, zadzwonić do Karen i powiedzieć jej, że wychodzi, ponieważ nic dobrego nie wyniknie z jego niegrzecznego zachowania w stosunku do bankierów. Co prawda nic też nie można było od nich uzyskać. Gdy sytuacja pogorszy się, bankierzy będą pierwszymi, którzy zatrzasną okna i zaryglują drzwi.

Kelley pociągnął ze swojej szklaneczki. Był już prawie

w holu, gdy natknął się na dziewczynę. Tę z filiżanką kawy.

– Pan jest Burke Kelley – powiedziała niskim przyjemnym głosem. Miała błyszczące zielone oczy. Kelley jeszcze nigdy w życiu nie spotkał dziewczyny z zielonymi oczami. A może turkusowymi? Nie, zdecydowanie zielonymi. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. – Niemal przez cały miesiąc usiłowałam spotkać się z panem.

– To chyba nie jest aż tak trudne. – Kelley potrząsnął głową. – Kim pani jest?

– Claire McCarren.

– No, to już się poznaliśmy. Widzi pani, jakie to proste?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Czy naprawdę podróżował pan cały miesiąc? A może to zwyczajna śpiewka pana sekretarki?

– Frannie nigdy nie kłamie. Byłem w San Diego, Milwaukee, Atlancie, Genewie, Chicago, na Hawajach, w Paryżu... – Zamrugał oczami. – To chyba wszystko.

– Brzmi przytłaczająco.

– Och, tak. Zwłaszcza Milwaukee – zażartował. Dziewczyna uśmiechnęła się. Umiiała zawrócić w głowie. Przypomniał sobie, jak wdzięczny był się do niej ten przemądrzały krokodyl w salonie. – No, dobrze. Co mogę dla pani zrobić?

Claire wzięła głęboki oddech.

– Cóż... jeśli ujmuje pan to w ten sposób... – Zawahała się. – Chcę zajmować się pańską reklamą.

– Dlaczego? – spytał bez ogródek.

– Mam wygłosić uniwersytecki wykład? Tak jak w Harvardzie?

– Nie. Była pani w Harvardzie?

– Nie.

Kelley roześmiał się.

– Więc co pani ma?

– Talent. Jestem dobra. Nie jestem słodką idiotką. Jestem twarda. I myślałam o pańskich kłopotach...

– Dlaczego?

Claire podniosła wzrok, rozbawiona, lecz nie zbity z pantafłyku.

– Bo je pan ma – odparła. – Sądzę, że mogę się panu przydać. I Bóg jeden wie, Kelley, że pan może na pewno przydać się mnie. Bo właśnie założyłam własną agencję. Bo słyszałam, że Rosetti robi kampanię reklamową Federal Airlines i tak dalej, i tym podobnie. Doszłam więc do wniosku, że szuka pan kogoś nowego. Czy to wystarczające powody?

Zaskoczyła go wiadomością o Rosettim. Nie była to bardzo ważna informacja, ale ubodła go, że Rosetti zrobił to w taki pokrętny sposób. Zupełnie nie tak, jak to przedstawiał.

– Proszę posłuchać. – Claire przerwała milczenie i zaczęła szybko mówić. – Nie mam zwyczaju napadać na ludzi w czasie przyjęcia. Możemy się jakoś umówić? A może wynajął pan już kogoś?

– Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Tylko jedno. Chodzi o tego faceta, tam w salonie. Czy to, co on mówił, było śmieszne?

– Który? – Claire zamrugwała gwałtownie.

– Wysoki szczupły blondyn. Śmiała się pani.

– Ach, ten. Popełnił gafę.

– A pani śmiała się z niego?

– Wie pan, jak to jest... Facet rozmawia z kobietą przez

cztery minuty i już zapraszają na jacht. Uważam, że to bardzo zabawne. A poza tym, co innego mogłam zrobić? Zapiszcie z uciechy, zemdleć, czy zezłościć się?

Kelley roześmiał się.

– Ma pani wizytówkę? – spytał.

– Mam. – Sięgnęła do małej torebki ze srebrnej siatki, zawieszanej przy pasku. – Trzeba być przygotowanym na wszystko. – Wyciągnęła swoją wizytówkę i spojrzała niepewnie na Kelleya. – No dobrze, wiedziałam, że pan tu będzie.

– W porządku. Co mam teraz zrobić? Zapiszcie z uciechy, zemdleć, czy zezłościć się? Jak długo zna pani Zeedee'ego?

– Wcale go nie znam – odparła szybko. – Zostałam tu przyprowadzona. Ale w pewnym sensie Zeedee interesuje mnie.

– Naprawdę? – Kelley rzucił okiem na gospodarza, który stał oparty o kominek i szeptał coś kobiecie o hiszpańskich rysach. – Proszę spojrzeć na niego. Oto cały Zeedee, jak na dłoni.

Dziewczyna powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– To znaczy? – spytała.

– A co pani widzi?

Podobała mu się jej reakcja. Odęła lekko wargi, jakby w zastanowieniu, po czym wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Wysokiego przystojnego blondyna. Ogromnie czarującego.

– To jest to – odparł Kelley. – I to jest wszystko. Nic więcej. Prasa nazwała go kiedyś sportowcem, bo nie mogli znaleźć dla niego jakiegokolwiek innego określenia. A przynajmniej

takiego, które można by podać do publicznej wiadomości. Brał udział w wyścigach samochodowych w latach sześćdziesiątych, ożenił się dwukrotnie w siedemdziesiątych, majątek odziedziczył i nigdy nie skalał się żadną pracą poza społeczną.

Claire pokiwała głową, rozbawiona.

– A... w jaki sposób pan go poznał?

– Przez moją żonę.

– Claire? – zawołał jakiś mężczyzna, przerywając im rozmowę.

Kelley obrzucił go wzrokiem, gdy się do nich zbliżał. Blondyn, który poruszał się w sposób znamionujący pewność siebie prawowitego właściciela. Kelley znał skądś tę twarz. Przypominał ją sobie mgliście z jakiejś odważnej przemowy w telewizji.

– Burke Kelley. Tom Cubbitt – przedstawiła ich sobie Claire.

– Ach, pan startował w regatach o puchar Ameryki – przypomniał sobie Kelley.

– Taaa. Cholerni Australijczycy. – Cubbitt potrząsnął głową. Kelley przypomniał sobie także, że jego rozmówca był właścicielem kilku stacji telewizyjnych w południowo-zachodnich stanach. – Chciałem cię zapytać – Cubbitt zwrócił się do Claire – czy masz ochotę na porządnego drinka? – Objął ją w tali ramieniem.

– Mam ochotę zjeść konia z kopytami – odparła.

– Powodzenia – powiedział Kelley. – O dziewiątej podadzą skromną porcję jagnięcia. – Wzniósł na pożegnanie szklaniczkę. – Jutro będzie lepiej – rzucił i odszedł, zdecydowany odnaleźć wreszcie aparat telefoniczny.

Gabinet na drugim piętrze był pełen książek i jeśli Kelley dobrze pamiętał, zdjęć z autografami. Ojciec Zeedee'ego z Rooseveltem, Trumanem, Stevensonem, Wagnerem. Ojciec Zeedee'ego, Daniel David, tak jak i jego ojciec, Isaac David, zbił majątek na rudach tytanu, a sporą jego część wydał na Partię Demokratyczną. Deedee* był swojego czasu filarem liberałów i, jak to ktoś kiedyś powiedział, przynosił zaszczyt swojej rasie. Komentarz Deedee'ego do tego określenia stał się bardzo sławny. Powiedział on mianowicie, iż jak tylko ktoś pomyśli o Żydach jako o rasie, następnym jego krokiem jest próba wyrugowania ich z tej planety. Deedee miał nadzieję, że jego starszy syn, Warren, który zginął w wypadku na nartach, zostanie pierwszym żydowskim prezydentem. Zeedee natomiast zaprzeczał, jakoby ktokolwiek z jego rodziny był Żydem, a zwłaszcza Warren, który „zjadał więcej wieprzowiny niż jakikolwiek człowiek na świecie”. Prawdę mówiąc, wychowywanie Warren z kobietami zaczynały być już sławne, gdy Parki bezlitośnie przecięły nić jego żywota na trasie w Aspen.

A w każdym razie tak przedstawiał to Zeedee. Jedyną rzeczą, jaką trzeba było mu przyznać, to to, że czasami bywał zabawny w szczególnie złośliwy sposób.

* Deedee – przydomek powstałe z inicjałów D.D. – Daniel David (fonet.: *di di*).

Gdy Kelley otworzył drewniane kasetonowe drzwi, Zeedee podskoczył, jakby ktoś strzelił mu nad głowę.

- Och, to ty – powiedział z westchnieniem.
- Przepraszam.
- Wszystko w porządku. Myślałem, że to tatuś, który wstał z grobu. Nigdy nie wiadomo. – Siedział za biurkiem, na którym stał mikroskop. – Sprawdzam to, co kupiłem – wyjaśnił. – Nigdy nie można być pewnym, co te diabły zrobią.

Na szkiełku mikroskopu rozsypany był biały proszek. Kokaina. Kelley dostrzegł ćwierćkilogramową torebkę. Czysta, uczciwa koka warta około dwudziestu tysięcy dolców.

– Uhm, bardzo dobrze – mruknął Zeedee. – Czyściutka. – Kiwnął zachęcająco palcem. – Zerknij sobie, stary.

– No, nie wiem. Ostatnim razem, gdy proponowano mi, żebyśmy dobie pooglądał, chodziło o gołą babę.

– To jest lepszy widok – powiedział Zeedee.

– Być może. Goła baba okazała się obrazkiem.

– To straciłeś dziesiątaka.

– Ćwiartkę – sprostował Kelley i pochylił się nad okularem.

W powiększeniu biały proszek wyglądał jak prążkowane kryształki iskrzące się w świetle. Kelley poznał kiedyś człowieka, który był miłośnikiem diamentów. Chodził wszędzie z małą lupą i kazał wszystkim przyglądać się ściankom kamieni, tak jak niektórzy dają do oglądania fotografie swoich dzieci. Nie można powiedzieć człowiekowi wprost, że jego dzieci są nudne.

– Śliczna trucizna – stwierdził Kelley.

– O, tak. Chcesz niucha?

– Broń Boże. Nie mam ochoty tańczyć przez całą noc.

Chcę spać. – Kelley wszedł do otwartej łazienki i skropił twarz letnią wodą.

– Nie jesteś wielkim wachaczem, co?

Kelley wytarł twarz małym białym ręcznikiem.

– A co, chcesz się zmierzyć? – spytał. – Mogę wziąć więcej tego gówna niż ty.

– Ja tylko tak... Nie musisz się od razu wnerwiać, człowieku.

– Nie wnerwiam się, człowieku – odparł Kelley.

Oto właśnie modny, elegancki Zeedee, pomyślał. Dziesięć minut temu prowadził wytworną rozmowę z ambasadorem, a teraz wyraża się jak sklepikarz. Powinien napisać na drzwiach: „Tutaj mówi się językiem potocznym”. I umieścić ten napis tuż obok plakietki „Holmes Electronics”.

– Chłopie, naprawdę nie wiesz, co tracisz – perorował Zeedee. – Wydaje ci się, że kiedyś popłynąłeś tak naprawdę? A gówno.

Kelley złożył ręcznik i ziewnął. Był zmęczony atmosferą tego przyjęcia, znudzony jego narkotyczno-mistyczną otoczką, ludźmi, którzy uważali się za umysłową elitę, wielkich wtajemniczonych w zakresie nowych stanów świadomości. Zupełnie jak młodzi z lat sześćdziesiątych, którzy brali LSD i którym wydawało się, że odbywają nieziemskie podróże w czasie i przestrzeni. Kelley był wtedy w Wietnamie. Nie znał to, że nigdy nie próbował, lecz zachował rozsądek i doskonale znał granicę pomiędzy potrzebą a młodzieńczym romantyzmem.

– Popatrz na ten towar – rozprawiał dalej Zeedee. – Ta goła baba tutaj ma dobrą klasę. Jeśli mówię dobrą, to znaczy naprawdę dobrą. Bardzo czysta. Chook to dobry dostawca. A

przecież może domieszać cokolwiek. Prokainę, lidokainę, boraks, heroinę czy nawet cukier. Cokolwiek! Choćby mleko w proszku!

– To znaczy, że także arszenik.

– No nie! Nie żartuj! Czy zdarzyło się to już kiedyś?

– Wszystko może się zdarzyć – zauważył Kelley. – Możesz śmiało założyć, że już się zdarzyło.

– Nie znasz Chooka. To ktoś. Ma kupę wysoko postawionych kumpli.

– Niby gdzie? – spytał Kelley i wyszedł do łazienki. – Wiesz może coś o mojej żonie? Dzwoniła do ciebie?

– Kto miał dzwonić? – Zeedee był zajęty dzieleniem kokainy na porcje.

– Nieważne – mruknął Kelley i podniósł słuchawkę. – Mogę zadzwonić i narazić cię na stratę następczej dziesięciocentówki?

– Łatwo przyszło, łatwo poszło. – Zeedee wciągnął niewielką ilość kokainy do nosa.

– Informacja? Poproszę o numer Marcusa Imry'ego – powiedział Kelley do telefonu. – Halo! Nie numer studia fotograficznego, tylko prywatny, do domu. Tak, do rezydencji.

– Kolegujesz się ostatnio z Marcusem? – spytał Zeedee.

– Nie za bardzo. Ale Karen lubi jego żonę. Zostawiła mi kartkę, że będzie dziś u Candy.

– Czy Marcus zrobił ci kiedyś jakąś propozycję?

– Nic o tym nie wiem.

– Cóż... Odpowiadasz jak Ogden Nash. Candy jest ładniutka, ale Marcus to szybki chłopczyk. – Zeedee pociągnął

nosem raz jeszcze. – Wielki Boże! Człowieku! Powinieneś tego spróbować!

Telefon Candy nie odpowiadał, więc Kelley odłożył słuchawkę.

– Naprawdę powinieneś spróbować – namawiał Zeedee. Odchylił się w krzesło, wstrząsany krótkimi leciutkimi dreszczami, gdy jego krwioobieg ożywał pod wpływem narkotyku. Po chwili usiadł prosto i poruszył nosem, patrząc na Kelleya. – Mam! To jest to! Nie żartuję!

– Dobrze – odparł Kelley.

– Nie, stary. „Dobrze” to za mało powiedziane. Cudownie! Wspaniale! Oto odpowiedź na wszystko!

– Niezła. Mały „nosowy” mistycyzm, co?

– O tak. Baw się! Baw się razem z nami! – podchwycił Zeedee. – A jak myślisz, co robią ci wszyscy faceci? Mówię o tych w wysokich górach, którzy wypatrują, czy płonie busz.

– Na pewno nie biorą koki – odrzekł Kelley. – Musieliby być w Andach.

– Pedant. Jesteś nieznośnie dokładny i pedantyczny. Coś tam muszą brać. Meskalinę, trawkę, hasz. Mówię ci, tacy, którzy znoszą z gór duże ciężary, biorą kokę. To cholernie ciężkie. – Zeedee zachichotał. – Hej, gdzie ja byłem?

– Szukałeś odpowiedzi na wszystko.

– Aha. No tak. Słuchaj, Chook! – zawołał nagle i spojrzał na Kelleya, jakby oczekiwał, że ten zrozumie głębię jego myśli. Kelley jednakże milczał. – Chook! Rozumiesz? Lekarstwo na twoje kłopoty.

– Daj spokój. Muszę wracać do domu i położyć się spać – powiedział Kelley.

– Nie, nie. Musisz iść do Chooka i stać się bogatym. Albo wypłacalnym. Pojmujesz?

– Nie.

– Coś takiego! Nawet dziecko by zrozumiało. Słuchaj! Ty potrzebujesz inwestorów. Nadążasz? Wypłata dwadzieścia za jednego.

– Człowieku! Daj mi spokój! Idź swoją drogą, a ja pójdę swoją.

– Cóż... – Zeedee westchnął i smętnie pokiwał głową. – Ale paranoja! Oto oferuję ci gotowe rozwiązanie, a ty mi dasz kopa w dupę i każesz iść swoją drogą.

– Właśnie. Idź swoją drogą.

– Pewnego dnia... Pewnego dnia... – Zeedee wstał zza biurka i zaczął pakować swój skarb. – Pewnego dnia zrozumiesz i docenisz moją propozycję.

– Już wiem, na czym ona polegała – odparł Kelley.

– Tak?

– Na tym, aby dać się przygwoździć.

ROZDZIAŁ 4

Portier przy Park Avenue nie był dzisiaj zbyt szczęśliwym człowiekiem. Zgłoszono już ze dwadzieścia skarg. Wzywano policję i wszystko spoczywało na jego głowie.

– Wszystko, co dzieje się w tym domu, bracie, skupia się na mnie. Tak już jest. – Głos miał jak Rochester; głęboki, chrapliwy, murzyński. Zrezygnował z dzwonięcia do mieszkania Imry'ego. – Oni po prostu nie wiedzą – kontynuował swój monolog. – Nie wiedzą, że w sobotnią noc zawsze jest głośniejsza muzyka w mieszkaniu tego alfonsa. Chcesz tam iść, proszę bardzo. Ja pozwalam. Czujesz, że coś byś rąbnął, wydymał, spieprzył. Nie krępuj się! Mieszkanie 12 H. Ej! – zawołał za Kelleyem. – Powiedz im, że przysłał cię Groucho.

Już w windzie słyhać było sprzęt stereo, który dudnił toporną australijską melodią. Kelley zadzwonił do drzwi, po czym pomyślał, że chyba będzie musiał w nie kopać. Ale nie, drzwi były otwarte.

W mieszkaniu było tłoczno. Albo obchodzono tu Sylwestra o pięćdziesiąt tygodni za wcześnie, albo to wciąż był

poprzedni Sylwester. W dwudziestometrowym holu ludzie tłoczyli się jak sardynki. Kelley zaczął rozmyślać o tym, że zmieściliby się w porządnym dwusilnikowym samolocie. Brrum! I start! Zanurzył się w pulsujące hałasem ludzkie mrowie. Łokciami torował sobie drogę wśród skórzanych kurtek i metalowych okuć, cekinów i włosów, aż wreszcie, prawie zdeptany, dotarł do równie zatłoczonego salonu. Była tu spora gromadka szczebioczących homoseksualistów. W powietrzu niemal fruwały androgeny. Zauważył mężczyzn, którzy mogliby pozować do zdjęć kulturystów i kobiety, które dołożyłyby wszelkich starań, aby wyglądać jak młode dziewczyny. Zastanawiał się, kim są ci ludzie? Czy powinien ich znać? Niby skąd miałyby ich znać? Nagle ktoś postukał go palcem w plecy. Kelley odwrócił się. Nie znał jej.

– Cześć – zawołała, przekrzykując ponad pięćdziesiąt tysięcy decybeli, emitowanych przez zespół „Eurythmies”. – Dotarłeś tu w całości? – Była jedną z tych ślicznotek, których zdjęcia zdobią okładki *Cosmo*. Cała składała się z długiej szyi i oczu. Pełne seksu spojrzenie zaprogramowano w tych oczach już w życiu embrionalnym, żeby ich właścicielka miała mniej pracy w przyszłości. – Jestem Anita Ramone. Pamiętasz mnie?

– Jasne. Jak ci leci?

– Miałam kłopot. Dawno. Byłam w Kalifornii. I zrobili mi test.

– Wassermana?

– A kto to jest? – Potrząsnęła śliczną główką.

– Nieważne. Nikt – odparł Kelley. – Żartowałem. Miło było cię spotkać, Ramono.

- Anito.
- Jasne. Anito – zgodził się Kelley i postanowił odejść.
- Chodzi o syfa, kotku – odezwał się ubrany w czarną skórę „młodzieniec” w średnim wieku. – Test Wassermana to badanie, które ci robią, aby sprawdzić...

Kelley nie słuchał dalej.

Ludzie z włosami ufarbowanymi na wszystkie kolory tęczy. Facet z kolczykiem w nosie. Mężczyzna w kobiecym stroju lub wyjątkowo brzydka kobieta. Marcus Imry, troskliwy gospodarz, elegancki, zgrabny, wyglądający niezobowiązująco i stylowo, jak z *Vogue'u*, rozprawiający beztrąsko w kręgu uroczych młodych mężczyzn. Małżeństwo Marcusa z Candy było farszą. Zeedee określił je jako „związek, którego skonsumentowanie pozostaje w sferze bardzo pobożnych życzeń”. Jednakże oboje małżonkowie byli zadowoleni. Candy osiągnęła godny zazdrości status zarówno towarzyski, jak i materialny, a Marcus zapewnił sobie ochronę przed wścibstwem bliźnich.

Kelley otworzył drzwi do pokoju gier. W rogu stołu bilaradowego siedziała naga ruda dziewczyna z szeroko rozstawionymi nogami, których centrum stanowiło dodatkowy cel dla bili. Gracze tworzyli rozgadaną grupkę rozpieszczonych zamężnych młodzieńców.

– Au! To boli! – krzyknęła dziewczyna, gdy szósta bila trafiła do celu.

Kelley skierował się do sypialni. Karen siedziała z Candy na łóżku zarzuconym masą futer. Dwie szczupłe blondynki

w otoczeniu skór wszelkich zwierząt, jakie kiedykolwiek biegały po lesie.

– Policja! Proszę się nie ruszać – powiedział spokojnie Kelley.

Kobiety zbladły i odwróciły się gwałtownie z wyrazem przestraszenia na twarzy.

– Bardzo zabawne – stwierdziła nadąsana Karen.

– Nie tak znów bardzo – odrzekł Kelley. – Już ktoś ich wezwał.

– Serio? – zdziwiła się Candy.

Kelley zastanawiał się, czy ona w ogóle ma świadomość tego, co dzieje się wokół niej. Wyglądała jak anorektyczka na diecie.

– Sądziłem, że może zechcesz przyciszyć ten hałas – powiedział Kelley.

Candy zeskoczyła z łóżka, lecz nagle zmieniła zdanie.

– Dobrze grają. Niech grają dalej – zdecydowała.

– Zostajesz, czy idziesz? – zwrócił się Kelley do Karen.

– Oto głos pana i władcy.

– Miło, że pokazałeś się u Zeedee'ego – zauważył Kelley.

– Miło, że zadzwoniłeś, tak jak cię prosiłam – odparła Karen.

– W tym cholernym hałasie nie usłyszałaabyś wybuchu trzeciej wojny światowej, a co dopiero telefonu.

– Nudzisz.

– Nie ma co pytać cię o to, czy idziesz. Oznajmiam ci więc, że ja wychodzę – powiedział Kelley.

– Do widzenia – odparła Karen.

– Och, zapomniałam. Witaj w moich progach – rzuciła na odchodnym Candy.

Gdy Kelley był już w korytarzu, przyjechało dwóch zachowatych Portorykańczyków w policyjnych uniformach.

– Trzeba było wziąć ze sobą pałki i tarcze – powiedział Groucho, lecz policjanci tylko się skrzywili.

– Jeszcze się nauczą – skomentował Kelley. Odźwierny przytaknął.

– Pewnie będzie pan chciał złapać jakąś taksówkę. Mógłbym zapalić tu światło i moglibyśmy usiąść tu sobie i miło pogawędzić o stanie tego kraju. Zaraz potem można by już zamówić śniadanie.

Kelley potrząsnął głową.

– Nie uwierzysz, stary – powiedział. – Ale to chyba najlepsza oferta, jaką dziś dostałem.

– Cóż... – stwierdził Groucho. – Ta blondynka która właśnie idzie, pewnie zmieni pana plany.

Karen, owinięta w futro z norek, skierowała się do drzwi. Kelley nie odezwał się, gdy podeszła do niego. A ona nie odezwała się, gdy ujęła go za ramię.

– ...branoc, ludzie. Bawcie się dobrze – rzucił Groucho.

Podczas długiego spaceru w śmiertelnej niemal ciszy przez aż dwie przecznice Karen zmoczyła nogi. Kelley chciał wykrzyknąć jej w twarz: „O co ci chodzi? Gdzie jesteś? Kim jesteś?”

– Niełtych masz przyjaciół – powiedział zamiast tego. – Co to było?

– Przyjęcie.

– Czy miałem sam się tego domyślić? A z jakiej to okazji?

– Ot, dla paru przyjaciół Candy.
– Och! A ja myślałam, że może było to huczne powitanie nowo przybyłych Marsjan.

– To już twoja sprawa – odparła Karen. Przez chwilę szli dalej w milczeniu. – Był tam „Śmiertelny Upał” – dodała po chwili.

Kelley nie był pewien, co odpowiedzieć na to stwierdzenie, więc pozostawił je bez komentarza. Doszli już do domu i weszli do holu. Prawie zawsze nadąsany odźwierny skłonił się czapką.

– Ten, no... „Śmiertelny Upał” to jakaś grupa rockowa? – spytał wreszcie Kelley.

– Witaj w dwudziestym wieku – odrzekła Karen.

Kelley uznał, że chyba oznacza to potwierdzenie.

Weszli do mieszkania. Karen zrzuciła futro i zostawiła je w holu. Przyjrzała się swoim kompletnie zniszczonym czerwonym satynowym pantoflom.

W sypialni pospiesznie zrzuciła je z nóg i kopnęła ze złością. Stała boso w jedwabnej czerwonej wieczorowej sukni, ze wzburzonymi jasnymi włosami i wyglądała jak postać z filmu fantastyczno-naukowego. Śliczna kosmitka gotowa rozpętać małą międzyplanetarną wojnę.

– Słuchaj, nie musiałaś wcale wychodzić – zaczął pojednawczo Kelley i zatarł ręce.

– Zaczynało robić się nudno.

– Ach tak?

– To też jest nudne.

– Owszem – powiedział Kelley.

– Niedobrze mi.

– To idź do łóżka.

– Nie o to mi chodzi. – Karen energicznie potrząsnęła głową.

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparł Kelley i zaczął zdejmować ubranie. – Ja mam chęć na kanapkę. Przynieść ci coś?

Karen spojrzała na niego.

– Naprawdę nie rozumiesz, o czym mówię, co? – W jej oczach błysnęły iskierki przestachu.

– O pustce – rzekł Kelley cicho.

Karen przytaknęła.

– Przytul mnie – powiedziała.

Gdy przysunął się do niej, poczuł śliski dotyk jedwabiu na swoim nagim ciele. Czuł wzrastające napięcie. Przytulił ją mocno i odnalazł ustami jej rozchylone, jakże delikatne wargi.

– Nie... nie o to mi chodzi – szepnęła.

Odsunął się szybko, zażenowany.

– Tylko mnie przytul.

– Jakież dalsze instrukcje? – spytał.

– Och, nie zachowuj się jak łajdak. Proszę.

– Tylko jak tatuś.

– Tylko mnie przytul – powtórzyła. – Proszę, Burke, zrób coś, żebym była miłsza.

Zaniósł ją do łóżka, a po drodze rzucił na podłogę jedwabną suknię, którą z niej zdjął. Karen była jeszcze szczuplejsza niż dawniej. Kiedyś jej piersi wypełniały całkowicie potężną męską dłoń. Teraz wydawały się zwiędłe i obwisłe. Kelley ujął jedną z nich, dotknął językiem sutka, a potem otoczył go wargami. Czuł niecierpliwą dłoń Karen. Nie prowadziła żadnej gry, po prostu dawała mu do zrozumienia, że ma jak najszybciej zrobić to, co do niego należy. Przywarła do niego nagłaco.

– Wypieprz mnie do utraty zmysłów – wyszeptała.

Kelley odczuł to nie jako preludium do miłosnej ekstazy, a raczej jako krzyk rozpacz, modlitwę o ratunek. Gdy osiągnęła swój cel, Kelley miał wrażenie, że z jego strony był to tylko akt gniewu, zajadłe pragnienie wtłoczenia w nią czegoś w rodzaju uczucia.

Po wszystkim odsunęła się szybko od niego i w milczeniu patrzyła w sufit. Rozumiał to. Cóż można było powiedzieć? Szybki lot i okropne lądowanie. I jeśli nawet kości bolą jeszcze trochę, wstrząs był nieznaczny i szybko poszedł w zapomnienie. Cóż więc można powiedzieć prócz: „Taxi!”

– Masz jakieś proszki? – spytała Karen. – Jestem wykończona i naprawdę chciałabym zasnąć.

Kelley sięgnął po papierosa.

– Nie powinnaś mieszać zbyt wielu prochów z wódką.

– Nie piłam „wódki”, jak to osobliwie ująłeś.

Kelley nie podjął dyskusji, ale Karen nie rezygnowała.

– „Wódka” – parsknęła. – Wiesz, że wyrażasz się jak czerstwy prostak?

– Błady prostak – poprawił ją Kelley. – Prostak staje się czerstwy i ogorzały od słońca, gdy pracuje na polu. Ten, który pracuje w kopalni, jest błady.

– Wracamy do twojego smutnego dzieciństwa?

– Nie było smutne, było zasrane. A to różnica, jeśli mogę skorygować twoją wypowiedź. Chcesz skończyć jak Karen Ann Quinlan*?

Karen Ann Quinlan – młoda kobieta, która zapadła w śpiączkę po zmieszaniu alkoholu i barbituranów. Po długim okresie półżycia-półśmierci zmarła, nie odzyskawszy przytomności.

– Czy ona zadawała się z prostytutkami w niewłaściwy sposób?

– W niewłaściwy sposób używała pastylek nasennych i mieszała je z wódką, czy jak tam chcesz to nazwać.

– Poddam się – powiedziała ze znużeniem – jeśli dasz mi jakieś proszki.

Kelley nalał trochę wody do szklanki i przyniósł dwie żółte tabletki valium.

– To dobre dla dzieci – mruknęła Karen, ale połknęła pastylki, rozlewając odrobinę wody na brodę.

Zgasiła światło i włączyła telewizor. Prognoza pogody, najświeższe, błyskotliwe nowinki z Chicago, Waszyngtonu, Bostonu i Nowego Jorku. Obrazki z zasypanego śniegiem Buffalo. Mężczyźni w średnim wieku dostają zawałów od machania szuflą. Kelley zatrzymał się na chwilę w drzwiach, zawiązując szlafrok.

– Prawie sześćdziesiąt centymetrów śniegu i ciągle pada – klepał spiker. – Lotniska aż do gór Adirondack są zamknięte i...

Kelley wyszedł z pokoju. Tak jak farmer, który idzie na pole, aby obejrzyć zniszczone zbiory, on obejrzał prognozę pogody, odbierając ją jako osobistą zniewagę. Ile samolotów będzie tkwiło na ziemi? Przez ile godzin? Ile dni? Margaret miała rację. Nie ma szansy, aby dotrzeć do Glen Falls, dojechać na farmę i zobaczyć się ze Strykerem.

Przez chwilę stał w ciemnym salonie i patrzył przez okno. Śnieg, którego kilkucentymetrowa warstwa pokryła miasto,

zaczynał teraz zamarzać. Park skrywała biała szata. Drzewa stały nieruchome, skamieniałe jak zwielokrotniona sylwetka żony Lota.

Kelley podszedł do biurka i otworzył zapakowane w folię pudełko czekoladek z Paryża. Znalazł paczkę bibułek, zrobił sobie skręta i wrócił do okna.

Był już gotów, aby usiąść i poważnie przedyskutować z samym sobą kwestię pieniędzy, malejących wpływów i sposobów ratunku. Po pierwsze, będzie musiał zadzwonić do Pułkownika i bardzo ostrożnie to z nim rozegrać. Użyć tonu, który przemówiłby do Pułkownika, a jednocześnie nie brzmiał jak zboliała skarga. A jeśli to nie poskutkuje? Cóż, będzie musiał ruszyć na łowy. Cena akcji jest obecnie „niewiele spekulacyjna”. Świetnie. Jest jeszcze mnóstwo spekulantów, facetów tak chętnych na uniknięcie morderczych podatków, że posunęliby się bardzo daleko. W tym kraju krążyły wielkie pieniądze, które każdego dnia szły raczej tą lewą niż prawą, uczciwą drogą. Lokowano je w „złoty interesach”, chowano do skarpety i w różne inne dziwne miejsca, byle tylko nie dać ich głodującym dzieciom w Afryce. A więc on nie odbierze ich nikomu od ust, ściągnie je po prostu z pewnego rodzaju gry w benkle czy też z ewentualnej inwestycji w „Gwiezdną Wojnę VIII”.

Kelley miał zawsze mieszane uczucia, jeśli chodziło o pieniądze. W klubach strzeleckich mówi się, że to nie broń zabija, lecz człowiek. Kelley wiedział, że nie pieniądze tworzą korupcję, lecz są one po prostu jednym z możliwych jej narzędzi. Doceniał radość płynącą z posiadania własnych zasobów. Cieszyło go też ich gromadzenie. Na początku swojej

kariery zrobił kilka mądrych inwestycji: kupił złoto po czterysta, a sprzedał je, gdy osiągnęło niewiarygodnie wysoką cenę ośmiuset pięćdziesięciu sześciu dolarów. Takie samo szczęście nowicjusza miał w kwestii rynku. Wiedział bardzo niewiele, lecz wyczuwał jego rozwój, tempo czy ewentualne zachwiania. Lubił też wydawać pieniądze do pewnych granic. Kupił na przykład cudownie wyremontowany samolot, siedmiomiejscowego dwusilnikowego Beagle'a*, który co prawda nie przypominał psa myśliwskiego, a raczej Pluto z kreskówki Disneya. Wyglądał idiotycznie, lecz był wspaniały. Kupił też rudoczerwone ferrari, apartament przy Fifth Avenue i piękną willę na południowym wybrzeżu Francji. A potem już przesycał się tym wszystkim i znudził. Oczywiście Rosetti też miał rację mówiąc, że większość pieniędzy wsadził w firmę. A to znaczy, że jego ryzyko nie było skalkulowane i to, co stało się z firmą, dotknie także jego. Gdyby chciał mógłby to przemysleć. Zastanowić się nad tym, że nawet jeśli pieniądze nie dają gwarantowanej radości, ich brak jest straszną rzeczą. Tak więc z osobistego punktu widzenia powinien trzymać się jak najdalej od kłopotów. A jeśli już, to mocno dzierżyć ster swojej łodzi.

* Beagle – nazwa samolotu wzięta od angielskiej rasy psa myśliwskiego.

Ale strata firmy? I co dalej? Nawet teraz, w momencie gdy miał kompletnie związane ręce, nie widział siebie jako jednego z tych, którzy nagle chwytają się czegoś nowego, głęboko w to wierząc. Gliniarze, którzy zostają aktorami, aktorzy, którzy

zostają prezydentami. Nie. On trzymał się jednego. Jego wiedza dotyczyła jednej dziedziny – lotnictwa. Był pilotem. Pilotem, który miał wiele szczęścia. Ale od miesięcy trapiło go uczucie, nie przecucie, nic równie głębokiego, po prostu uczucie, że jego najeżony przeszkodami romans ze szczęściem ma się ku końcowi.

No cóż, to wciąż był cholernie dobry lot.

Kelley raz jeszcze zaciągnął się trawką. W głowie rozbrzmiewała mu jakaś melodia. Nie pamiętał związku, nie był pewien, czy w ogóle był takowy. Słyszał jedynie nucenie:

*Śmiało płynie po niebie,
lotem lekkim, wspaniałym,
na podniebnym trapezie,
ten młodzieniec zuchwały.
Pełne gracji ma ruchy,
co zachwyca dziewczęta,
i... coś tam, coś tam, coś tam...*

ROZDZIAŁ 5

Gdy Kelley opuścił szpital wojskowy, nie uważał się bynajmniej za bohatera. Wręcz przeciwnie; sądził, że po prostu miał podwójne szczęście, bo po pierwsze uratował tyłek, a po drugie nie stracił oka. Oko jednakże było zamknięte, ponieważ w ranę wdarła się infekcja. Doktor stwierdził, że skoro oko jest w zasadzie bezużyteczne, to równie dobrze można je usunąć. Kelley zaproponował więc, że skoro kutas starego doktora jest w zasadzie bezużyteczny, to równie dobrze też można go usunąć, przy czym jednooki Kelley najlepiej by się do tego zadania nadawał.

Kelley poszedł do wojska jedynie po to, aby nauczyć się latać. Na plakacie rekrutacyjnym nie było ani słowa o Wietnamie. Hasło brzmiało: „Zdobądź skrzydła” i Kelley rzeczywiście zdobył je jako jeden z najlepszych. Nauczył się pilotować helikoptery i jednocześnie, co rzadko miało miejsce, samoloty o stałej geometrii skrzydła. Za ten przywilej zapłacił dwiema turami w Wietnamie. Po wyjściu ze szpitala nie miał ochoty długo pozostawać na ziemi, chciał wrócić do latania. Jego

przypadek został przedstawiony doktorowi Quintero i głównemu „konserwatorowi ludzkich mechanizmów”, który pociągnął za odpowiednie sznurki i wkrótce został zwolniony ze służby. Musiał tylko przez rok nosić osłonę na oku.

Wyszedł ze szpitala i zanurzył się w mgłę otulającą tego dnia San Francisco. Przystanął na schodach, poprawił torbę na ramieniu, popatrzył na biały opar i odetchnął głęboko. Nie miał pojęcia, dokąd mógłby pójść, ani co robić. Jego rodzice zmarli; ojciec na pylicę płuc, a matka z przemęczenia życiem w wieku czterdziestu sześciu lat. Kelley miał dwadzieścia pięć lat, pięćdziesiąt tysięcy ciężko zarobionych dolarów i żadnego miejsca w życiu.

Ruszył na spacer po mieście. San Francisco w lecie 1971 roku było wciąż jeszcze rajem hippisów. Pełno było tam dziewczyn w długich kolorowych spódnicach i chłopców z nagimi, pozbawionymi włosów torsami, w opaskach na czole i koralikach na szyi. Ich hałasem było „Pokój i miłość”, a na widok Kelleya klęli i wołali: „Zabójca”. Określano go tak nie pierwszy i nie ostatni raz, zdołał więc wyrobić sobie stosunkowo jasny pogląd na wszystko. Można być przeciwnikiem wojny, lecz wojna przez duże „W” nie ma nic wspólnego z pechowymi głupcami, którzy umierają gdzieś na polu i którzy mieli tyle wspólnego z polityką zagraniczną, co płatnik podatków z podatkami jako całością. Żołnierze piechoty byli tylko takimi właśnie płatnikami. Jeśli potrzebowali amunicji lub czekali na ewakuację rannych, ktoś musiał lecieć. Koniec, kropka. Na filozofię przyjdzie czas później.

Kelley natknął się na miłą, mroczną knajpkę w sąsiedztwie szpitala, cisnął torbę na zakurzoną podłogę i zamówił whisky. Przy stole raczyła się piwem grupa hippisów; ładna ruda dziewczyna i kilku chłopaków. Siedzieli cicho i spokojnie. Kelley w milczeniu wysączył whisky i zdecydował, że nadeszła chwila, aby opracować plan. Dysponował większą ilością pieniędzy, niż mógłby kiedykolwiek śnić, jednakże nie tak dużą, aby zrealizować swoje największe marzenie. Chciał mieć własne linie lotnicze, własny kawałek nieba. Zamysł wylął się w speluncie, w czasie trzydniowego pobytu w Sajgonie. Dyskutowali o tym na trzeźwo i po pijanemu. Blake, Turner, Kelley i Scott. Postanowili, że ich linie będą czymś w rodzaju powietrznych usług taksówkowych. Należało tylko kupić parę używanych, ale w dobrym stanie, maszyn i zainstalować się dokładnie w centrum jakiegoś miasta. Turner proponował Nowy Jork, a Kelley chciał rozszerzyć usługi na cały stan, co stanowiłoby konkurencję dla istniejącego przewoźnika. Reszta z entuzjazmem poparła ideę Kelleya. Ale nic z tego nie wyszło. Żaden z nich nie kupił samolotu. Blake zginął, rozerwany wybuchem w Quang Tri. Scotty kupił farmę przy Dong Ha. Turner zaginął bez wieści i prawdopodobnie poległ. A Kelley zarobił kulkę w kość czołową tuż nad okiem.

Zapalił papierosa i spojrzał w lustro. Nawet w mroku i z pewnej perspektywy wyglądał jak najgorszego autoramentu opryszek, z którym nikt, a zwłaszcza on sam, nie chciałby zawrzeć bliższej znajomości. Tym bardziej był zaskoczony, gdy kilka minut później ruda hippiska podeszła do niego

i usiadła po jego lewej ręce. Widział w lustrze, jak mu się przygląda.

- No i co myślisz? – spytał wreszcie Kelley.
- Jeszcze nie wiem – odparła. Miała piwne uczciwe oczy.
- Dobra, to daj mi znać, kiedy już coś postanowisz.
- Udzielisz mi wywiadu? – spytała.
- Wywiadu?!

Dziewczyna nazywała się Barbara Lewinter, choć Kelley nazwał ją w myślach „Basia z Berkley”. Była, jak to sama przyznała, fanatyczką pokoju, brała aktywny udział w demonstracjach, pisała artykuły, a teraz zbiera materiał jako wolny strzelec. Pracowała nad studium o *Psychice powracających weteranów*. Zapytała go, gdzie się zatrzymał, gdyż chce zatelefonować i umówić się na spotkanie. Kelley nie wiedział jeszcze, gdzie zamieszka. Barbara sugerowała Sausalito, gdyż według niej zawsze świeciło tam słońce, nawet wtedy gdy San Francisco osnute było mgłą. Zaproponowała nawet, że go tam zawiezie.

Rzeczywiście Sausalito było słoneczne. Nie opodal mieszkania Barbary znalazł się pokój do wynajęcia w starym drewnianym domu, na parterze którego mieściła się restauracja. Stół, łóżko, krzesło i kuchenka turystyczna. Pierwszy dom Kelleya. Barbara poszła z nim do sklepu, gdzie kupił parę talerzy i trochę podstawowych artykułów spożywczych. Spytał dziewczynę, co sądzi o jego „psychice weterana”.

- Jesteś na luzie – odparła.

– Dopiero teraz. Do momentu wyjścia ze szpitala ani przez chwilę nie byłem na luzie.

W łóżku Barbara była czuła, słodka, bardzo naturalna i kochająca.

– Byłbyś naprawdę dobrym hippisem, wiesz? – powiedziała.

– Już zacząłem nim być.

Przez jakiś czas nawet próbował; chciał zatrzymać ten pokój i tę dziewczynę, zapuścić bujne wąsiska, opalić się i nauczyć surfingu. Nie miał jednak odpowiedniego usposobienia, aby unosić się z prądem, nieważne, życia czy wody. Mimo swoich dwudziestu pięciu lat był w jakiś sposób niezsynchroizowany. Mężczyznom pływającym na deskach i wałęsającym się po plaży oraz dziewczynom błędnie odczytującym jego zewnętrzny spokój wydawał się typowym Wodnikiem, chłodnym i opanowanym. Mówił z charakterystycznym gardłowym akcentem z Kentucky. Barbara powiedziała kiedyś, że mówi tak, jak śpiewa Kris Kristofferson. Koledzy, z którymi latał, uważali go za lekkomyślnego, impulsywnego człowieka, który jest za pan brat z ryzykiem. Kobiety, z którymi sypiał, wyraźnie odczuwały powierzchowność, chwilowość jego uczuć i doznań. Jedynie Turner, jego przyjaciel z wojska, rozumiał go. Rozumiał też, że Kelley owładnięty jest dążeniem do absolutnej wolności.

– Musisz cały czas udowadniać, że możesz zrobić wszystko – powiedział mu kiedyś Turner. – Że jesteś tak absolutnie wolny, że możesz nawet umrzeć. I czasami zachowujesz się, jakbyś już to posiadał.

- Co?
- Wolność śmierci.

Kelley wynajął samochód i pojechał do San Francisco. Ślezczał w bibliotece, wertował podręczniki o zarządzaniu liniami lotniczymi, o ekonomii i organizacji w tej branży. Zaczął czytać specjalistyczne gazety w stylu *Aviation Daily* i wszystkie artykuły dotyczące lotnictwa, opisujące decyzje i posunięcia, które umożliwiły przekształcenie marzeń w rzeczywisty sukces. Mimo że nie miał dostatecznego wykształcenia, nie brakowało mu błyskotliwej inteligencji. Był wystarczająco bystry, aby rozumieć, że w chwilach kiedy nie wie wszystkiego, należy próbować i szukać aż do skutku. Sprawdzał wykresy i statystyki dotyczące linii w całym kraju i wyniki poszczególnych firm. Chodziło o to, że aby władze federalne nie mogły wpływać na poziom cen i zasięg tras, należało ograniczyć się do lotów wewnątrz stanu. Turner miał rację; stan Nowy Jork był odpowiednim miejscem na rozpoczęcie działalności. Dostatecznie rozległy, aby zaoferować opłacalne ekonomicznie wewnętrzne połączenia, i wystarczająco zaludniony, aby zapewnić ich obłożenie. Im więcej czytał, nabierał coraz silniejszego przekonania, że koszty ogólne można utrzymać na niskim poziomie tak długo, aby poczynić znaczne oszczędności, a jednocześnie wciąż mieć zyski. Doszedł do wniosku, że najchętniej kupiłby parę starych samolotów Dakota. Trzydziestościeściomiejscowe, z tłokowymi silnikami. Dakoty mogły przewieźć komplet pasażerów na odległość trzystu siedemdziesięciu kilometrów z Nowego Jorku do Syracuse, przy średnim koszcie pięciu dolarów za miejsce.

– A z taką ceną – tłumaczył Barbarze – można pobić konkurencję sześć razy w tygodniu, a w niedzielę... sprzedawać bilety za pół ceny.

– Ile? – spytała. Miała na sobie swój zwykły plażowy strój, to znaczy džinsy i długi rozciągnięty podkoszulek, tym razem różowy. – Chodzi mi o to, ile trzeba na początek?

– Około pięciuset tysięcy dolarów – odparł Kelley.

Dziewczyna otworzyła usta ze zdumienia, kiwnęła głową i powróciła do czytania.

Kelley napisał liczbę patykiem na piasku, podkreślił i spojrział uważnie na swoje dzieło.

– Zero, zero, zero, zero, zero – powiedział. Barb podniosła wzrok znad stronic *The Bell Jar*. – Liczyłem tylko zera – wyjaśnił Kelley.

– Mhm. Masz ich całe mnóstwo – odrzekła słabo. – Aż pięć, o które musisz się martwić.

– Jeśli człowiek martwi się za dużo, wyskakują mu brodawki na nosie. Twoja mama nie mówiła ci o tym?

– Nie. Ty nigdy się nie martwisz?

Kelley wzruszył ramionami.

– A widzisz tu jakieś brodawki? – spytał.

Kelley poleciał do Nowego Jorku, kupił sobie nowy garnitur za sto dolarów i porządny niebieski krawat. Potem odwiedził kilka banków. Nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń do jego obliczeń i planów. Hasło „linie lotnicze” zatrzymywało każdego bankiera w miejscu szybciej niż wystrzał z pistoletu. Gdyby nawet wszyscy w mieście znajdowali się pod wpływem

zbiorowej hipnozy, to na dźwięk tych słów potrzęsali głową i unosili rękę.

Linie lotnicze, mówiono, to przedsięwzięcie tak samo ryzykowne jak jazda na diabelskim młynie w wesołym miasteczku. Biorąc się za to, można boleśnie upaść, i to ze znacznie większym prawdopodobieństwem, niż siadając na leżaku. A w ogóle jest zasadniczy warunek, że „ryzyka nie poniesie ani pożyczkodawca, ani inwestor”. Kelley szybko doszedł do wniosku, że nie ma doświadczenia i odpowiedniej wiedzy, aby normalną drogą wydobyć pieniądze od banku. Jedynym sposobem byłby napad. W masce i z M16 w ręce.

Barb nalegała, aby zagrał w starą chińską grę w przepowiednie „I Ching”. Rzucił więc monetą i uzyskał trzydzieści pięć punktów, czyli „Postęp”, z szóstką na początku:

„Postęp, ale zawróciłeś z drogi.

Wytrwałość daje powodzenie.

Jeśli spotkasz się z brakiem zaufania,
powinieneś zachować spokój.

Nie możesz pozwolić sobie na błędy”.

Książka adresowa miasta Santa Barbara podawała, że William Jefferson wciąż mieszka przy Olympic Boulevard pod numerem 127. Kelley pojechał tam pewnego niedzielnego popołudnia. Nie miał pojęcia, jacy są starzy Jeffersonowie i jak zareagują. Może nazwą go sukinsynem? A może wezwą policję? A chodziło o to, że Jim Jefferson, dwudziestoczteroletnia

ofiara wojny w Wietnamie, aś przestworzy, miał polisę na życie w wysokości ćwierć miliona dolarów, płatną już w chwili, gdy jego ciało dotknęło ziemi. Kelley też miał taką na dwieście tysięcy. Firmy ubezpieczeniowe sprzedawały je każdemu, wprowadzając klauzulę wojenną do polisy. Nawet rzeczywiste przypadki śmierci w wyniku morderstwa na wojnie nie były tak pewne i przejrzyste, jak by życzyły sobie tego towarzystwa ubezpieczeniowe.

Jefferson był takim właśnie okropnym przypadkiem.

Jego rodzice mieszkali w czteropokojowym mieszkaniu w zdobionym sztukaterią domu z czerwoną dachówką. Przed oknami rosła zniszczona palma. Ojciec Jima był pracownikiem poczty, a matka po prostu gospodynią domową z oczami pełnymi łez, wykrzykującą co chwila: „Może jeszcze kawałek ciasta?”

Kelley zachowywał się poważnie, uprzejmie i z atencją. Powiedział rodzicom, że ich Jimmy stoczył wspaniałą walkę i ani słowem nie wspomniał, że chłopak był rozpustny, obłeśny i głupi, że złapał syfa i nauczył się słów, których nie przepuściłaby cenzura na pocście. To zepsułoby cały plan. Teraz Kelley zaczął obrazowo przedstawiać coś w rodzaju skrzyżowania wycieczki turystycznej ze zlotem skautów. Dzieciaki siedzące wokół trzaskającego ogniska w malowniczym lesie, rozważające dylematy ich młodego wieku i snujące nieprawdopodobne marzenia.

– A naszym marzeniem, proszę państwa, były własne linie lotnicze. Cała nasza czwórka śniła o tym. Jimmy, Billy,

Scotty i ja. Lecz tylko Jimmy ubrał te marzenia w słowa. A oto co powiedział: „Linie lotnicze to coś więcej niż tylko firma. To także służba publiczna”.

– Naprawdę tak powiedział?

– Tak, proszę pani. Tak właśnie powiedział. I wydaje mi się, że... no, rozumie pani, że jeśli teraz doprowadzę sprawę do końca, to będzie to coś w rodzaju, hmm ... pośmiertnego hołdu dla tych, których młode życie przedwcześnie zgasło. – Spojrzał na panią Jefferson. – No i byłoby to spełnienie ostatniej woli Jimmy'ego. – Spojrzał na pana Jeffersona. – I, oczywiście, spłacę państwu te pieniądze w ciągu najbliższych siedmiu lat, powiedzmy z sześcioprocentowym zyskiem. Mam tu nawet pewne wypisane już dokumenty...

Opuścił Santa Barbara z potwierdzonym czekiem bankierskim na siedemdziesiąt tysięcy dolarów.

Leżeli na plaży. Barb odwróciła się do niego.

– To było oszustwo – powiedziała.

– Lepiej zejdź już ze słońca – odparł Kelley. – Zaczynasz przybierać kolor tego paskudnego podkoszulka, mała.

Podkoszulek, który Barb miała dziś na sobie, był pomarańczowy.

– No i dobrze. Możesz wycisnąć ze mnie sok na śniadanie. Ale teraz mi odpowiedz.

Kelley zapalił papierosa i skrzywił się.

– Nikt tego nigdy nie kwestionował. Tylko ty mówisz, że to oszustwo.

– A nie?

– Nie. Daję im lepszy procent niż bank, a w tym samym czasie bank wypłaca procent mnie. Więc jakie tu oszustwo?

– Sprawa Jeffersona – powiedział Barb. – Słyszałam o jakimś Turnerze, o jakimś Scotcie i Blake'u. Ale nie słyszałam o żadnym Jeffersonie.

– No i co z tego? Może zapomniałem ci o nim powiedzieć.

– Och! – Barb odwróciła się ponownie i spojrzała na ocean. – Lepiej zejść ze słońca – dodała po chwili.

– Ja? Dlaczego?

– Zaczynasz przypominać kolorem jednocentówkę.

Kelley nie odezwał się. Przyglądał się dziewczynie, która wciąż patrzyła na morze.

– Słuchaj – powiedział wreszcie. – Wiesz, co jest na jednocentówce?

– Lincoln.

– Słowa: „Ufamy Bogu”.

– I co z tego?

– Zaufaj mi – powiedział i roześmiał się.

Nie chciała. Wstała i powoli ruszyła wzdłuż plaży.

Odkrył, że państwo Blake mieszkają w El Paso.

Wyjechał z El Paso z potwierdzonym czekiem. Miał teraz sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a Barb coraz częściej chodziła na samotne spacerki.

Rozłożył się na plaży z kolejną dużą partią czasopism lotniczych i sto dwudziestym pierwszym numerem *Aviation*

Manual. Pochłonięty był regułami i wymogami bezpieczeństwa. Tak bardzo zatracił się w czytaniu, że nie zauważyłby, gdyby ktoś wynurzył się na muszli z fal oceanu, albo wyskoczył z butelki. A jednak dziewczyna stała tuż obok niego. Wyglądała jak żywa reklama czegośkolwiek. Pasty „Colgate”, szamponu „Palinolive” czy wycieczki do Kalifornii.

– Jesteś lotnikiem? – spytała.

– Uhm. Chcesz ze mną polatać? – rzucił żartobliwie.

Dziewczyna kiwnęła głową. Albo miała twarz, która śmiertelną powagą okrywała poczucie humoru, albo nie miała go w ogóle. Kelley nie był pewien.

– Chcesz spróbować lądowania, czy będziesz tu po prostu stała i poprawiała włosy? – spytał.

– Co się stanie, gdy usiądę?

– No, wiesz. To co zwykle. Mogę poczęstować cię papierosem. Zapytam też, jak się nazywasz.

– Ojej – westchnęła. – Możemy darować sobie te głupoty? Nazywam się Tina i pracuję dla Western Airlines. Mieszkam niedaleko Waldo. – Podrzuciła swą piękną głowę. – Chcesz zobaczyć, gdzie to jest?

– Niczego bardziej nie pragnę.

Miała nieduży domek z ogromnym łóżkiem. Żadne z nich nie miało zbyt wielu sztuk odzieży do zdjęcia. Położyli się i dziewczyna wzięła go całego w posiadanie.

– Och! – westchnęła. – Zobaczyłam cię na plaży i powiedziałam sobie, że muszę to mieć.

– Obiekt pożądania.

Trzymała ten obiekt pożądania w dłoni. Kelleyowi wydawało się, że nagle znalazł się w środku jakiegoś filmu. To nie

mogło dziać się naprawdę. Leży sobie na plaży, czyta, aż tu nadchodzi Miss Kalifornii i mówi: „Muszę to mieć”.

– Och... niewiarygodne – wybuchnął. – Gdzieś ty się tego nauczyła?

– Jadłam zawsze dużo lodów na patyku.

– Coś niesamowitego.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna. Kelley miał jeszcze nadzieję, że to też mu się śni. Wielki, dziki Irlandczyk z ogniście rudymi włosami. Na chwilę zapadła mroząca krew w żyłach cisza. Dziewczyna sturlała się z łóżka, a Kelley rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na oręż.

– Znowu? – rzucił nonszalancko wielkolud, podszedł do komody i ściągnął koszulę. – Ona potrafi zajeździć nawet kombajn, o ten – dodał i zmienił koszulę.

– Siedząc na nim i kręcąc się – powiedziała słodko.

– Nie jesteś chyba jej mężem? – zaryzykował Kelley.

– Numer jeden.

Kelley skinął głową, naciągnął koc na swoją grzeszną nagocę i odchrząknął.

– Ładna koszula – mruknął.

Atleta wybuchnął śmiechem.

– Powiedziałbym ci, kim jestem, ale chyba bardzo byś się zdziwił.

– Najprawdopodobniej – odparł grzecznie Kelley.

Zapalił papierosa, odwrócił się do Tiny i podsunął jej paczkę. Lecz najwidoczniej jego pierwsze wrażenie było trafne: ona nie miała poczucia humoru. Siedziała naga i wyprostowana

na łóżku, a na jej twarzy malowała się wściekłość. Tak wyraźna i oczywista, że Kelleyowi przyszło na myśl porównanie jej do lalki Barbie, ubranej w kaftan bezpieczeństwa.

– Pedały! – wrzasnęła. – Dwa pieprzone pedały!

Mężczyzna znowu się roześmiał.

– Zaczekam na zewnątrz – powiedział.

– Zaraz tam będę – odparł Kelley. – To zbyt głębokie dla mnie przeżycie.

Podniósł się powoli i wciągnął spodenki. Tina zaczęła kłać, głównie mężczyznę, którego nazywała „Stryker”. Stryker bardzo spokojnie podniósł klucze. Kelley zebrał swoje czasopiśma i sięgnął po koszulę. Tina zaczęła teraz wyzywać Kelleya. Nie tylko wyzywać, ale naprawdę przeklinać, tak jak to robią rozwścieczone węgierskie Cyganki. Wylicyła wszystkie barbarzyńskie demony zniszczenia, które czekają na jego, Kelleya, męskość. Rzuciła nie tylko słowa; parę innych rzeczy także: szczotkę do włosów, książkę i filiżankę do kawy, która rozprysła się na drzwiach, gdy obaj mężczyźni zamknęli je za sobą.

Szli w milczeniu wykładaną kamieniami ścieżką. Wszystko wskazywało na to, że było to niezbyt wrogie milczenie. Stryker był nieco wyższy od Kelleya, potężny jak skała, około trzydziestki. Doszli już do końca ścieżki. Przy krawężniku, tuż za małym volvo Tiny, stał zaparkowany żółty mustang.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– No cóż... – zaczął Stryker.

– Dokładnie tak – powiedział Kelley.

Miał ochotę wybuchnąć śmiechem, lecz wciąż jeszcze nie był pewien, czy nie dojdzie do bójki. Stryker spojrzął na bliźnię Kelleya, przesunął wzrok na książki i z powrotem na bliźnię.

– Wietnam? – spytał.

– Uhm.

– Lotnik, jak mi się widzi. A przez przypadek nie ze Sto Pierwszego?

– W rzeczy samej – skrzywił się Kelley.

– Niech mnie diabli. Ja też. Wydostałem się stamtąd chyba pod koniec sześćdziesiątego siódmego.

– Straciłeś najlepszą część.

– Taa... Tak mówią. – Stryker się uśmiechnął. – Co ja ci mogę powiedzieć, stary. Ta dziewczyna włązi na wszystko, co sterczy do góry.

– Niestała?

– O, właśnie. To słowo mi umknęło. Słuchaj, może cię gdzieś podrzucić?

– Dobrze byłoby do Sausalito. Ale możesz tylko powiedzieć mnie do szosy – powiedział Kelley, gdy już usadowili się w samochodzie.

Stryker ruszył z piskiem opon. Kelley oparł się wygodnie i opuścił przeciwsloneczną osłonkę. Słońce wciąż świeciło oślepiająco. Pomyślał, że mógłby jeszcze wrócić na plażę.

– Dziwne, co? – powiedział Stryker. Kelley nie odpowiedział. – No, to, że jestem jej byłym mężem. To wydało ci się dziwne, prawda?

– Ani jedno, ani drugie.

– Co?

– Ani ze mężem, ani ze byłym.

– Aha. No dobrze. Niech ci będzie.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Stryker patrzył gdzieś nieobecny wzrokiem.

– Kupiłem dom – zaczął. – Wydawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi. A potem... Och, stary! To jest wściekła suka. Idzie do supermarketu i robi to z rzeźnikiem. Robi to na półkach! No, może trochę przesadzam. – Zerknął w lusterko. – Ale może poczujesz się lepiej, jak powiem, że ona robi to tylko z przystojnymi facetami.

– Poczuję się naprawdę lepiej, kiedy mi powiesz, że jest badana.

– Tak. – Stryker się roześmiał. – Człowieku, ona robi laskę doktorom. Tobie też robiła, co?

To pytanie zawisło w ciszy pomiędzy nimi. Wreszcie Stryker ryknął śmiechem.

– To musiało być zabawne, kiedy jeszcze trwało – powiedział Kelley.

– Nie, bracie. To było istne piekło – odparł Stryker. – Latiałem w Western Airlines, ale zostawiłem to, wyjechałem z miasta, musiałem nabrać do tego jakiegoś dystansu. Nająłem się u tego faceta. Wielki teksaski buc. Jestem jego prywatnym pilotem. Takim powietrznym szoferem. – Wzruszył ramionami. – Płaci mi świetnie. Często latam do Vegas i mam tam wolny czas. Może trzy razy w miesiącu lecę do San Francisco, dlatego zatrzymałem ten dom. No... to jest jeden z powodów. Tanio go kupiłem jakieś cztery lata temu i wolę mieć dom niż forszę.

– Tina wciąż tam mieszka?

– Tina? Nie. Używa go po prostu, żeby się tam pieprzyć. Wyszła ponownie za męża.

– Ach tak.

Znowu milczeli przez chwilę. Stryker przyśpieszył trochę. Jechali wzdłuż wybrzeża oceanu. Stryker rzucił okiem na pisma i książki Kelleya, które leżały na siedzeniu.

– Coś organizujesz, czy to tylko marzenia? – spytał.

– Hm... nazwijmy to na razie tylko marzeniami.

– Masz szmal?

– To jedna z rzeczy, o których nie myślę. Widziałem ogłoszenie o samolotach. W Cox, w Newadzie. Wiesz, gdzie to jest?

– Pewnie. Około stu kilometrów od Vegas. Jak chcesz je obejrzeć, albo co, to wracam na pusto. Start około południa – dodał.

– Jutro?

– Tak. Dalej „tak tylko” marzysz?

– W południe skąd?

– Z Oakland. – Zbliżali się już do Sausalito. Stryker podjechał do krawężnika. – Dwudziesta stojanka. Pytaj o samolot pułkownika Hollisa. A tak w ogóle, to jestem Charlie Stryker.

– Wyciągnął rękę do Kelleya.

– Kelley.

Od tego spotkania minęło wiele czasu, zanim dla Kelleya stało się jasne, że Bóg czasami działa w bardzo tajemniczy sposób.

ROZDZIAŁ 6

Trzy Dakoty, jedna po przeglądzie, gotowa do lotu, dwie wymagające remontu. Wszystkie logi i instrukcje osiągalne. Ceny poniżej przeciętnych. Tylko u Eda w „Mobile Air”.

Stryker odłożył gazetę z ogłoszeniem.

– Nawet jeśli są używane, wyeksploatowane – powiedział – to wciąż mówimy o dwustu tysiącach za sztukę. A dwie z nich wymagają remontu.

– Umiem czytać – odparł Kelley. Siedzieli w smażalni ryb na plaży w Vegas. – I uważaj. Chlapnąłeś musztardą na moje marzenia.

– A poważnie, masz na to forszę?

– Ani trochę. Mam za to jakieś pięćdziesiąt tysięcy długu.

– Kelley pociągnął łyk piwa. – A dwie z nich potrzebują remontu.

– To co zrobisz, jak ci się spodobają?

– Gram w ciemno – powiedział Kelley i sięgnął po czek.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię. Nigdy tego nie wiem zawczasu. Sam siebie czasami zaskakuję. Ale skoro chcesz iść ze mną, to zobaczysz, co zrobię.

„Mobile Air” okazał się czymś w rodzaju parkingu dla małych używanych samolotów. Były to głównie maszyny od dwu– do sześciomiejscowych, w większości jednosilnikowe i rolnicze. Ofiarowane zaś Dakoty okazały się rzeczywiście Dakotami, starymi weterankami DC-3, opastymi, brzydkimi stworami, które jednakże mogły zabrać trzydziestu sześciu pasażerów na maksymalnym dystansie dwudziestu siedmiu tysięcy kilometrów. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych stara Dakota była wołem roboczym w lotnictwie i transporcie wojskowym. Potem firma „Douglas” przestała je produkować z powodu braku popytu.

– Teraz nie robią już takich samolotów – powiedział Ed Spinnaker. – O, to ta dziecinka, o której gadamy.

„Dziecinka” miała co najmniej siedemnaście lat. Kelley obszedł ją dookoła.

– Zdolna do lotu?

– Mowa!

Farba na kadłubie łuszczyła się, ale opony były w porządku. Kelley przyjrzał się silnikom i ich obudowie. Dwie maszyny „Pratt Whitney” lśniły, wypucowane do blasku.

– A nie mówiłem! – rzucił Ed Spinnaker. Wyglądał jak nieco wyleniały, lecz wciąż dumny orzeł.

– Latałeś na niej?

– Latałem na jej babce na Filipinach, mały. A tę przewietrzyłem w zeszłym tygodniu. Jak mówię, że jest zdolna do lotu, to jest.

Dwie starsze siostry DC-3 nie wyglądały już tak dobrze. Silniki pokrywała mieszanina rdzy i oleju, a klapy zwisały żałośnie.

– W tej padła hydraulika – stwierdził Kelley.

Spinnaker uniósł czapkę baseballową w górę, odśnianając siwe włosy, i opuścił ją na miejsce.

– No, mówiłem, że wymagają remontu. Pewnie chce pan obejrzeć książki lotów – powiedział i odszedł, aby je przynieść.

Kelley wspiął się do kabiny samolotu. W armii oznaczano go C-47, czyli transport ładunku bez miejsc siedzących. Pokład wyglądał jak kotłownia. Kabina pilotów jeszcze gorzej. Na fotelu siedziała jaszczurka. Kelley wziął ją do ręki i trzymał bardzo delikatnie. Usiadł w fotelu i pomyślał o Sajgonie. O Turnerze, który zginął lub żył gdzieś w obozie. O Blake'u i Scottym, leżących w grobie. Spojrzał na tablicę rozdzielczą starej Dakoty, pełną zakurzonych przełączników i guziczków. Miał wrażenie, że patrzy na nieznaną, dziwną kobietę w łóżku, zastanawiając się, gdzie są właściwe przyciski.

Charlie wytknął głowę z okienka sąsiedniego samolotu.

– Małe miki – powiedział nonszalancko. – Tak prosta w obsłudze, że dziecko by poleciało.

– To znaczy, że ty nie.

– Racja – przyznał Charlie. – Nie wiem, gdzie tu co jest, ale nie ma tego dużo. To nie jest szczególnie zadziwiająca maszyna.

Spinnaker wrócił z książkami lotów. Było ich dziewięć; po jednej dla każdego samolotu i po jednej dla każdego silnika.

Kelley dał połowę z nich Charlie'emu. Usiedli w małej komórecce nazwanej szumnie biurem. Popijali ciepłą colę i wertowali zapisane strony. Spinnaker kupił samoloty od wojska. Nie latały od połowy lat sześćdziesiątych. Egzemplarz zdatny do lotu przeszedł kompletny przegląd tuż przed tym, zanim armia go się pozbyła.

– Cóż... zawsze dobrze wiedzieć, że nasze podatki poszły na coś pożytecznego – zaczaj: Charlie. – To takie miłe uczucie, prawda? – Spojrzał na Kelleya. – No i co o tym sądzisz?

– Dwa nowe silniki, kompletny przegląd, malowanie z zewnątrz i wszystko, co konieczne, wewnątrz.

– Trzeba około stu pięćdziesięciu kawałków, żeby doprowadzić je do stanu używalności.

Kelley nie odpowiedział. Przyłożył do ust pustą butelkę i zagwizdał.

– Samolot towarowy – rzekł nagle i zamilkł. – A co sądzisz o takim samolocie, który woziłby pasażerów w ciągu dnia, a towary w nocy? – spytał po chwili.

– Byłby bardzo niewygodny dla pasażerów albo bardzo wygodny dla towarów. No bo co zrobisz? Będziesz kładł skrzynki na siedzeniach?

– Po prostu wyjmę fotele. Są takie, które dają się błyskawicznie wymontować.

– Można coś takiego zrobić? – zdziwił się Charlie. – Cholera! Ty mógłbyś to zrobić, co?

– I ty mógłbyś – odparł Kelley. – Prawda?

– Ty na pewno mógłbyś! Zwróciłoby ci się to, co zainwestowałbyś.

– To prawda – odparł Kelley.

Odłożył książki lotów i ruszył w stronę Spinnakera, który robił coś przy Cessnie 150.

– Masz jakieś pytania? – zagadnął Kelley Spinnakera.

– Do czego potrzebne ci te maszyny? – spytał Ed Spinnaker i skrzywił się w blasku słońca.

– Do pracy – odparł Kelley. – A ty myślałeś, że do czego?

– Nie chcę się wtrącać, ale nie wyglądasz na takiego, co ma własne linie lotnicze. Dlatego jestem ciekawy. Towar czy ludzie?

– Ludzie.

Spinnaker pociągnął nosem, kiwnął głową i powoli otarł usta.

– Sam tego próbowałem, wiesz? W 1950 roku. Ale pośrednictwo lepsze – powiedział. Kelley się nie odezwał. – No dobra. Sto kawałków za ten latający. A te dwa razem za sto dwadzieścia pięć. I nie próbuj targować się ze mną, chłopcze, bo już to sam zrobiłem. Chcę czterdzieści pięć z góry.

– A może sześćdziesiąt z góry, a sto osiemdziesiąt za wszystko. Sześćdziesiąt w gotówce.

– Co to znaczy w gotówce? – Spinnaker zerknął na Kelleya.

– Takie zielone banknoty z prezydentem – wyjaśnił uprzejmie Kelley. – Spod mojego materaca pod twój.

Spinnaker wykrzywił się, lecz po chwili skinął lekko głową, jakby obawiał się, że na tym pustkowiu jest podsłuch.

– A jak chcesz go sprawdzić? – zapytał. – Ten tu poleci? – pokazał kciukiem Strykera.

– Ja sam mogę – odrzekł Kelley.

– Co to, to nie. Nie moim samolotem. Jeśli w ogóle masz licencję, to pewnie trzeciej klasy – zaprotestował Ed. – Ślepy na jedno oko, rozwali mi samolot, a ja będę robił interesy pod całą.

– Racja – poparł go Charlie. – Lepiej daj mi podręcznik. Wsiedli do samochodu.

– Świetnie – odezwał się znów Charlie. – Miałem iść na randkę, a muszę zostać w domu i czytać twój podręcznik.

– Nie martw się tym.

– Jak to nie? Nie mam zwyczaju latać czymś, czego nie znam.

– Powiedziałem, nie martw się tym. Nie polecisz.

– To dobrze. A kto poleci? – zainteresował się Charlie. Kelley odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał na niego bez słowa. – O nie! – zawołał Charlie. – Nie będę twoim drugim.

– Spokojnie.

– Co, spokojnie!? Dajesz mi wspaniały wybór: albo sam się zabiję, albo ty mnie zabijesz.

– Spokojnie. Nie martw się – odparł Kelley.

Kelley wrócił do wynajętego pokoju około siódmej. Wziął prysznic, ogolił się i przyjrzał bacznie swojej bandyckiej fizjonomii, odbitej w lustrze. Barb miała rację. Jego twarz miała kolor jednocentówki. Zaskoczyło go nieco to, że chyba tęskni za Barb. Byli przyjaciółmi i nagle przyjaźń się skończyła. Rozumiał jej powody, lecz nie czuł się winny. Zrobił to, co musiał. I mimo wszystko uważał, że Jefferson i Blake ubawili

się tą historią, tam, w zaświatach. Gdyby tak nie było, już dawno przyszliby go straszyć. I to też byłoby w porządku.

Ubrał się szybko w stare dżinsy i czystą niebieską koszulę. Nalał sobie drinka, podszedł do okna i oparł się plecami o parapet. Jego pokój był mały i przytulny, dający złudzenie wspaniałości. Białe francuskie mebelki, zasłony koloru czerwonego wina. I niczym nie zakłócony widok na duży parking.

Popatrzył na lamborghini i wysiadającą z niego parę. Opały gość w szarym kowbojskim kapeluszu i biuściasta rudowłosa, uczepiona jego ramienia. Kelley słyszał jej cichy śmiech.

– Aleś go załatwił – powiedziała.

Kelley złapał się na rozważaniach, kogo ten facet musiał załatwić, żeby zdobyć taki samochód.

Sam się nad tym zastanawiał. Istniało niewiele legalnych sposobów zdobycia pieniędzy. Zastosowanie jakiejś szczególnej metody również nie przyniosłoby większych efektów; może starczyłoby na życie, ale nie starczyłoby na latanie. Konkluzja zatem była następująca:

Nie miał wystarczającej ilości pieniędzy. Za wszystko co zarobił, oszczędził, wybrał i pożyczył może wyremontować dwa samoloty. I to wszystko. Zostałby z parą maszyn na ziemi. Certyfikat dopuszczający je do latania kosztowałby następne pięćdziesiąt kawałków. I nadal miałby parę samolotów stojącą na ziemi. Bez załogi, bez stanowisk, bez biura, bez personelu, bez ubezpieczenia i bez reklamy.

Nadszedł czas, aby zrobić następny ruch.

Kelley wyciągnął z portfela czek bankierski i przyjrzał mu się badawczo.

„Słownie: czterdzieści pięć tysięcy dolarów”.

Należały do niego. Zapłata za Wietnam. Za godzinę wypadało mniej, niż adwokat z urzędu zarabia za wygłoszenie mowy obrończej. Ale miał je w ręku. Tu i teraz.

Podszedł do łóżka z czekiem, rzucił się na pościel, zapalił papierosa i spojrzął raz jeszcze na trzymany w dłoni kawałek papieru.

Pomyślał o matce, która oszczędzała przez rok, aby kupić tanie koronkowe firanki.

Pomyślał o garniturze, w którym ojciec brał ślub i w którym pochowano go dwadzieścia lat później.

Pomyślał o sobie samym, rąbiącym drzewo przez siedem godzin w palących promieniach słońca, aby móc zabrać dziewczynę do kina. Nie pamiętał tylko, co to była za dziewczyna.

Zgasił papierosa i zszedł na dół do kasyna.

– Dziesiątka, dziesiątka, dziesiątka, proszę bardzo – ogłosił krupier. – Łatwo czy trudno, czekamy na dziesiątkę.

Grającym był poważny nieduży człowieczek z dużym zapasem sztonów ułożonych starannie przy barierce. Sprzyjające mu szczęście uczyniło go lekko spiętym i nerwowym. W sali było mniej więcej tak chłodno, jak koło krateru czynnego wulkanu, więc obfite krople potu znaczyły twarz grającego.

Kelley miał już setkę wygranej. Teraz postawił jeszcze pięćset na siódmkę i czekał niecierpliwie. Opalone na brąz dłonie złożył na barierce, rozpiął dzinsową kurtkę i wybijał stopą rytm na podłodze.

Spocony gracz rzucił wreszcie.

– Siódmka, skończone – oznajmił krupier.

Kelley zgarnął sztony i dołączył je do stosiku, który piętrzył się przed nim. Kilka tysięcy dolarów ponad to, z czym zaczynał grę. Zamówił jeszcze jedną whisky z lodem u dziewczyny z burzą platynowych włosów.

– Następny gracz wchodzi! – zawołał krupier.

Kolejnym wchodzącym był siwiejący blondyn z wątrobianymi plamami na twarzy i w przykurzonym garniturze. Jego wygląd nie spodobał się widocznie zebranym, gdyż zakłady spadły przy pierwszym rzucie. Kelley wstrzymał się tym razem.

– Gracz wyrzucał ósemkę. Do ósemki, proszę.

– Trudno będzie – powiedział Kelley i postawił sto dolarów na tę właśnie ósemkę.

Starszy mężczyzna popatrzył na niego wodnistymi błękitnymi oczami, skinął głową i rzucił.

– Dziewięć. Gracz wyrzucił dziewiątkę. Ósemka przegrywa.

Stawka Kelleya przepadła. Nikt inny na to nie stawiał, nawet sam rzucający, który, jak się później okazało, ryzykował tylko dwudolarowe sztony na pojedynczy rzut. Na razie rzucał dalej. Nie miał żadnej siódemki, ale ósemki także nie. Inni obstawiający mieli trochę więcej szczęścia przy zakładach na zbliżone punkty. Dziesiątka, dziewiątka, ledwie szóstka, a potem dwójka, czwórka i znów szóstka. Kelley nie chciał porzucić rąk starszego mężczyzny. Kelley podwoił zakład raz, a potem jeszcze dwukrotnie. Grał na ósemkę i miał już dwa tysiące sto dolarów na stole, gdy starszy pan rzucił po raz czternasty.

– Siódemka, koniec gry.

Sztony powędrowały do banku, a kości trafiły do Kelleya, który znalazł się w punkcie wyjścia. Kości dały mu wygraną, a potem zabrały.

Wybrał dwie kostki spośród pięciu oferowanych przez krupiera. Przytrzymał je chwilę w dłoni, pytając sam siebie, czy będzie miał szczęście, czy też nie. Nie odczuwał żadnych emocji. Nie czuł się jak człowiek, który gra o życie, a jedynie jak człowiek, który stoi przy stole z dwiema kostkami w ręku. Postawił na wygrywający rzut, potem na siódmkę. Zawahał się, postawił na jedenastkę, potrząsnął kośćmi bez jakiegos szczególnego rytuału i rzucił.

– Jedenaście.

Płacili piętnaście do jednego i Kelley wygrał osiem tysięcy dolarów. Pchnął je w stronę linii i rzucił. Szóstka. Obstawił szóstkę w pierwszej i drugiej serii na tysiąc dolarów. Wyrzucił kolejno: osiem, jedenaście, pięć, cztery i wreszcie dwie trójki. Miał już następne dziewiętnaście tysięcy dolarów. Najwyższą stawką stołu było szesnaście tysięcy. Postawił więc szesnaście tysięcy na wygrywający rzut. Przy stole rozgorzały emocje. Gorączka hazardu ogarnęła większość graczy.

– Oby tak dalej, synu – powiedział starszy mężczyzna, który stał na prawo od Kelleya. – Jestem już do przodu na dwadzieścia dolców.

Kelley wyrzucił siódmkę. A potem czwórkę, dziewiątkę, dziesiątkę, szóstkę i czwórkę. Wygrana dwukrotnie przewyższała kwotę, którą postawił. Dookoła niego zaczęli gromadzić się zaciekawieni ludzie, którzy okrzykami dodawali mu otuchy. Zerknął szybko na dziewczynę przyglądającą mu się poprzez stół. Jeśli była gwiazdą filmową, to Kelley zbyt długo

pozostawał wyłączony z normalnego życia, aby chodzić na jej filmy, lecz z pewnością mogłaby zagrać rolę femme fatal, śmiertelnie łamiącej męskie serca. Dziewczyna postawiła sto dolarów na wygrywający rzut. Kelley poczuł nagle, że kości lodowacieją mu w dłoni. Nigdy nie wierzył w podobne bzdury, lecz teraz doznał tego naprawdę; śmiertelnej pewności, wędrującej od czubków palców wprost do mózgu. Pewności końca. Zapalił papierosa, obserwowany przez jakieś sto par oczu, a potem zerknął na dziewczynę. Problem, który go zaprzętał, był paradoksalny. Jeśli postawi przeciwko sobie, wygra przy tych rzutach. Lecz jeśli szczęście się odwróci... to rzut będzie wygrywający, ale on sam przegra. I tak źle, i tak niedobrze.

Odetchnął głęboko i postawił szesnaście tysięcy na „każdy rzut”. Dziewczyna uniosła cienkie brwi. Zgodnie z regulaminem nie mogła już zmienić swojego zakładu. Kelley wzruszył ramionami i rzucił.

Dwójka.

Koniec gry.

Wygrał sto dwanaście tysięcy dolarów. Miał więc razem trochę ponad dwieście. Wiedział, że, już wyczerpał swój limit szczęścia. Wiedział, lecz postawił jeszcze tysiąc na wygrywający rzut. Wyrzucił czwórkę, siódmkę, przegrał ten tysiąc i poszedł do baru.

Dominującym kolorem w barze była czern. Czarne stoliki, czarne ścianki działowe i czarne pianino z czarnym pianistą, który grał Gershwina. Bar był niemal pusty. Kelley wybrał stół w pobliżu bębniącego pianina, aby zagłuszyć ewentualne myśli, i zamówił whisky. Ale i tak nie miał o czym rozmyślać.

Poza jednym. Chciał podwoić wygraną. Mógłby skończyć drinka i wrócić do stołu, ale przecucie mówiło mu, że nie powinien. Nie dzisiaj.

Po chwili do baru przysła dziewczyna, która go obserwowała. Towarzyszył jej mężczyzna, który podczas gry stał obok niej. Duża klasa i swobodna elegancja. Szpakowate włosy, kaszmirowy sweter założony na gołe ciało, białe spodnie i pantofle. Bez skarpetek. Dziewczyna wyglądała jak Catherine Deneuve. A może to była ona?

Zakurzony stary człowiek, który dzięki Kelleyowi wygrał dwadzieścia dolarów, również przyczłapał do baru. Zamrugał, oślepiiony mrokiem, i ruszył prosto do stolika Kelleya, który nie był pewien, czy tego akurat życzyłby sobie w tej chwili. Lecz starszek wydawał się zdecydowany.

– Pozwoli pan, że się przysiadę? – rzucił. Kelleyowi nie pozostało nic innego, jak zachęcająco machnąć dłonią. – Nie będę panu długo przeszkadzał. Mam tylko jedno pytanie.

Kelley zaproponował mu drinka. Przywołał kelnera i zamówił burbona.

– Mógłby mnie pan poczęstować papierosem? – zapytał starszek. – Zaciekawiło mnie – powiedział, dziękując Kelleyowi za ogień – jak pan skończył grę.

– Dwójką przed siódmką.

– Nie, nie o to mi chodzi. Pan zrezygnował już przedtem, zanim wyrzucił pan tę dwójkę. Większość graczy, których spotkałem w życiu, przykleja się do stołu, żadna siła nie jest w stanie ich oderwać. A pan nie. Chcę więc dowiedzieć się, co się stało. Zmarły panu nogi, czy co?

– Zmarły mi kości – zażartował Kelley.

– Usłyszał pan ich cichutki głosik, który szeptał, że już trzeba kończyć?

– Coś w tym rodzaju.

– Tak łatwo się pan poddaje? To leży w pana charakterze?

– To już ponad trzy – powiedział Kelley.

– Że co?

– Powiedział pan, że ma jedno pytanie. A było ich już kilka.

– Denerwuję pana, co? No cóż. Nie mogę panu mieć tego za złe. Przychodzi taki stary piernik, naciąga na drinka, wypala papierosa i zadaje masę głupich pytań. Ale to przez czystą ciekawość, synu. Wydawał mi się pan twardzielem. To jest ktoś, pomyślałem. Facet, który prawie stracił oko. A tak przy okazji, jak to się stało?

– Przez tego samego kota, któryomalże nie odgryzł panu języka – odparł Kelley.

Staruszek parsknął śmiechem. Kelner podał mu lampkę burbona, którą ten wychylił jednym haustem.

– A teraz – oznajmił wstając – pozostawiam pana jego słodkim marzeniom. Dzięki, że poświęciłeś mi trochę czasu, synu. Dzięki za tę odrobinę radości. I nie pozwól, aby jakiś kot zapolował na twoją forszę.

Odszedł z wciąż tłącym się papierosem, którego trzymał między kciukiem a trzema palcami, tak jak to robią pijacy. Żeby przypadkiem nie wypadł.

Kelley sączył whisky i rozmyślał nad ostrzeżeniem losu, które przekazały mu kości do gry. Sam przyznał wreszcie, że coś podobnego brzmi nader idiotycznie. Zawołał kelnera, zamówił jeszcze jedną podwójną whisky z lodem i poprosił

o cukier w kostkach.

– Wrzucić do szkockiej, proszę pana? – zapytał obojętnie kelner, przyzwyczajony widocznie do wszelkiego rodzaju dziwacznych życzeń klientów.

– Nie, na talerzyku. I byłbym wdzięczny, gdyby pożyczył mi pan swój długopis.

Gdy dostał cukier, wziął dwie kostki, namalował na nich kropki, tak jak na prawdziwych kościach do gry, i rzucił: dwie jedynki. „Oczy węża”. Rzucił ponownie. Czwórka, trójka. Siódemka. A potem dwanaście. Następna wygrana. I szóstka, i siódemka. Dziewczyna i jej towarzysz przyglądali mu się z udawanym rozbawieniem. Olewam ich, pomyślał. Skończył whisky i zawinął kostki w serwetkę wraz ze studolarowym sztonem. „Z wyrazami współczucia z powodu przegranej”, napisał na serwetce.

Wychodząc, poprosił kelnera o przekazanie zawiniątka dziewczynie.

Kiedy dotarł już do swego pokoju, pożałował tego gestu. Uznał, że było to zagranie tanie i dziecinne. Gdy zadzwonił telefon, Kelley był pewien, że to ta dziewczyna. Mam to gdzieś, powtórzył w myślach, ale podniósł słuchawkę.

– Słyszałem, że rozbiłeś bank – odezwał się Charlie Stryker.

– Pewnie. Coś w rodzaju małej czystki.

– No, jak dla ciebie to jest mała czystka, to chyba jesteśmy z różnych światów.

– Potrzebuję dwa razy tyle – odrzekł Kelley.

– Nie martw się. Szczęście lubi zwycięzców.

- Ja się nie martwię – zaproponował Kelley. – Ja po prostu... no tak, martwię się. Masz rację.
- A wiesz, o ile byłbyś szczęśliwszy, gdybyś był biedny?
- Odczep się.
- Dobra, dobra. Ale pomyślałem sobie, że ucieszy cię wiadomość, iż wziąłem do łóżka twój cholerny podręcznik.
- Nie chcę słuchać o twoich perwersyjnych zamiłowaniach seksualnych.
- Nie, to nie. – Stryker się roześmiał.
- Dobry z ciebie chłop, Charlie.
- Wiem. I na tym polega cały kłopot.
- Trzymaj się mnie, a dowiesz się, jak to zmienić – powiedział Kelley.

ROZDZIAŁ 7

Stryker zadzwonił bardzo wczesnym rankiem. Nie mógł wziąć udziału w próbnym locie, ponieważ musiał lecieć z Pułkownikiem na cały dzień do Frisco.

– Ale możemy to zrobić jutro – zaproponował.

Kelley przegrał w kasynie tysiąc dolarów, pojechał więc na wycieczkę, aby obejrzeć „sławną, wspaniałą tamę Hoovera”, jak to określił. Gdy wrócił, ujrzał na biurku małą kopertę z jego nazwiskiem, w dodatku błędnie napisanym: „Pan Kelly”. Gdy ją otworzył, na blat wypadł studolarowy szton i kartka: „Nie biorę pieniędzy od obcych. Za to lubię szampana”. Podpisu nie było. Zapytał portiera, czy może przypadkiem wie, kto zostawił tę kopertę.

– A jakże, proszę pana. Panna Houghton. Ale nie mogę zdradzić numeru jej pokoju. Jeśli chce pan jej posłać butelkę, to albo mogę to zlecić służbie piętra i oni się tym zajmą, albo pan sam odnajdzie tę panią w kasynie.

Kelley, w zasadzie bez powodu, dał mu napiwek i odszedł.

Nietrudno było znaleźć tę dziewczynę. Wysoko umocowane lampy oświetlały stoły do gry, przy których stali gracze.

Od blatu odgradzała ich czerwona gruba lina. Dziewczyna stawiała właśnie jakieś sztony, a towarzyszący jej elegancki bubek w kaszmirowym swetrze tańczył dookoła niej z kamerą, powtarzając: „Cudownie, świetnie, wspaniale”. Miała na sobie długą prostą sukienkę z kremowego jedwabiu. Włosy upięła wysoko. Kilka pojedynczych wijących się kosmyków muskało jej policzki. Wokół niej tłoczyła się grupka wyglądających na modeli, wytwornych mężczyzn w smokingach; widok w Vegas rzadszy niż zaćmienie słońca. Dziewczyna odwróciła się na moment, jakby coś ją zdekoncentrowało, i Kelley ujrzał agrafki spinające jej sukienkę. Rozbawiony, zatrzymał się na chwilę przy linie.

– Poczekaj! Nie ruszaj się! – krzyknął fotograf. – Chcę spróbować inaczej.

Dziewczyna przewróciła oczami i odsunęła się od stołu. Jeden z mężczyzn w smokingu zaczął głaskać jej plecy, podczas gdy podrygujący fotograf zmrużył oczy i zapatrzył się w przestrzeń, bez wątpienia poszukując ginącego w niej natchnienia. Jego wzrok napotkał Kelleya i bacznie go otaksował. Mistrz przygryzł wargę, nie wiadomo, czy z głodu, czy z głębokiego namysłu. Podszedł do dziewczyny i zamienił z nią kilka słów. Modelka spojrzała na Kelleya i przywołała go słodkim tajemniczym uśmiechem oraz kiwnięciem paluszka, swobodnym i nonszalanckim, acz nie pozbawionym przekonania o swojej skuteczności.

Kelley potrząsnął głową. Na twarzy dziewczyny odmalowało się rozczarowanie. Kelley roześmiał się, lecz oczami wyobraźni widział już siebie, jak całuje te cudownie odęte

wargi. I... podszedł do niej jak przyciągnięty niewidzialnym sznurkiem.

– Panie Kelley – powitała go. Z bliska wyglądała oniesmielająco. – To jest Marcus Imry. Bardzo sławny fotograf, który zarabia osiemdziesiąt tysięcy dolarów dziennie. Chciałby zrobić panu zdjęcie, opublikować je w czasopiśmie i zapłacić panu dolara. – Spojrzała na Imry'ego i zachichotała. – Dobrze to ujęłam?

Kelley nie odpowiedział. Starał się zająć w miarę obiektywne stanowisko, aby nie odebrać urody tej kobiety jako osobistej zniewagi. Podpisał zgodę na publikację i przyjął obiecane dolara. W tej samej chwili zjawiła się charakteryzatorka z tacą pełną kosmetyków i pędzelków.

– Nie mam tu nic do roboty – powiedziała.

Kelley stanął obok dziewczyny przy stole, w rozpiętej dzinsowej kurtce i wypłowiłym podkoszulku, doskonale widocznym w mocnych światłach.

– Dobra – powiedział Marcus. – Będziesz bogatym ranczerem z Teksasu. Albo nie. Nie podoba mi się to. Będziesz biednym szulerem. Tak, świetnie. Ona myśli, że jesteś biednym szulerem i nie chce się w tobie zakochać. Ale zakochuje się i wtedy okazuje się, że jesteś bogatym ranczerem z Teksasu. Dobrze. Teraz popatrz na nią. Pożądliwie, tak jak szuler, ale taki, który wie, że jest bogatym ranczerem. Rozumiesz?

Kelley się skrzywił.

– No cóż. Jak na razie mam jedynie dolara – powiedział.

– Racja. Dobra. Ale popatrz na nią pożądliwie.

Kelley spojrzał na dziewczynę, która stała obok niego przy

stole. Wysoka, smukła, w kremowej jedwabnej sukni, z włosami koloru szampana, w którym tkwią uwięzione płomyki świec.

– Jesteś dobrym aktorem – powiedziała mu później, przy obiedzie.

- Nie dopraszaj się.
- Czego? – spytała zdziwiona.
- Komplementów.
- A jestem dobra?
- Uhm – mruknął.

Dziewczyna przebrała się już w prostą niebieską suknię i rozpuściła włosy. Gdy wchodzili na salę, nie było głowy, która nie odwróciłaby się na jej widok.

– Ale ty też byłeś dobry – powiedziała, lekko przeciągając samogłoski.

- Z której części Stanów pochodzisz?
- Wiele osób twierdzi, że ze zdecydowanie złej – odparła i zrobiła minę. – Z jednej z tych brzydkich zabitych dechami dziur. Wiesz, takie prowincjonalne miasteczko, w którym jeśli chłopiec tylko spróbuje spojrzeć na dziewczynę pożądliwie, od razu nazywają ją narzędziem szatana.

- A jak nazywają chłopca?
- Chłopcem. – Roześmiała się.

Miała ładny śmiech. Czysty, pozbawiony afektacji. Naturalny, prawie jak u dziecka, Kelley miał wrażenie, że była młodsza, niż sądził w chwili, gdy obserwował ją w całej gamie strojów i wyuczonych póz. „Zabita dechami dziura”, „narzędzie szatana”. Niby ostre, twarde słowa, a jednak było w niej

coś kruchego i coś... Nie, nie mógł odnaleźć właściwego określenia. Jeszcze nie. Musiał poczekać.

– Jak się stamtąd wyrwałaś? – spytał.

– Z Teksasu? – Odstawiła kieliszek i stuknęła w jego nóżkę. – Cóż – zaczęła z melancholią. – Pewnego niedzielnego ranka wszyscy wsiedli do ciężarówki i zderzyli się z dużym samochodem przewożącym gaz. Cała rodzina oprócz mnie. Zapomniałam dodać, że jechali właśnie do kościoła. No, a siostra mojej matki jest w Chicago, więc... – Gwałtownie uniosła głowę i spojrzała Kelleyowi prosto w oczy. – Ale właściwie dlaczego ja ci to opowiadam? Na ogół mówią, że uciekłam z domu.

Kelley milczał przez chwilę.

– To pewnie przez moją uduchowioną twarz – odrzekł wreszcie.

– Akurat – powiedziała i przyjrzała mu się bacznie. – A może jesteś czarownikiem, co?

– Jasne. – Roześmiał się. – Dlaczego nie? Gdzieś tam daleko wódz Mohikanów zgwałcił córkę trapera.

– Serio? Naprawdę nie wiem, czy żartujesz, czy jesteś poważny.

– Nie, wcale nie żartuję. Moje drzewo genealogiczne jest pełne żołnierzy i traperów. To prawdziwa historia. Legenda Ameryki. Czyż nie mam racji? Żołnierze zginęli, a traperzy złapali się w pułapkę – powiedział.

Nagle zdał sobie sprawę, że dziewczyna nic nie rozumie. W tej samej chwili uświadomił sobie, że niewiele go to obchodzi. Pragnął jedynie mówić i mówić, nawet byle co, aby tylko patrzyła na niego z takim cudownym przejęciem, jak do tej pory.

– Ale ty nie dałeś się złapać – powiedziała szybko.
– Do diabła, nie! Wstąpiłem do armii. – Roześmiał się. – Zwiedziłem świat. Chociaż ostatnio oglądałem tylko jego lewą stronę.

Dziewczyna spoważniała nagle.

– Czy to... już tak zostanie?

– Nie. Jak mi zdejmą tę klapkę, to zobaczę także prawą stronę.

– I naprawdę wierzysz, że ona istnieje.

– Masz na myśli prawą, czyli właściwą stronę? Nie wiem, o co ci chodzi.

– O rzeczy, które okazują się właściwe, słuszne.

– Hm, cóż. Zobaczymy, prawda? – powiedział.

Obserwowała go uważnie, pochyliwszy głowę.

– Wiesz, co jest w tobie diabelnie pociągające? To, że wyglądasz, jakbyś wierzył, naprawdę wierzył, że rzeczy, które robisz okażą się właściwe. A nawet więcej, że zmusisz je, aby okazały się właściwe.

– Albo umrę próbując, panno Houghton.

– Karen.

– Karen. Może chciałabyś jeszcze kawy? Albo brandy?

Co mogę zrobić właściwego? Dla ciebie.

– Wszystko. – Uśmiechnęła się. – Myślisz, że moglibyśmy dostać jeszcze trochę szampana? Obawiam się, że jestem już nałogową pijaczką. Marcus mówi, że jestem jedyną znaną mu pijaczką, której ciągotki dotyczą wdowy Clicquot*. – Roześmiała się znowu, a potem widocznie przypomniała sobie swoje południowe wychowanie. – To znaczy, jeśli to nie będzie niestosowne.

* Wdowa Clicquot – „Veuve Clicquot” – francuski szampan w bardzo dobrym gatunku.

– Uwielbiam wdowy i sieroty – odparł Kelley i skinął na kelnera.

– Zastanawiam się... – zaczęła Karen. – Wyjeżdżam jutro do Nowego Jorku bardzo wczesnie rano, ale myślę, że może moglibyśmy wypić tego szampana w moim pokoju. To znaczy, no... jeśli miałbyś ochotę.

Siedział na kanapie i powtarzał sobie w duchu: „Powoli”. Karen siedziała obok, na wpół odwrócona do niego, z nogami podwinętymi pod siebie, z papierosem i kieliszkiem w dłoni. Wyglądała jak w uprzejmy sposób odwołane zaproszenie. A Kelley nigdy nie musiał wywazać żadnych drzwi. Teorię, że kobiety nie wiedzą, czego chcą, już dawno uznał za całkowicie bzdurną, a ponadto nie lubił tego, co łatwe, ale czasami sprawiało mu przyjemność to, co proste i przychodzące w naturalny sposób. Miał w życiu zbyt wiele kobiet, aby stawiać mniejsze wymagania. I nawet jeśli czuł teraz lekką irytację, to też było w porządku. Lecz był także zrelaksowany. Opowiedział o lotnictwie, dowiedział się, że Karen mieszka sama, że lubi to, co robi, że jej zdjęcia zdobyły okładki dwudziestu czasopism, że lubi przyjęcia i że nie jest zakochana. Instynktownie czuł jednak, że musi być coś więcej. Jakieś drzwi, których jeszcze nie otworzył, furtka do tajemniczego ogrodu.

Karen oparła się wygodnie, sącząc wino.

– Powiedz mi coś – zaczęła. – Coś, czego nigdy jeszcze nikomu nie mówiłeś.

Kelley wzruszył ramionami.

– Na wołowej skórze by tego nie spisał. Ale może chcesz wiedzieć, jak oznaczam bieliznę do prania?

– Myślisz, że jesteś taki twardy?

– Wcale tak nie uważam.

– Bo wiesz, że taki jesteś.

– W ogóle nie myślę, jaki jestem. Po prostu robię to, gdy trzeba.

– Robisz co?

– Cokolwiek. Gdy trzeba. Wszystko, co muszę. Albo chcę.

– Tak po prostu. Nie ma żadnej rysy na twojej zbroi.

– Tego nie powiedziałem.

– No, to powiedz mi... – Uśmiechnęła się. – Zadam ci bezpośrednie pytanie. Czego się boisz?

– Czego się boję? O, kurczę. Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chyba zamknięcia. Żeby nie zostać gdzieś zatrzaśniętym, uwięzionym. Gdy umarł mój ojciec, poszedłem do pracy do kopalni. Do kopalni węgla w Kentucky. Pod ziemią. Parę setek metrów. A kiedy zszedłem na dół, musiałem wsadzić pięść w usta, żeby nie krzyzczeć. Wyrośnięty, osiemnastoletni facet, który uchodził za twardziela. Chciałem krzyzczeć. Miałem wrażenie, że zakopano mnie żywcem. Myślałem: „To tak wygląda. Właśnie to chcą ze mną zrobić. Zakopią mnie żywcem, a potem dopiero zakopią mojego trupa”. Wytrwałem może z miesiąc. I musiałem wydostać się stamtąd i wyjechać tak daleko, jak to możliwe. A urodziłem się, aby zostać

kapitanem łodzi podwodnej. – Spojrzał na Karen, która siedziała już nieco bliżej, z głową na poduszce. – I teksaskim ranczerem. Bogatym ranczerem.

– Dla mnie możesz być nawet szulerem. Poważnie. Nie dbam o to.

– Rzeczywiście, nie – odparł.

Patrzyła na niego swymi piwnymi, głębokimi oczami, a on uświadomił sobie, że tej niezwyklej pięknej kobiecie powiedział więcej niż komukolwiek w życiu.

– Masz tu bliznę. – Palec Karen powędrował ku jego brwi.

– Mhm.

– Takie małe zgrubienie.

– Mhm.

Przysunęła się bliżej, a jej palec zbliżył się do ust Kelleya, który pocałował go. Spojrzał w jej oczy, uniósł się i dotknął wargami jej ust. Okazały się gorące i otwarte. Dłoń Kelleya ześlizgnęła się w dół i odnalazła krągłość ślicznych, odkrytych jedwabiem piersi. Karen zeszywniała i odepchnęła go. Wstała, przeszła przez pokój i stanęła, patrząc na niego. Palcami przeczesywała włosy. Kelley oparł się i potrząsnął głową.

– O co chodzi? – spytał.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy. To po prostu odpowiedź odmowna.

– Też odniosłem takie wrażenie.

– To dobrze. Dlaczego więc patrzysz na mnie w taki sposób? Nigdy żadna ci nie odmówiła?

– Chyba nie.

– Ależ ty jesteś cholernie zarozumiała!

– Nie – odparł spokojnie. – Jedyne pochlebiam sobie, że nigdy nie atakuję bez prowokacji.

– Ja cię nie prowokowałam.

– Kiedy są twoje urodziny, Karen?

– Chodzi ci o to, jaki jest mój znak?

– Nie. Chodzi o twoje urodziny. Jakiego dnia?

– Trzeciego maja.

– Świetnie. Trzeciego maja dostaniesz ode mnie słownik i przeczytasz sobie znaczenie słowa „prowokować” – powiedział. Karen zapaliła papierosa. – Trzeciego maja którego roku? – spytał.

Zawahała się.

– Pięćdziesiątego drugiego – odparła wreszcie.

Kelley roześmiał się gorzko.

– O, mój Boże! Masz dziewiętnaście lat. Dziewiętnastoletnia południowa... – omal nie powiedział „piękność” – dziewczyna. Jesteś dziewczyną, prawda? – dodał z nagłą pewnością.

– To usatysfakcjonowałyby twoje ego, co?

– Nie. Źle mnie oceniasz, moja panno.

– A co mam robić? Wszyscy zawsze ostrzą sobie na mnie zęby. Zawsze.

– No cóż. Dam ci dobrą radę, skarbie. Nie chcesz, żeby ostrzono na ciebie zęby, to nie drażnij niedźwiedzi.

Karen usiadła, oparła łokcie na biurku i wetknęła palce we włosy. Patrzyła na Kelleya bezradnie.

– Myślałam, że... że mogłabym spędzić z tobą parę miłych chwil. I tak... było.

– Gadaj zdrowa.

– Jesteś zły.

– Nie. – Kelley potrząsnął głową. – Jest mi przykro. Naprawdę przykro, że cię zdenerwowałem. Słuchaj, nie wiem jak ty, ale jeśli chodzi o mnie, to najlepiej będzie, jak sobie teraz pójdę i pouczę się do egzaminu. – Podniósł się z kanapy.

– A niech to cholera! Cholera, cholera. – Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

Podszedł do niej, uniósł dłonią jej brodę i przyjrzał się drobnej ślicznej zapłakanej twarzyczce.

– Musisz mnie nienawidzić – powiedziała Karen.

– Nonsens. Jesteś słodka, mądra i śliczna. No, może troszkę, wybaczone określenie, wkurzająca, ale z pewnością nie można cię znienawidzić. – Delikatnie otarł jej łzy, a następnie polizał swój palec. – Łzy dziewicy – powiedział. – Na szczęście.

– A niech to... – mruknęła i zamknęła oczy.

Kelley pocałował ją w policzek. Szybko i po bratersku.

W nocy zerwała się gwałtowna i głośna ulewa. Kelley obudził się na dźwięk grzmotu i stwierdził, że chyba zasnął przy zapalonym świetle, z podręcznikiem na brzuchu. Powrócił myślami do niesamowicie pięknej Karen Houghton, zastanawiając się, czy istnieje naprawdę, czy też wymyślił ją sobie. Kim ona jest? Sierotką Marysią, niewiniątkiem, spryciulą z twarzą aniołka? Podniecała go.

Zgasił światło i odłożył książkę na podłogę. Wreszcie zrozumiał, jak należy prowadzić Dakotę.

Poranek, który wstał, był brzydki i ponury. Gorący, suchy wiatr dmuchał od pustyni. Spinnaker kręcił się zaaferowany wokół samolotu jak ojciec, który wysyła córkę w drogę z parą łajdaków.

– W gorącym powietrzu maszyna jest trochę cięższa, więc będziesz potrzebował około stu dodatkowych metrów do startu. – Odwrócił się do Kelleya. – A jeśli jeszcze raz powiesz mi, żebym się uspokoił, pięknie...

– Co?

– Wolałbym, żebyś usiadł jako drugi pilot. I to przywiązany do fotela.

– Nie ufasz mi.

– To jesteśmy kwita.

Start poszedł niezbyt gładko. Lewy silnik zaskoczył, zgasł, zaskoczył, ponownie zgasł i wreszcie załapał z łoskotem przywodzącym na myśl przedśmiertne rżenie. Prawy silnik zapalił szybko.

– Hamulec postojowy.

– Zwolniony – odparł Charlie i otworzył przepustnicę. Toczyli się po pasie startowym.

– Jak ci idzie? – spytał Kelley.

– Jakbym pilotował dziesięć ton galaretki owocowej.

Kelley widział ze swojego fotela, że wolant był wciąż miękki, a pedały nie dawały oporu.

– Przed nami wysoka dama w ogromnym kapeluszu. Chcesz zamienić się miejscami?

– Dam sobie radę – odparł Charlie.

Pedał stwardniał, a wolant stał się sztywniejszy.

– Pilnuj prędkości.

Prędkość naziemna rosła. Dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt pięć... dziewięćdziesiąt siedem... sto...

– W górę – powiedział Kelley.

Charlie przyciągnął orczyk. Chciał opuścić ogon, co miało unieść w górę dziób i umożliwić im start.

– Powinien oderwać się od ziemi przy setce - warknął Charlie.

– Samoloty nie umieją czytać.

– Co?

– Samoloty nie czytają podręczników. Nie wiedzą, co mają robić.

– Chcesz, żebym się odprężył?

– Nie. Chcę, żebyś się zaniknął i kierował tym pudłem.

Byli w powietrzu. Maszyna szła gładko. Leciąca. Była pierwsza klasa.

I nagle przestała. Coś wysiadło. Mieli zbyt duże wznoszenie, a potem zniecka, jak cios uzbrojonej w kastet pięści, uderzenie powietrza cisnęło nimi w dół, w ciasnej prawoskrętnej spirali. Dakota wierzgała i trzęsła, idąc w dół.

– Orczyk! – wrzasnął Kelley.

Charlie ciągnął orczyk, lecz samolot pikował jak strzała prosto w ziemię. Dziób szedł pod kątem czterdziestu stopni, zaś przechył boczny przekraczał sto stopni.

– W górę! – wrzasnął Kelley. – Dawaj maksymalnie w rękę! Podnieś ten pieprzony nos! Wyżej! Wyżej! Wyżej, do cholery!

– Ale...

– Wyżej!

Pęd powietrza wciąż spychał maszynę w dół. Wysokościomierz kręcił się jak zwariowany bąk. Kelley zerwał się z fotela i chwycił orczyk, ciągnąc go na siebie z całej siły. Jednocześnie pchał manetki do oporu. Silniki zaczęły reagować.

– Szlag je trafi! – jęknął Charlie.

– Inaczej nas szlag trafi! – odwarknął Kelley.

Dakota opadała coraz niżej. Zmierzała ku swojej zgubie. Wskaźnik prędkości wirował na tarczy, silniki wyły na najwyższych obrotach.

I raptem wyszli z tego. Spadanie skończyło się tak samo nagle, jak się zaczęło. Powietrzna bomba, atakująca spod chmur jak grom z jasnego nieba, rozciągająca się na kilometr i mogąca unicestwić każdy lecący niżej samolot. Taki właśnie podmuch przygnoił do ziemi Billa Turnera nad wrogą dżunglą. Wtedy to Kelley nauczył się, jak dawać sobie radę z takim morderczym wiatrem uskokowym.

Charlie zmniejszył obroty. Dakotą szarpnął ludzki niemal dreszcz, jakby otrząsnęła się z dręczącego sennego koszmaru. Maszyna powoli zaczęła znów wspinać się w górę.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni milczeli. A potem Kelley zaczął gwizdać „Yes Sir, That's My Baby”. Charlie się nie odzywał.

– To twój pierwszy wiatr uskokowy, co? – spytał Kelley.
– Nie możesz zwiać, nie możesz go olać. Nie możesz nic. Kapujesz? – Machnął ołówkiem, celując nim w niebo. – Tylko maksymalnie w górę. I trzymać.

– Dobry jesteś – stwierdził Charlie. – Naprawdę dobry, ty draniu.

– Gówno prawda. Obaj mieliśmy cholerne szczęście.

ROZDZIAŁ 8

Kelley leżał na łóżku nagi, wciąż jeszcze wilgotny od prysznic. Na brzuchu ustawił sobie popielniczkę, która balansowała nieznacznie, a na podłodze czekała butelka whisky. Kelley śmiał się na głos, sam do siebie.

Kupił trzy samoloty.

Wciąż jeszcze myślał o maszynie, którą latał dziś po południu. Niemalże zakochał się w tym starym nieforemnym pudle, które jednakże miało złote wnętrzości. Przypomniał sobie chwile spędzone w powietrzu. Sprowadził maszynę w dół na wąski czarny pasek, przecinający pustynię.

- Nie możesz! Nie możesz tego zrobić! – jęczał Charlie.
- Już to robiłem w życiu – zapewnił go Kelley.

Uniósł się z łóżka i sięgnął po butelkę. Pociągnął z niej łyk. Kupił trzy samoloty. I utopił w nich ćwierć miliona.

To także pobudziło go do śmiechu. Dokonał tego, co zamierzał. Albo i nie.

Ciszę rozdarł dzwonek telefonu. Kelley ziewnął, przeciągnął się i podniósł słuchawkę.

- Stawiasz mi kolację – odezwał się Charlie.
- Słowo się rzekło.
- No... tak. Ale mam randkę.
- To dobrze. Czy w związku z tym chcesz mnie naciągnąć na dwa podwójne hamburgery, czy też wolisz być sam?
- Możemy umówić się na drinka. Przyjdź do mnie o wpół do siódmej, albo o siódmej, dobrze?
- Masz jakiś dziwny głos.
- Jak człowiek wpadnie w wiatr uskokowy – zaczął Charlie obojętnie – a potem ląduje z wariatem, który sadza maszynę na szosie, to może mieć trochę dziwny głos. Zobaczymy się później. Cześć.

Kelley zapukał dwukrotnie. Gdy Charlie otworzył drzwi dwukondygnacyjnego mieszkania, pierwszą rzeczą, jaką Kelley zauważył, była ogromna szklana ściana. Widoczne przez nią miasto błyskało feerią barw jak fantastyczny neon na święto Czwartego Lipca. Drugą rzeczą była kobieta, która siedziała na sofie. Porażająca euroazjatycka piękność. Przedstawiała sobą to co najlepsze na obu kontynentach; egzotykę i delikatność. Długie proste czarne włosy spływały kaskadą na ramiona obciążone białą satynową suknią.

- To pan jest tym wielkim zwycięzcą – powiedziała uszczypliwie. W jej głosie nie było śladu akcentu. Jedyne ślad zadowolenia z siebie lub rozbawienia.

Ani jedno, ani drugie nie zrobiło na nim wrażenia.

– Interesujący widok. – Machnął ręką w stronę okna.

– Burke... – zaczął Charlie.

– Mam na imię Genevieve – powiedziała kobieta. – Jeśli masz ochotę na drinka, w rogu jest bar.

W dłoni trzymała już pełną szklanekę. Kelley podszedł do baru, nalał sobie szkockiej i zerknął na Strykera. Charlie trzymał w ustach papierosa i co jakiś czas mrugał oczami, drażnionymi chmurą dymu.

– Słyszeliśmy już oczywiście o tobie – powiedziała Genevieve. – Spodziewałam się raczej, że wpadniesz tu w czerwonej pelerynie z literą „S” na piersi.

Kelley spojrzął na wciąż milczącego Strykera.

– Mam dziwne uczucie, że trzy osoby to zbyt wiele. Robi się tu tłoczno.

– Cztery – rozległ się męski głos.

Kelley odwrócił się i ujrzał szarego zakurzonego człowieka, który zaczął go wczoraj w barze. W tej chwili miał na sobie czerwony jedwabny szlafrok, lecz w dalszym ciągu wyglądał na szarego i zakurzonego.

– Cóż, widzę, że Charlie nic panu nie powiedział. Zresztą dokładnie takie polecenie otrzymał. Pozwoli pan więc, że się przedstawię. Jestem pułkownik Hollis. Wygląda na to, że już zdążył pan skrzyżować szpady z moją żoną. – Starszy pan usiadł na krytej białym lnem sofie i protekcyjnie poklepał bładą dłoń Genevieve. – Ona myśli, że właśnie popełniam błąd. A zawsze mówi to, co myśli. Lubię tę cechę u kobiet.

Za dużo jest kobiet, które tak zakręcą facetowi w głowie, że ten nie wie, gdzie się znajduje. Mówią „tak”, myślą „nie”. A najgorsze, że robią jeszcze inaczej. No dobrze. A teraz, po pierwsze, zrób mi przysługę, chłopcze, i usiądź. Mogę sobie wyobrazić, że tak samo szybko siadasz, jak zrywasz się na równe nogi. A nie lubię patrzeć w górę na ponurych młodych olbrzymów, którzy sprawiają, że czuję się stary. Nie mały, ale właśnie stary. A teraz – kontynuował, gdy Kelley przysiadł na krześle – porozmawiajmy o twoich planach. Masz je sprecyzowane na papierze?

– Tak.

– To dobrze. To świetnie – powiedział Hollis. – Napisałeś to po angielsku czy w tym napuszonym, pseudouczoneym bełkocie, który tak lubią, na przykład, banki?

– Przypuszczam, że to musi być po angielsku – odparł Kelley i zerknął na patrzącego w ścianę Strykera.

– Takie są właśnie banki – mówił dalej Hollis. – Nie rozumieją niczego, co wiąże się z ludzką osobowością. No i tak powinno być. Nie można polegać na osobowości. Można z nią igrać, ale nie można na niej polegać. A co do ciebie, młodzińcze, dla niektórych byłbyś interesującym przypadkiem. Wojsko mówi, że jesteś niesubordynowany. Czy tak jest?

– Jestem pod wrażeniem – odparł Kelley. – Sprawdzał mnie pan.

– Synu, nie mam zwyczaju dawać komuś ćwierć miliona dolarów tylko na piękne oczy. No, widzę, że teraz cię ruszyło. Może niewiele, ale jednak. Widzisz, ja jestem takim ludzkim

hazardzistą. Tam na dole, przy tych stołach, mogłeś zyskać jedynie parę niezłych zakładów. Za każdym razem gdy rzucasz kości, masz szansę jak jeden do dwunastu, że jakiś szczególny numer wyjdzie. A przecież za każdym rzutem wychodzi jakiś numer. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie rzucasz kości, aby wywołać trzęsienie ziemi, czy wygrać słonia. Rzucasz je, aby wyrzucić jakąś liczbę. Potrząśnij ludźmi, a dostaniesz wszystko, czego pragniesz. Ja potrząsnąłem tą tutaj. – Wskazał na żonę. – Potrząsnąłem naprawdę mocno i wygrałem sobie pannę młodą.

Genevieve Hollis sączyła alkohol z twarzą równie niewzruszoną, jak rzeźba z kości słoniowej.

– A... jakie są pańskie warunki? – spytał powoli Kelley.

– A jakże, panie Kelley. Są i warunki. Możesz być tego pewien. Na tego rodzaju kwotę chciałbym mieć słownie.

– Co „słownie”?

– Słownie połowę tego przedsięwzięcia – zachichotał starszy mężczyzna. – Podzielimy je pośrodku.

– Kto prowadzi?

– Ty. Chyba że nie spodoba mi się to, co robisz. Wtedy ja. Powiedziałem ci, że jestem hazardzistą, ale również lubię pannaować nad ryzykiem. Mam termostat nastawiony na kłopoty, jeśli rozumiesz, o czym mówię. Podejmuję takie decyzje, jakie powinienem. Więc zerknę w te twoje papiery i...

– Niech pan da sobie spokój – powiedział Kelley.

Staruszek zamrugał gwałtownie, a Charlie, który stał przy oknie, odwrócił się na pięcie.

– Jeśli ja prowadzę firmę, to ja prowadzę – wyjaśnił Kelley. – Jeśli pan chce zainwestować, to świetnie. Ograniczony udział? Świetnie. Ale jeśli chce pan czegoś więcej, to proszę sobie kupić.

– Rozumiem – kiwnął głową Pułkownik i przesunął dłoń po pokrytej wątrobianymi plamami twarzy.

Twarz Genevieve Hollis ożyła delikatnym zagadkowym uśmiechem.

– No cóż – odezwał się Hollis po chwili. – Masz, synu, twarde orzech do zgryzienia. Jesteś już dość duży, aby równi tobie skakali ci do gardła. Nie pozwolę ci wystartować z tymi bzdurami o niskich taryfach. Spotkasz takich facetów jak stary Chambers z Federal Airlines. Ten gość urwie ci jaja i wydłubie to drugie oko, które ci jeszcze zostało. Wpakujesz się w kłopoty. Założę się, że tak będzie. A wtedy wrócisz tu i pogadamy o interesie. Zawsze możesz mnie złapać przez Charlie'ego.

– Będę o tym pamiętał. Dziękuję. – Kelley wstał.

Stryker odprowadził go do windy. Szli w milczeniu.

– Wydaje mi się, że można robić gorsze rzeczy, niż słuchać faceta, który ma czterysta milionów dolców – powiedział wreszcie Charlie.

– Potrzebuję dwieście tysięcy dolców – odparł Kelley. – On pewnie zarabia tyle w ciągu nocy, gdy śpi, a ja nie będę do niego dokładał. – Spojrzał na Strykera. – A jaki ty masz w tym udział?

Stryker sprawiał wrażenie urażonego.

– Słuchaj, stary – zaczął. – Pułkownik przyszedł wczoraj w nocy i opowiadał o jednookim facecie, który wygrał fortunę

i odszedł od stołu. Wiem, ilu tam mogło być łobuzów, więc powiedziałem mu, że cię znam. Zadał mi mnóstwo pytań, więc zacząłem nawijać. Opowiedziałem mu o twoich liniach lotniczych. To wszystko. Chcesz się stawiać, to w porządku, nazwij swoje linie „Latające Gównno” i idź do diabła.

– Racja. Poza jednym. Ten stary piernik nadepnął mi na odcisk. Pytał, czy jestem niesubordynowany. Czyli pytał, czy będę się go słucał. Wiesz co? Myślę, że on igra z ludźmi. Bawi się nimi jak kośćmi. A na boku robi sobie zakłady z tą jaszczurką, Genevieve.

– To nawet możliwe – mruknął Stryker i zagryzł usta.

– No i dobra. – Kelley nacisnął guzik windy. – Chcesz iść na kolację?

– Nie mogę. Pułkownik chce nocować w domciu. Ale powiedz mi coś. Jak ci się uda, to zatrudnisz mnie?

– Jak mi się uda i już zacznę, to nie będę proponował takich pieniędzy jak pułkownicy. Raczej jak majorzy.

– Nie o to pytałem.

Nadjechała pusta winda. Kelley wszedł do środka i oparł się o drzwi.

– Powiem ci, jakie ja mam pytanie, Charlie. Ile możesz dostać za swój dom? – Charlie nie odpowiedział. Patrzył na Kelleya jak ogłuszony. – Pomyśl o tym – dodał Kelley i zamknął drzwi windy.

Do pokoju hotelowego wrócił trochę po drugiej. Do tego czasu zdążył przegrać kilka setek i pójść do łóżka z najlepszą

spośród tych, które pętały się wokół stołu; dam na wakacjach od wszystkiego, trawionych gorączką niezaspokojenia, zachwyconych sobą, swoimi starannymi fryzurami i wytwornymi toaletami. Ta, którą wybrał Kelley, okazała się nauczycielką z Maine. „Nauczycielka drugiej klasy, ale dupa pierwszej klasy” – tak właśnie się określiła. Gdy Kelley wychodził do domu, wybuchnęła płaczem.

Telefon rozdzwonił się w momencie, gdy Kelley kończył brać prysznic. Podniósł słuchawkę, lecz usłyszał tylko stuk, a potem ciągły sygnał. Odłożył słuchawkę, podszedł do radia, przeskoczył kilka programów, a gdy natknął się na piosenkę Boba Dylana, zgasił światło i się położył. Zapalił papierosa i nalał sobie drinka. Nie mógł spać. Pociągnął łyk i zapatrzył się na wzór, malowany na suficie przez światło księżyca. Przeżywał na nowo wrażenia dnia. Gdzieś tam w ciemności, zdawałoby się, daleko stąd, odezwało się pukanie. Tak słabe, że Kelley nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Kto tam? – zawołał.
- Pokojówka.

Kelley zerknął na fosforyzującą tarczę zegarka. Niemożliwe. To musi być ta nauczycielka z Maine. Zapewne pragnie odrobinę połówkowej rozmowy, a wyrzuty sumienia każą jej tłuc się po nocy. Kelley wstał niechętnie i poczłapał do drzwi. Papieros zwiślał mu w kąciku ust. Podtrzymywany w talii ręcznik okrywał nagość.

Otworzył drzwi iomalże nie upuścił zarówno ręcznika, jak i papierosa.

- Myślałem, że poleciałaś do Nowego Jorku.

– Tak było. Ale już wróciłam. Zechcesz mnie wpuścić?

Kelley cofnął się, a Karen Houghton weszła powoli w ciemność pokoju, nabrzmiała chrapliwym głosem Dylana.

– Siedzę sobie w samolocie i myślę: „To głupota, absolutna, skrajna głupota. Nawet nie wiem, co to jest ta cnota, której tak bronię”. – Spojrzała na Kelleya w bladym świetle księżyca, wpadającym przez okno. – Mogłam myśleć jedynie o tym, co tracę. – Wzruszyła ramionami. – Wylądowałam w Nowym Jorku, okręciłam się na pięcie i wróciłam.

– Jesteś pewna?

– A jak ci się wydaje? Spędziłam jedenaście godzin w samolocie. Czy jestem pewna?! – wykrzyknęła. Kelley roześmiał się. – Jak dla mnie, to możesz sobie iść do diabła! – zezłościła się.

– To z radości – wyjaśnił Kelley. – A także trochę z nerwów. Powierzasz mi całkiem odpowiedzialne zadanie.

– Śmiejesz się. – Spojrzała na niego, a jej duże oczy były jeszcze większe w panującym mroku. Księżyc złocił pasma jej włosów. – Robię z siebie idiotkę, a ty wcale tego nie chcesz.

– Karen, Karen. – Wziął ją w ramiona. – Przede wszystkim chcę, abyś przestała wyglądać jak niewiniątka idące na rzeź.

– Tak wyglądam?

– Odrobinę. – Pocałował ją, a jej wargi czekały już na niego, łakome i gorące. Ciało dziewczyny przeszedł lekki dreszcz. Biodrami przywarła do Kelleya. – Szybko się uczysz – mruknął, nie przestając całować. Uniósł ją w górę i, zupełnie

jak w filmie, zaniósł do łóżka. – Jesteś pewna, że tego chcesz?
– spytał raz jeszcze.

- Przystaniesz wreszcie postępować ze mną jak z jajkiem?
- Niefortunna analogia – odparł.

Szybkimi ruchami palców rozpiął haftki przy dekolcie sukienki i rozpiął suwak. Łagodnie i czule, szepcząc jej imię, pieścił powoli to wszystko, co mu teraz ofiarowała; dziewczęce piersi, najcudowniejsze, najdelikatniejsze owoce, jakie kiedykolwiek widział. Od czasu do czasu Karen wciągała głęboko powietrze i chrapliwie je wypuszczała. Ten gorący oddech na jego szyi zmuszał go do walki z samym sobą. Chciał bowiem, aby wszystko szło tak łatwo i właściwie, jak tylko można.

Potem długo jeszcze leżała w jego ramionach, a jej biodra drgały echem rozkoszy. Gdy wysunął się z niej, mruknęła zawiedziona, jak dziecko, któremu uciekł balonik. Kelley roześmiał się i pocałował ją w czubek nosa.

– Jak mawiał generał MacArthur, „Ja tu wrócę” – powiedział.

- Mogę cię o coś zapytać? – wyszeptała sennie.
- Mhm. – Podał jej zapalonego papierosa.
- Czy to tylko z tobą, czy tak jest zawsze?
- Sama będziesz musiała porównać – odparł.
- No, a dla ciebie?
- Nie – odparł szczerze.
- To dobrze. Nienawidzę myśli, że mógłbyś robić coś tak cudownego innej kobiecie.

Kelley nie odpowiedział. Karen przekręciła się i spojrzała na niego badawczo.

- Czy to... coś znaczyło dla ciebie? – spytała.

– To było cudowne – odparł. – Ty byłaś cudowna.

– Nie o to mi chodzi.

Kelley westchnął. Czuł rosnące znajome uczucie pustki, naturalnego oddalania się. Wąska początkowo szczelina stała się coraz większą rozpadliną, a kobieta odpływała powoli, jak na kawałku kry, rozpaczliwie wyciągając rękę w prośbie o ratunek.

– Wiem – powiedział cicho. – Lecz odpowiedź brzmi: nie wiem. I ty też nie wiesz. Wiemy jedynie, że było wspiane, ale nie możemy mieć od razu gwiazdki z nieba.

Karen zeszywniała i szybko odsunęła się od niego.

– Umiesz prawie czułe słówka, co?

– Chcesz tego?

– A ty chcesz jedynie być w akcji. Właśnie w taki sposób?

– Proszę, dziecinko, nie rób tego. – Starał się ją ułagodzić.

– Nie zwalaj na mnie całej naszej niepewności. Kochaliśmy się, nie pieprzyliśmy się. Ja naprawdę kochałem się z tobą, lecz to nie jest szybko schnący klej.

– A ty nie czujesz...

– Och, Karen. Jest w tym coś tak słodkiego. Zabiję cię, jeśli ty to zabijesz.

– Co niby?

– Nie wiem. Cokolwiek by to mogło być.

– A mogłoby coś być?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem.

Karen zaczęła płakać.

– Jesteś taki ciepły i nagle „pstryk”, jesteś zimny jak lód.

Kelley nie odpowiedział. Trzymał ją w ramionach, głaskał po włosach i czuł bicie jej serca na swojej piersi.

- Czy kiedykolwiek... – urwała.
- Mów dalej.
- Byłeś zakochany?
- Nigdy.
- Dziewica – powiedziała z lekkim ożywieniem.
- Właśnie. A sama powinnaś wiedzieć, że z dziewczynami należy postępować delikatnie. Powinnaś wiedzieć, że są one nowicjuszkami i potrzebują nadzwyczaj specjalnego traktowania.
- Och! – powiedziała tylko.
- Ja tu podróżuję przez jedenaście godzin, żeby być z tobą, a ty jak się zachowujesz?
- To prawda. – Karen pociągnęła nosem. – Ale ja tylko chcę cię dla twojej duszy, a ty mi tu dajesz swoje nędzne ciało.
- Przepraszam – odparł. – Więcej tego nie zrobię.
- Nie wąż się – zagroziła – nie zrobić tego więcej.

Nad ranem Kelley leżał, przypatrując się śpiącej dziewczynie. Piękna i Bestia. Jasne włosy Karen rozsypywały się na poduszce jak promienie ekstrawaganckiego księżyca, który świeci za dnia. Karen nie była, nawet teraz, kobietą ze snów Kelleya. Gdy śnił i marzył o kobietach, były to brunetki o cygańskiej urodzie, a obrazy te niezmiennie wywoływały w nim dreszcz podniecenia. Uroda Karen nie tyle oślepiła go, co

zaskoczyła. Jak gdyby nawet w zimnym i pustym wszechświecie musiał istnieć cel o niewzruszonej doskonałości. A gdyby Kelley mógł go odnaleźć, dowiedziałby się czegoś bardzo ważnego.

Karen obudziła się i spojrzała na niego, a on pochylił się ku niej.

– Nie – powiedziała. – Muszę złapać samolot o dziesiątej.

Kelley nie nalegał. Nie miał zwyczaju gwałcić kobiety, nawet w swoim własnym łóżku. A przecież parę lat później zgwałci tę samą kobietę z niespodziewaną złością na zimnej, wyłożonej kafelkami, podłodze.

Przy śniadaniu wyjaśniła, że dziś po południu ma sesję zdjęciową. Spojrzała na zegarek.

– Marcus mnie zamorduje. Powie, że wyglądam jak straszny.

– Daj spokój. Wyglądasz ślicznie.

– To dlatego, że teraz wiem, gdzie jesteś. Do wieczora nie będę wiedziała.

– Świetnie. Będę w Phoenix.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Karen – zaczął Kelley i potrząsnął z wolna głową. – Przez pięć najbliższych lat będę bez grosza. Będę pracował dwadzieścia sześć godzin dziennie i mimo to będę bez grosza.

– Zostają jeszcze noce.

– I twój pociąg do szampana.

– Nie dotknę butelki szampana, dopóki nie wypuścimy w powietrze twojego pierwszego samolotu. Co ty na taką obietnicę?

- Nie chcę, żebyś jej dotrzymała.
- A jednak. – Spojrzała na niego. – Chcesz tego – powiedziała z mocą.

I znów poczuł, że wpada w pułapkę.

- Czy ktoś już utonął w twoich oczach? – zapytał.
- Masz takie uczucie?
- No, trochę tak.
- To dobrze. Chcę cię żywego lub martwego.

Odwiózł ją na lotnisko. W białych dżinsach i białej bluzce przyciągała wzrok jak magnes. Jedno spojrzenie na nią i pracownicy lotniska oraz bagażowi stawali się mężczyznami, którzy mają do spełnienia prawdziwą misję. Przy wyjściu pocałowała Kelleya z mocą, od której Boeing 747 uniósłby się w powietrze, i zostawiła go z szalejącym w duszy niepokojem, jak teraz tę maszynę sprowadzić na ziemię.

Kelley podszedł do kasy i kupił sobie bilet w jedną stronę do Phoenix i bilet otwarty z Phoenix do Nowego Jorku. Kilka godzin później stał na drugorzędnym lotnisku w Arizonie i szukał kogoś, kto zaprowadziłby go do Hitcha Ryana.

– Z pewnością musiał pan o nim słyszeć – powiedział do czternastego z kolei pilota, który nigdy nie słyszał o Ryaniu. – Musiał pan go widzieć.

– Hej, Rob! – Pilot odwrócił się do usmolonego mechanika. – Ten facet twierdzi, że szuka Hitcha Ryana, który ma tu robić jakieś opryski. Mówi, że to niemal sobowtór Redforda.

Mechanik roześmiał się głupkowato i powrócił do czyszczenia i wycierania silnika.

- No dobra – powiedział Kelley. – Jak go zobaczycie,

powiedźcie mu, że zatrzymałem się w hotelu „Biltmore”.

Zameldował się w recepcji i usiadł przy basenie. Podziwiał kobiety w kostiumach od Pucciego i przysłuchiwał się mężczyznom, którzy robili milionowe interesy przy pomocy telefonów komórkowych. Piwo na basenie kosztowało trzy dolary.

– Z jakiej jest pan branży? – zapytał Kelleya mężczyzna, który okazał się agentem nieruchomości.

– Lotniczej.

– Ach tak? A którą linię pan posiada?

– Żadną.

– „Latające Nic” – Mężczyzna się roześmiał.

Kelley rozmyślał przez chwilę, jak by tu naciągnąć tego faceta, lecz doszedł do wniosku, że ktoś, kto sprzedaje pustynię po tysiąc dolarów za akr, nie jest wart jego fatygi.

– Błękitne niebo – zaczął mężczyzna. – Od tego powinien pan zacząć. Co do mnie, to sprzedaję piasek, lecz sprzedaję go nadzianym kretynom we wschodnich stanach. Myśląc „Arizona”, widzę słońce, sprzyjający klimat, emeryturę i wolny czas. Ale ja przecież nie wprowadzam ich w błąd. Podaję nazwę, na przykład, „Pionierska wioska”. A autostrada nazywa się „Przełęcz Donnera”, na pamiątkę tego pechowca, który zimował w Sierra Nevada. Podoba się to panu?

– A forsa płynie strumieniem.

– Zgadł pan. – Mężczyzna podniósł wzrok i spojrzął na basen. – Pamięta pan takie filmy z lat pięćdziesiątych, gość dostaje śmiertelną dawkę promieniowania, zjawia się gdzieś tam, a jego twarz straszy pana przez cały następny tydzień?

– Sądzę, że tak.

– No, to ma pan tutaj kogoś takiego.

Ku nim zmierzał mężczyzna z taką właśnie przerażającą twarzą. Ktoś najwidoczniej starał się poskładać ją do kupy, lecz nie całkiem mu się to udało. Nie wiadomo było, czy delikwent śmieje się, czy akurat płacze. Mężczyzna zatrzymał się przy leżaku.

– To pan jest Kelley? – zapytał.

– Ja już muszę pędzić – zawołał pustynny magnat i zniknął.

– Tak, to ja. My się znamy?

– Pan mnie nie zna – odparł mężczyzna. – Ale kiedyś znał pan faceta o nazwisku Ryan.

– Uhm. Jest pan jego kolegą?

– Nie. Ja jestem Ryan.

– O cholera! Siadaj – powiedział Kelley.

– No, nie wiem. – Ryan skrzywił się w uśmiechu i spojrział na odwracające się od niego twarze. – Co poniektórzy tutaj tracą apetyt na obiad.

– Co ci się stało?

– A jak, do cholery, sądzisz?

– Żyjemy w chwale, a giniemy w płomieniach.

– Coś koło tego. – Ryan wyciągnął się na leżaku. – Przytrafia się to królom i ich królewskim rumakom.

– Wygląda to bardziej na sprawkę takich rumaków – powiedział Kelley.

Ryan roześmiał się.

– Nie mogłem dostać roboty nawet jako pilot samolotów transportowych. Jakby, wiesz, myśleli, że rzucę urok na ich fracht.

– I dlatego latasz z towarem?

– Coś w tym rodzaju. Ale to niezła forsa. – Ryan obrócił

się i przyjrzał Kelleyowi. – To wizyta w imię starej przyjaźni, czy chcesz gadać o interesach?

Poszli do pokoju Kelleya, gdzie Ryan usiadł w pewnej odległości od lustra.

– Robię to tak – zaczął Ryan i pociągnął łyk piwa z butelki. – Zrzucam ładunek na pustynię. Dostatecznie daleko od jakichś posterunków i wystarczająco nisko, aby nie być złapanym na radar. Tylko trzeba zmieniać strefy zrzutu. Proste jak rogalik. A jeśli ktoś przez przypadek schyli się i podniesie ten rogalik, to już nie moja wina.

– Taaa. Brzmi nieźle – odparł Kelley. – A teraz o forsie. Ile?

Ryan zerknął na niego.

– Niewiele wiem o tobie, Kelley. Gadasz bardzo otwarcie. Myślisz, że to coś w rodzaju charytatywnych zrzutów dla wygłodzonych ćpunów. Albo zrzucanie ulotek. A pewnie nigdy nie zrzuciłeś ulotek, co? „Uwaga, mieszkańcy Głupkowa! Wujek Sam zbombarduje was pieprzonymi śmieciami, więc wynośća się stąd!” Mam rację? Poza ulotkami po angielsku. Wiesz, ilu cholernych wietnamskich chłopów umie czytać nawet po wietnamsku?

– A wiesz, co kiedyś powiedział Turner? – spytał Kelley i pociągnął ze swojej flaszki. – Powiedział, że są trzy strefy: strefa zrzutów, strefa lądowania i strefa mroku.

– Tak. Nazwał cię urodzonym w trzeciej strefie.

– Ile? – spytał bez ogródek Kelley.

– Powiedzmy pięćdziesiąt za wypad. Pięć procent z góry, na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Jak ich wykołujesz, jesteś martwy. Jak cię złapią, radź sobie sam.

- No nie! Jeszcze i to – mruknął Kelley.
 - Dobra. – Ryan wzruszył ramionami. – Ale mimo to bardzo szybko zarabiasz na chlebek.
 - Zadowolony jesteś z tej roboty?
 - Bawisz się w psychoanalitka, czy chcesz zrobić ten wypad? A w ogóle skąd, u diabła, dowiedziałeś się, co ja robię?
 - Pisałeś do Kuralsky'ego.
 - Rzeczywiście. Do szpitala. Nawet mi nie odpowiedział, kutas jeden.
 - Musisz zorganizować seans spirytystyczny, aby móc się z nim teraz porozumieć.
 - Och! – Ryan wzruszył ramionami. – Nie wiedziałem. Cóż, niektórzy mają szczęście. Ci faceci, dla których pracuję, mogą wziąć jeszcze jednego pilota. Dlatego napisałem do niego. Chcesz tę robotę?
 - Chcę sto tysięcy kawałków.
 - To zrobisz dwa wypady.
 - Chyba mnie nie rozumiałeś. Chcę, żebyś mi dał tę forszę.
 - Co?!
 - To, co słyszałeś. Z twoimi uszami chyba wszystko w porządku?
 - Co ty! Jaja sobie ze mnie robisz? Niby dlaczego miałbym ci dać moją forszę?
- Kelley zamyślił się.
- Niech mnie diabli, jeśli wiem – odparł wreszcie. – Ale z drugiej strony, co z nią zrobisz w kiciu? I co robisz z nią

teraz? A możesz mieć dziesiątą część linii lotniczej, zostać szefem pilotów, wozic kupę ludzi do Utica. Brzmi to wspaniale, czy nie?

– Co to znaczy „wozić kupę ludzi”?

– Siedzieć z przodu samolotu i fiu w górę.

Ryan potrząsnął głową, wydobył papierosa i zapalił go.

– Nie. Nie dałbym rady – powiedział.

– W porządku. Ale posłuchaj. Gównu mnie obchodzi to, co robisz. Chcesz zdechnąć na jakiejś pieprzonej pustyni, twoja sprawa. Tylko zostaw mi swój szmal, zanim to zrobisz.

Przez chwilę Ryan siedział nieruchomo i przyglądał się Kelleyowi uważnie. A potem zaczął się uśmiechać. Ten krzywy uśmiech stawał się coraz szerszy, aż wreszcie Ryan odrzucił głowę do tyłu i rżał głośno, aż oczy zaszczyły mu łzami.

– O, kurczę! Stary! – wy sapał, gdy już złapał oddech i wytarł dłonią oczy. – Wiesz, co Jefferson mi powiedział? Powiedział: „Nigdy nie oglądaj się za siebie, bo Kelley mógłby cię wydymać”.

Teraz i Kelley roześmiał się serdecznie.

Sześć miesięcy później Kelley stał w Ogrodzie Różanym w Białym Domu, gdzie dekorowano go DFC. Podczas konferencji prasowej, która odbyła się po tej ceremonii oznajmił, że zakłada linie lotnicze Blue Sky.

– Trzy samoloty, trzech pilotów – powiedział dziennikar-
zom. – Zrobimy masę wybitnych lotów.

ROZDZIAŁ 9

Kelley powoli wydobywał się z otchłani snu. Wydawało mu się, że znów jest w Can Tho. Czuł smak trawy, napięcie i stan ciągłego zagrożenia. Walcz z tym, powiedział sobie. Otwórz oczy. Mimo to leżał tylko i czekał, aż wszystko na jawie wróci na swoje miejsce: puste łóżko, Fifth Avenue, dzisiaj, piątek.

Spojrzał na zegar od Tiffany'ego. Piętnaście po dziesiątej, piątek rano. Zmieszał się. „Czyżbym aż tak długo spał?” Przypomniawszy sobie przyjęcie u Marcusa i Candy, tej dobranej pary, i kilka historyjek na dobranoc, które opowiedział sam sobie, zanim zasnął prawie o świcie. „Co za noc!” Usiadł powoli, lekko marszcząc czoło i sięgnął po papierosa. Zapalił go, oparł się ostrożnie o wezgi łóżka i rozejrzał po pokoju. Karen, jak zwykle, zostawiła go w stanie przywodzącym na myśl strefę zniszczenia. Czerwona jedwabna suknia rozlewała się na podłodze jak zakrwawiona ofiara. Kelley mętnie myślał, co stało się ze służącą, lecz doszedł do wniosku, że pewnie odeszła. „Trzeba będzie poprosić Frannie, aby poszukała następnej”.

Karen, jak się okazało, zaszyła się w kuchni. Piła czarną kawę i, jak można było wywnioskować z popielniczki, wypaliła już z tuzin papierosów.

– Mój Boże, chyba gorzej z tobą niż ze mną! – powiedział Kelley.

– Przekroczyłam twoje najśmielsze oczekiwania – odparła.

Przyjrzał się jej dokładnie. Była blada, a nawet trochę wymizerowana w dziennym świetle. Miała na sobie coś, co według niego było kostiumem od St. Laurenta. Czerwony tweedowy żakiet leżał na krześle. Kelley przyjrzał jej się ponownie, tym razem bardziej przenikliwie, lecz w dalszym ciągu nic nie poczuł. Była po prostu kimś, kogo znał.

Zaparzył sobie filiżankę świeżej kawy i zerknął na gazetę. Pogoda stanowiła temat numer jeden w dzisiejszym *Timesie*. Zaspasy przybierały rozmiary, o jakich marzyła niejedna panienka: osiemdziesiąt pięć centymetrów, czterdzieści osiem, osiemdziesiąt. Lotniska w północnych Stanach były całkowicie pokryte śniegiem.

– Myślałam, że polecę do Palm Beach – powiedziała Karen.

– Kto tym razem? – zapytał obojętnie Kelley i zapalił papierosa. – Kolejny bubek na nartach?

– W Palm Beach? – Karen roześmiała się.

– Bubek na nartach wodnych. Co za różnica? – Żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę. Bo przecież to naprawdę nie robiło żadnej różnicy.

Z drugiej zaś strony, nie mogło to być aż tak proste. Czuł, że zamiłowania Karen są w pewien sposób usprawiedliwione.

On sam nie był zbyt doświadczonym mężem. Od samego początku, od chwili gdy się poznali już w Vegas, każde z nich było jednoznacznie zakochane w kimś innym; Kelley w samolotach, a Karen w samej sobie. I tak było przez cały czas, a przynajmniej jego większość. Albo tak mu się tylko zdawało. Do czasu historii z dzieckiem. Kelley zastanawiał się niekiedy, jak musiała czuć się Karen, gdy kochając się z nim myślała o nie chcianej ciąży, która z pewnością zniweczyłaby jej wysiłki w celu zaprezentowania nowego modelu bikini w *Harper's Bazaar*. W rezultacie usunęła ciążę. Po cichu, nie mówiąc nikomu, zupełnie jak kot, który chodzi swoimi drogami i robi to, co chce. Kelley wpadł w nieopanowaną morderczą furję, gdy odkrył to któreś nocy. Chciał zmasakrować pięściami twarz Karen. Zamiast tego jednak wziął ją w zimnej wściekłości na zimnej podłodze. Już po chwili żałował tego i usiłował zobaczyć ten problem jej oczami. Przyjął jej argumenty, że jest zbyt zaangażowany w pracę, aby rzetelnie pełnić rolę ojca, że postępuje czasami jak „pieprzony neandertalczyk” i że to w końcu jej ciało. Lecz po tym wszystkim nie mógł już patrzeć na to ciało bez męczącej świadomości, jak całkowicie i wyłącznie należy ono do niej. Od tej chwili ich związek stał się bardzo spokojny; żadnych więcej kłótni, żadnych scen. Nie zadawali pytań i nie kłamali. Karen wydawała pieniądze, a Kelley wypisywał czek. Byli w tym jakoś przerażająco zgodni.

– Wychodzę – oznajmiła. – Przypuszczam, że nie chcesz jechać do domu, jeśli ja tam pojedę.

– Na wyspę? Nie, zostanę tutaj. Co się stało z Conchitą?
– Z kim?
– Z Conchita, Cuernavaca, czy jak jej tam?
– Esmeralda. Zwolniłam ją. Przymierzała jedną z moich sukien.

– Rozumiem. – Spojrzał na nią i potrząsnął z niedowierzaniem głową. – Wszystkie służące to robią. Żyjemy tutaj jak milionerzy...

– Nie wiedziałam, że nazywasz to życiem – przerwała mu.

– Aha. No to zacznij się przyzwyczajać, skarbie. Jest jak jest.

Karen wzięła żakiet.

– Do zobaczenia, jak sądzę. Będę u Imrych, gdybyś mnie potrzebował.

Kelley automatycznie kiwnął głową. Do czego, u diabła, miałby jej potrzebować? Nalał sobie kawy i usłyszał trzask frontowych drzwi. Karen i Candy, pomyślał. Dwa ptaszki, które stroszą w słońcu piórka i lecą na południe.

Przeciągnął dłonią po nie ogolonej szczęce i ruszył do lodówki w poszukiwaniu jedzenia.

Mleko skwaśniało.

Na chlebie wyrosła bardzo egzotyczna czapa z pleśni.

Były jajka, lecz napis na pudełku głosił „dwudziesty pierwszy listopada”. Kelley nie miał pewności, co znajdzie w siedmioletnim jajku, więc zaklął i zostawił je w spokoju.

Wziął kawę i gazetę i powędrował do gabinetu. Meble pokrywała warstwa kurzu, lecz wokół panował ład. Był to jedyny

spośród ośmiu pokoi, który należał wyłącznie do niego. Jego biurko, jego książki na półkach od podłogi do sufitu, zaspokajające nieokiełznaną ciekawość świata, od oceanografii do poezji. Wisiał tu obraz, którego Karen nie lubiła. Przedstawiał smutnego mężczyznę w czarnym kapeluszu, który przechodził przez drzwi na środku bladego, rozmytego nieba, aby przekonać się, że po drugiej stronie tych drzwi jest wciąż tylko takie samo niebo. Kelley uważał, że obraz jest zarówno ironiczny, jak i zabawny. Nie mniej surrealistyczny niż codzienne życie. Facet przechodzi nagle znikąd donikąd i straszenie się tym przejmuje.

Kelley pociągnął łyk kawy i spojrzał na postać mężczyzny. Będzie musiał zacząć zadawać się z Poważnymi Ludźmi. Dwadzieścia dwa miliony to już Poważne Pieniądze, a on musi spłacić kredyt do trzydziestego pierwszego marca. „Nie dotrzymasz terminu i jesteś skończony”, powiedział McDermott. Cóż, stawał już nieraz przed drzwiami Pani Śmierci. I jeśli życie w luksusie było cichą zemstą Karen, to dla niego momenty, kiedy udało mu się przeżyć, wydawały się niemal głośnym zwycięstwem.

Przygotował sobie listę. Pogrzebał w zakamarkach pamięci podczas nocy i nad ranem miał już gotową krótką listę możliwych źródeł, spis ludzi, którzy mieli pieniądze do wyrzucenia, a także mieli powód, aby je wyrzucić.

Pierwszą osobą na liście był, oczywiście, Pułkownik. Źródło największych nadziei spośród całej szóstki.

Kelley spojrzał na zegar. Najwyższy czas, aby zadzwonić.

Postanowił zagrać szczerze i uczciwie. Coś w rodzaju: „Jak wiesz, Sam, znowu jestem w kropce”. Tonem nieco ironicznym. Ot, lew mówiący o muchach, które oblażyły mu ogon.

Usiadł przy biurku i wykręcił dobrze znany numer w Dallas.

– Cześć, Roseanne – powiedział, gdy zgłosiła się sekretarka Hollisa. Miał wrażenie, że jego głos brzmi jak nigdy, fałszywie. Fałszywy lew przed spotkaniem z czarodziejem. – Tu Burke Kelley. Stary orzeł lata gdzieś w pobliżu?

Przez chwilę w słuchawce zapadła pełna zaskoczenia cisza.

– O, mój Boże! Myślałam, że pan słyszał. Pułkownik miał wylew... zaraz, niech pomyślę. Tak, w Święto Dziękczynienia.

Nie, pomyślał oszołomiony. Hollis żyje. Musi żyć. Inaczej byłyby przecież jakieś wieści.

– Jak on się czuje, Roseanne?

– No, wie pan... jest teraz w domu. I nie całkiem mu to odpowiada. Przychodził przedtem codziennie do biura i rządził. A przecież ma już blisko dziewięćdziesiąt lat. Ale do dnia wypadku wciąż robił swoje łajdackie interesy.

– A jak tam jego umysł?

– Och, przytomny i kłótlivy, jak zawsze. Dzwoni tu codziennie po dziesięć razy. – Roseanne zniżyła głos. – Wydaje mi się, że on jest naprawdę zły, dlatego że wszystko idzie dobrze i gładko bez niego.

Kelley pomyślał, że to właśnie cały Hollis. Człowiek, który nie uwierzy, że coś jest szarlotką, zanim nie wetknie w to

palca. Cóż, świetnie. Dlaczego zatem nie poczęstować go na przykład cytrynowymi bezami?

– No tak – zaczął z wolna Kelley. – Ale tu nie idzie zbyt gładko. Zadzwoiłem, bo potrzebuję jego rady. Będę tu jeszcze przez parę dni. Czy można go odwiedzić?

– Zapytam go, panie Kelley. Powinno go raczej ucieszyć, że chce pan rozmawiać o interesach. Oddzwonię i dam panu znać.

Kelley odłożył słuchawkę i spojrzął na gazetę, którą przyniósł ze sobą. Całą stronę zapełniało ogłoszenie:

W FEDERAL AIRLINES - KALIFORNIA ZA PÓŁ
DARMO

~~\$ 449~~ \$ 149

Od dziś do 1 marca zawieziemy Cię do Kalifornii za rewelacyjnie niską ceną w luksusowych warunkach. Zaszługujesz na to. Wymagasz przecież doświadczenia i wysokiej jakości...

Kelley wybrał numer biura i poprosił do telefonu Dukovica.

– Wymagam doświadczenia i wysokiej jakości - powiedział. – Czy dzwonię pod dobry numer?

– No nie! Kelley! Nie słyszałeś? – wykrzyknął Duke.

– O czym!

– O katastrofie.

– Chryste Panie! - Kelley usiadł. Serce biło mu dziko. – Co za katastrofa?

– Nie nasza, nie! Przepraszam. Nie miałem zamiaru cię przestraszyć. Boeing 727...

– Skąd leciał?

– Stąd, na miłość boską. Uważają, że to był wiatr uskokowy.

Kelley odetchnął głęboko.

– Ile osób zginęło?

– Wszyscy. Stu pięćdziesięciu trzech pasażerów i załoga.

– A detektory naziemne?

– Nic nie wskazywały – powiedział Duke. – Nie wyłapał tego ani radar, ani wiatromierz. Miałem tu jeden samolot z detektorem pokładowym i wysłałem go do Chicago. A potem Ashe przyszedł tu z...

– Zaraz, zaraz – przerwał Kelley. – Czy to nie może poczekać? Mam w mieście helikopter. Będę u was za pół godziny.

– Dobra. Mamy jeszcze parę innych problemów do obgadania.

Zeedee, ubrany w staromodny strój, z rodzaju tych, które mogą kosztować dwa tysiące dolarów, stał w holu i dyskutował z portierem.

– No i widzisz? Mówiłem – powiedział, gdy Kelley ukazał się w korytarzu. – Ten tutaj Joe twierdził, że po prostu nie odpowiadasz. A ja mówiłem, że właśnie schodzisz na dół. – Uśmiechnął się szeroko, rad ze swojej domyślności. – Wpadłem na piękną Karen na ulicy – trajkotał, idąc za Kelleyem. Wyszli na chłodne powietrze. – Może cię podwieźć? Zaraz za rogiem mam samochód.

– Prawdziwy z ciebie ranny ptaszek – mruknął Kelley. – Pracowita mądra mrówka.

– To witamina C – zachichotał Zeedee. – Działa cuda. Chcesz ze mną jechać, czy nie?

– Podwiózłbyś mnie do helikoptera?

– Dokądkolwiek zechcesz.

Wsiedli do małego granatowego austina. Kelley dostrzegł jakiegoś mężczyznę na tylnym siedzeniu i poczuł, że coś wisi w powietrzu. Jednakże nie uśmiechało mu się robić z siebie idioty i odchodzić teraz, gdy już zgodził się na tę jazdę.

– Pozwól, Kelley. To jest Chook – przedstawił mężczyznę Zeedee.

Chook był drobnym zadziornym Latynosem z ponurą twarzą, cienkimi wąsami i pozornie sennymi oczami, które jednak mogły przewiercić człowieka na wylot.

– Cześć – rzucił Kelley.

Chook zerknął spode łba, jakby nie był pewien, czy został obrażony, czy nie. Doszedł do wniosku, że jednak nie i wzruszył ramionami. Miał na sobie gładką brązową kurtkę ze skóry i wełniane spodnie. Ciężką złotą zapalniczką, prawdopodobnie od Cartiera, zapalił brązową cygaretkę i usadowił się wygodnie.

– Masz duży kłopot – powiedział obojętnie.

Kelley nie potrafił jednoznacznie stwierdzić, czy Chook zaczął właśnie rozmowę o interesach, czy też tak sobie zagaił, na przykład o pogodzie.

– Ten facet zawsze od razu przystępuje do rzeczy.

– Zeedee uśmiechnął się przy kierownicy i zerknął w lusterko. – Tak jak ci mówiłem, Chook, powinienes działać trochę bardziej romantycznie. Trzeba zacząć na przykład:

„Cześć, skarbie. Jak leci? Chcesz drinka?” Kapujesz. Dopiero potem możesz powiedzieć: „Chodźmy do łóżka”.

– Przegapiłeś wjazd na autostradę – wtrącił Kelley.

– Cholera! Zazwyczaj mam wyczucie kierunku...

– I czasu – dodał Kelley.

– No dobra. Będziemy tak pieprzyć o dupie Maryni? – spytał Chook. – Myślałem, że mamy pogadać.

– Oddajemy ci głos – odparł Kelley. „Gadaj sobie, co chcesz”, dodał w myślach.

– Dwa miliony – zaczął Chook. – Na koniec miesiąca. Biorę je, znikam, wracam i sprzedaję towar. Te dwie bańki dają ci dwadzieścia.

– Pewnie w używanych banknotach – powiedział Kelley po chwili milczenia.

– Masz duże kłopoty – odrzekł Chook. – Idziesz na dno. Chcesz iść na dno opowiadając kawały, czy gadamy serio? Jak chcesz pogadać serio, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Słuchaj! Doceniam twoją propozycję... – zaczął Kelley.

– Hej! On „docenia moją propozycję”! To ładnie z jego strony, nie?

– Spokojnie – wtrącił Zeedee i spojrzał na Kelleya. – Mówię ci, stary. Naprawdę masz kłopoty. Tak jak Chook. I tak jak ja. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Widzisz, jak kupuję od Chooka, a Chook kupuje od Alvy’ego, czy innego tam. Ale zawsze uczciwie, w terminie. Wiesz, jak to jest. No i teraz Chook powiedział, że dostawa będzie gotowa na pierwszego, a jego dostawca zniknął. Więc Chook dostanie towar,

albo i nie. Kapujesz? Jeśli nie, to wypada z gry. I ja też wypadam z gry. I, jak dwa do dwudziestu, ty też wypadasz z gry. Chyba że zainwestujesz te dwie bańki i wszyscy będą zadowoleni. – Zeedee skończył i uśmiechnął się szeroko.

– No tak! – mruknął Kelley. Byli już na autostradzie. Za dwie, trzy minuty cała zabawa się skończy.

– Przede wszystkim to jest... – zaczął i ugryzł się w język. Już chciał powiedzieć: „Śmierdzący interes, w którym nie chcę brać udziału”. – Nieporozumienie – powiedział, gdy przypomniał sobie zimne, senne oczy Chooka. – Rzeczywiście potrzebuję pieniędzy, ale nie szukam kłopotów. Nie takich kłopotów. Jasne?

– Ach! Obawiasz się kłopotów? – odparł Zeedee.

– Mam rację? Ale my tu nie mamy zamiaru napytać sobie biedy. Rozmawiamy o kokainie, a nie o herze. Nie sprzedajemy jej biednym małym dzieciom na rogu ulicy, tylko bogatym dzieciom, które lubią sobie poniuchać.

– Rozmawiamy o czymś, za co łąduje się w pudle – odparł Kelley.

Samochód wtoczył się właśnie w bramę heliportu. Zeedee przejechał przez nią i skierował się w głąb terenu.

– Jak już powiedziałem – Kelley odwrócił się i spojrzał na Chooka – doceniam tę ofertę. – Wysiadł z samochodu i zerknął obojętnie na Zeedee'ego.

– Zeedee. Złotousty, mądry Zeedee. Dzięki za podwiezienie – rzucił i zatrzasnął drzwiczki.

ROZDZIAŁ 10

Frannie trzymała w ręce notes i filiżankę kawy. Miała na sobie zielony sweter i taką samą spódnicę i wyglądała, zdaniem Kelleya, jak młoda sosenka. Usiadła na kanapie, skrzyżowała śliczne nogi i zaczęła kartkować notatnik.

– Przede wszystkim – zaczęła – wszyscy, cała firma, aż przebierają nogami, aby się z tobą zobaczyć. A zwłaszcza Duke. Chodzi mu o coś z przekłamaniami w komputerze. Mówi, że rozmawialiście o tym wczoraj.

– Tak. Co dalej?

– Już patrzę. Dzwoniła sekretarka pułkownika Hollisa. Powiedziała: „Niech wdepnie. Nie ma sprawy. No to ciao”. W angielskim przekładzie to chyba miało oznaczać „jutro”.

Kelley skinął głową. Dobrze. Może jutro skończą się jego kłopoty. Albo dopiero zaczną. Zapalił papierosa i przekręcił się na obrotowym fotelu.

– Zajrzałaś do raportu księgowego?

– Poratuj mnie fajką – mruknęła.

– Myślałem, że rzuciłaś palenie – odparł Kelley, lecz przypalił jej papierosa.

– Rzuciłam. Dopóki nie zjrzałam do raportu księgowego. Gdy skończyłam czytać, nie byłam pewna, czy mam go zjeść, czy spalić. W rezultacie zamknęłam go w sejfie.

– Dobrze. A gdyby próbował wydostać się stamtąd, to wal go kijem. Serio, Frannie. Ten raport nie istnieje. Nigdy nie widziałaś go na oczy. – Spojrzał na nią poważnie.

– Myślę, że rozumiem – odparła ponuro.

– Nie myśl, Frannie. I nie staraj się rozumieć. Powiem ci, co możesz zrobić. Możesz wysledzić, gdzie jest teraz Lester Quaid.

Frannie spojrzała na Kelleya, jakby był niespełna rozumu, albo jeszcze gorzej.

– Spokojnie – powiedział szybko. – Nie mam zamiaru sprzedać mu firmy! Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest. Mów dalej. Jakie mamy tam jeszcze telefony z zewnątrz, na które mógłbym chcieć odpowiedzieć? – zapytał.

Frannie przyglądała mu się uważnie przez kilka następnych sekund, po czym zerknęła do notesu.

– Jest coś takiego. McCarren. Podobno chciałaś umówić się na spotkanie.

– Kim, do diabła, jest McCarren?

– Claire McCarren – dodała Frannie.

Kelley przypomniał sobie. Zielone oczy, fryzura łobuziaka. „Nie jestem małą dziewczynką. Jestem twarda”.

Poprosił o połączenie i zdziwił się, z jak wielką przyjemnością usłyszał znów jej miękki, lekko ochryply głos. Spytał ją o tamto przyjęcie.

- Najadłaś się?
- Ledwo ledwo – odparła. – Powiedziałeś, że podadzą ja-
gnię o dziesiątej, a to był gołąb o północy.
- Młody i nieopierzony. W dodatku z importu. Zeedee
jest rozrzutny, jak zwykle.
- Może. Nie wiem. Smakował, jakby go złapali na para-
pecie. A potem Zeedee koniecznie chciał obejrzeć „Casablan-
kę” na wideo. I wtedy wyszłam.
- Kelley zastanawiał się, czy wyszła z Cubbittem, tym
wiecznie niezadowolonym właścicielem jachtu.
- Nie będę owijał w bawełnę i zastawiał na ciebie puła-
pek. Jeśli chcesz zobaczyć się ze mną, przyślę po ciebie heli-
kopter – powiedział.
- Claire roześmiała się, a Kelley przełączył ją do Frannie,
aby ustaliły termin wizyty.
- Odłożył słuchawkę i przez chwilę starał się nie myśleć. Po
prostu nie myśleć, tak jak sam kazał Frannie. Zastanawiał się,
czy szaleństwo może usprawiedliwić oszustwo z kapitałem i
akcjami. Bo przecież wstrzymywanie opublikowania raportu
tym właśnie było. Sztuczne utrzymywanie ceny akcji miało
zapewnić nieco więcej czasu na uzyskanie kredytu.
- „A może to coś więcej niż zbrodnia w afekcie. Ten gość
chciał zniweczyć moją firmę i honor. I naprawdę oszalałem...”
- Duke siedział zgarbiony przy biurku i rozmawiał przez te-
lefon. Dzinsowa kurtka wisiała na oparciu wózka.
- Przestań! – rzucił do telefonu. – Zapomnij o tym, stary.
Zadzwoń do kogoś, kto potrafi dać sobie radę z duchami.
Nie. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kelleya wzrokiem, w

którym malowało się osłupienie. Kelley milczał i czekał, co będzie dalej. – Grasz u nas duchy – oznajmił Duke. – Wozimy duchy zamiast pasażerów. – Pociągnął łyk kawy z plastikowego kubka. – Wczoraj zrobiłem to, co mi kazałeś. Komputer powiedział, że loty są zabukowane w całości, więc policzyłem żywych pasażerów, wchodzących na pokład.

– Strzelaj – zachęcił go Kelley.

– Nigdy nie strzelam do inwalidów. – Duke odstawił kubek z kawą. – Tylko wczoraj osiemdziesiąt sześć procent pasażerów, którzy według komputera bez odwołania zarezerwowali miejsce, nie pokazało się w ogóle na pokładzie. Pozwól mi powtórzyć tę zdumiewającą liczbę...

– Nie trzeba – przerwał Kelley. – Daj mi łyka swojej kawy.

– Nie krępuj się. Jediną chorobą, jaką zauważyłem u siebie, jest postępująca paranoja.

Kelley wziął plastikowy kubek.

– Masz pod ręką kalkulator? – spytał.

– Tak. Tutaj, w głowie. Właśnie straciliśmy dokładnie ćwierć miliona dolarów. Tylko wczoraj.

Kelley spokojnie popijał kawę. Liczył w myślach: „Miesiąc ma trzydzieści dni. Dwieście pięćdziesiąt razy trzydzieści równa się... No, dajmy na to minimum sześć milionów dolarów miesięcznie. Przez ile to już miesięcy? Co za parszywiec...”

Podniósł słuchawkę, zaczął wykręcać numer, lecz zawahał się.

– Cholera. Zapomniałem, jak on się nazywa.

– Kto?

– Ten młody geniusz, który wygląda jak nie wyrośnięta żyrafa.

- Mały od komputerów? Heidigger. Bernard Heidigger.
- Bernard? Niech będzie – powiedział Kelley i wybrał numer. Gdy Heidigger się zgłosił, Kelley nakazał mu sprawdzić system komputerowy i zdać relację. Odłożył słuchawkę i mrugnął do Duke'a. – Czy zdarzyło ci się robić coś absolutnie logicznego i mieć jednocześnie wrażenie, że jesteś wariatem?
- Nie wiem, o czym mówisz.
- O sabotażu. Siedzimy tu i gadamy sobie o sabotażu, jakbyśmy oglądali jakiś cholerny kryminał.
- Zdarza się.
- Wiem, że to się zdarza. Nie o to mi chodzi. Może to nie ten film? Może to jakiś film z Bruce'em Lee? Słuchaj, uderzyłeś kiedyś kogoś poniżej pasa? To proste pytanie. W walce? W barze?
- Nie – odparł Duke.
- A ja tak. Pewnej nocy, na ulicy, podszedł do mnie facet z wielkim pistoletem. Rodowód tego gościa byłby pewnie wielką niewiadomą. I to jest w porządku. Nie próbuj zmieniać definicji samoobrony. Bo w którym miejscu wyznaczysz linię graniczną? Chodzi mi o to, że przędeż kopnę Chambersa w jaja niż... co? Niż, na przykład, zabukuję nie istniejących pasażerów na loty Federal Airlines. Albo unieruchomię moje samoloty na jego pasie startowym. A co innego on robi?
- Nie mamy dowodu, że robił to celowo. – Duke potrząsnął głową.
- Chciałbym jednak móc to udowodnić.
- I co byś z tym zrobił?
- Umieściłbym napis na swojej płycie nagrobkowej – odparł Kelley ponuro. – „Zamordowany w sześćdziesięciu

procentach”. – Roześmiał się niespodziewanie. – To niemal prawda. Sześć milionów miesięcznie na dziesięć milionów. Sądziłem, że to bzdura. Ale może jednak nie.

– Dowiemy się, jak długo pan Chambers kopał pod nami dołki – powiedział Duke.

– A wtedy będziemy musieli spróbować go powstrzymać.

Duke nic nie odpowiedział.

Kelley wyjął papierosa i zapalił. Wydmuchał kłąb dymu i przyglądał się, jak znika. Obaj zdawali sobie sprawę, że prawdopodobieństwo powstrzymania tego cwaniaka było niemal zerowe. Komputer można napchać każdą ilością fałszywych danych. Można to zrobić z innego komputera. Z każdego komputera na świecie. Ale jak oddzielić fałszywe dane od prawdziwych?

Kelley potarł brodę.

– Mów dalej. Powiedziałaś, że masz całą listę katastrof. Było tam coś w Warnerze.

– Nie. To nie katastrofa – powiedział Duke. – To po prostu następny wyskok Warnera. Opowiem ci zaraz o tym, a dopiero potem zafunduję ci prawdziwą katastrofę.

– O kurczę! Już się boję. – Kelley się roześmiał. – Dawaj!

– Dobra. Więc Ashe Warner przychodzi tu dziś rano. Może jakieś dziesięć minut po tej kraksie. Samolot wciąż jeszcze się dopala. A dział marketingu wpada na genialny pomysł, że powinniśmy dać kilka szybkich ogłoszeń reklamujących twój detektor wiatru uskokowego. „Coś subtelnego i nienachalnego”, jak mówi Warner. Mała, dyskretna reklama, że tylko

Blue Sky ma detektory na pokładach swoich samolotów. Powiedziałem mu, że mamy tylko kilka na pokładach tylko niektórych maszyn, a reszta jest jeszcze w fabryce. A on na to, że to nieważne. Że mamy detektory na pokładach, a więc prawnie jesteśmy w porządku.

– Poczekaj – przerwał mu Kelley. – Jak trafił do nas ten facet?

– Przez twojego przyjaciela Rosettiego.

– Ach tak? Rosetti? Który tak nagle zajął się reklamą Federal Airlines – rzucił Kelley.

– Mówisz poważnie? – Duke pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Niestety. Niewiarygodne, co? – Kelley pociągnął potężny łyk kawy. – Ale co mu powiedziałeś?

– Warnerowi? No tak, nie pozwoliłeś mi skończyć. Zdecydował, że ty, jako wynalazca urządzenia ratującego ludzkość przed zagładą, powinieneś pozować do zdjęcia reklamowego.

– To rzeczywiście bardzo subtelne i nienachalne.

– W rzeczy samej.

– Na przykład taki obrazek: tańczę sobie na grobach tych, którzy zginęli dziś rano. A napis głosi: „Lepiej żyć. Umierać nie trzeba. Poleć samolotem Blue Sky”.

– Coś w tym rodzaju. Ale tylko ci się zdaje, że żartujesz.

– Duke zabrał swoją kawę. – Mam mówić dalej? – Kelley skinął głową. – Zalegasz z płatnością za paliwo. Już od trzech miesięcy i...

– Nie! To niemożliwe!

– No cóż. Powiedz to firmie Araco Fuel. Ich przedstawiciel rozmawiał ze mną przez telefon i...

– No nie! McDermott przegapił rachunek za paliwo? – Kelley nie mógł uwierzyć.

– Tak powiedzieli.

Kelley usiadł i zapatrzył się w okno. Miał wielką ochotę walnąć w nie pięścią. Lecz, nie mówiąc już o pięści, nie miałby pieniędzy na naprawę okna.

– Zajmę się tym – powiedział wreszcie. – Zadzwonimy do Ashe'a Warnera. Dowiemy się, czy zamordowanie McDermotta byłoby zgodne z prawem – dodał i spojrzął na drzwi. Weszła Frannie, która przyniosła kanapkę i kawę dla Duke'a.

– Dorabiasz jako kelnerka, czy jak? – spytał Kelley. Powiódł wzrokiem od Frannie do Duke'a i z powrotem. Wczoraj też miała na sobie tę samą zieloną spódnicę i sweter... – Nie ważne – powiedział i wstał. – Są dni, kiedy nie widać lasu, bo jest zbyt dużo drzew.

McDermotta nie było w pokoju. Jego sekretarka wyjaśniła, że poszedł do dentysty. Kelley zostawił mu kartkę: „Zapłać ten cholerny rachunek za paliwo, albo stracisz parę dodatkowych zębów”.

ROZDZIAŁ 11

Pas był oblodzony. Samolot znajdował się w odległości około dwustu metrów od końca pasa, gdy eksplodował zbiornik paliwa.

W powietrzu wciąż jeszcze unosił się duszący swąd palonego mięsa. Kelley zerknął na ekipy ratunkowe. Ludzie w czarnych kombinezonach mozolnie przebijali się przez lód i pianę, aby dotrzeć do wypalonego kadłuba samolotu.

Wiatr dął wściekle na odkrytej przestrzeni. Kelley zadrżał z zimna. Na pasie za jego plecami stało kilka ciężarówek i karettek, podnośników, dźwigów i wszelkich specjalistycznych pojazdów, które przybywają zwykle na miejsce katastrofy, aby zlikwidować jej ślady. Ekipa telewizyjnych wiadomości była w swoim żywiole, filmując takie kwiatki jak, na przykład, małego pluszowego misia, który leżał na śniegu w pobliżu wraka, pomiędzy butelką odświeżacza do ust a czystą białą bielizną.

Kelley odwrócił się i chciał odejść. Za nim stał policjant i chuchał w zmarznięte dłonie.

– Parszywa śmierć – powiedział. – Wpadli jak śliwka w kompot. Wiedzieli, że to nadchodzi.

– Nie wiedzieli – zaproponował Kelley.

„Nie wiedzieli, że nadchodzi. I dlatego zginęli”, dodał w duchu.

Szedł w kierunku swojego samochodu i zastanawiał się, po jakie лихо tu przyszedł, na tę scenę, gdzie głównym aktorem był Anioł Śmierci.

Minął pas startowy i ujrzał pędzącą w pośpiechu ekipę telewizyjną. Bardzo pracowici chłopcy. Osobnicy, których zajęciem jest zbijanie forsy na ludzkim nieszczęściu.

– Proszę nam powiedzieć, panie Kelley, co pan sądzi o tej strasznej tragedii?

– To rzeczywiście straszna tragedia.

Dobrze, że nie posuwają się do rozmów z uratowanymi i nie zadają pytań w stylu: „Jakie to uczucie, gdy straci się męża, pani Jones?”, pomyślał Kelley.

Z grupy reporterów wysunął się przystojny szatyn w kaszmirowym szalu, który powiewał na wietrze.

– Czy, mogę prosić o komentarz na temat tej historii z pańskim raportem księgowym? – spytał.

– Słucham? – rzucił Kelley.

– Czy mam powtórzyć pytanie?

– Nie musi pan powtarzać pytania, natomiast chciałbym, aby pan je wyjaśnił.

– Chodzi o pańskie straty na koniec czwartego kwartału.

Kamera pracowała cały czas, rejestrując każdą drobną nawet zmarszczkę, każde drgnienie twarzy. Kelley spojrzął prosto w obiektyw.

– Sądzę, że dość już na dzisiaj prawdziwych nieszczęść.

Nie potrzeba zajmować się pozornymi. Panowie wybaczają... – mruknął.

Wsiadł do samochodu, włączył silnik i zapalił papierosa. Nie mógł sprawiać wrażenia, że ucieka w popłochu. Włączył radio i powoli odjechał. Co za sukinsyn, pomyślał. I kto to mógł zrobić? Kto puścił tę informację do prasy? Teraz naprawdę trzeba będzie cholernie dużo zapłacić. Akcje firmy spadną. Klasa jego zabezpieczeń też, pewnie do poziomu C: „ryzyko niewypłacalności”. Potencjalni inwestorzy, może z wyjątkiem Pułkownika i Quaida, będą zwiewać, gdzie pieprz rośnie. A w wiadomościach o szóstej ukaże się Kelley, Wielki Moralista, i powie: „Sądzę, że dość już na dzisiaj prawdziwych nieszczyćść...”

– Strasznie boli mnie ząb, Kelley – powiedział McDermott. – To było leczenie kanałowe i nie powinienem, zapewniam cię, naprawdę nie powinienem wracać dzisiaj do pracy. Ale jednak wróciłem i co mnie spotyka? Znajduję na moim biurku obraźliwe liściki...

– Och, przestań już, George. – Kelley opadł ciężko na kanapę w gabinecie McDermotta. Było tu duszno i gorąco. – Dam ci order Brązowej Gwiazdy za to, że przyszedłeś tu z bólem zęba. Ale teraz chcę wiedzieć, dlaczego nie zapłaciłeś rachunku za paliwo. Każdego miesiąca zużywamy go za dwadzieścia milionów dolarów, a ty pozwoliłeś, abyśmy zalegali przez trzy i pół miesiąca. Chcę wiedzieć dlaczego.

McDermott westchnął i pociągnął łyk herbaty z platerowanego kubka.

– Rozdział dziesiąty – zaczął słabym głosem – ustawy o bankructwie. Jeśli trzech małych wierzycieli podaje cię do sądu, to automatycznie stajesz się bankrutem. I nie ma odwołania. Miałem listy od dostawców, którzy straszili sądem za jakieś pięćset dolarów każdy. Dostawcy żywności, materiałów biurowych, drukarze. To są rzeczy, o których nigdy nie myślisz. Zdecydowałem więc zapłacić najpierw te wszystkie małe rachunki, a duże na razie odłożyć.

– Ale mogłeś zapłacić choć trochę za to paliwo. A nie zrobiłeś tego.

– Nie zrobiłem.

– Więc znów jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Doszedłem do wniosku, że powinieneś mieć gotówkę w ręku.

– Cholera jasna! – warknął Kelley. Staraj się być cierpliwy. – Nie potrzebuję gotówki w ręku, George. Potrzebuję paliwa w zbiornikach. Jeśli zamkną mi kranik i zaczną dostarczać paliwo na bazie COD*, to jestem skończony. Zapłać im dzisiaj, dobrze? Możesz wyrównać całą zaległość? – spytał. McDermott potrząsnął przecząco głową. – No to za dwa miesiące. Możesz dać im czterdzieści?

* COD – *cash on delivery* – płatne przy dostawie (przyp. tł.).

– Jeśli to zrobię, zostanie ci gotówki na dwanaście dni.

– Lepiej to zrób, George. Teraz. Dzisiaj. Wyślij czek przez posłańca. A potem idź do domu i połóż się do łóżka.

Bo szczerze mówiąc, George, wyglądasz jak siedem nie-szczęść.

Claire McCarren siedziała w pokoju Frannie i obie śmiały się głośno. Obie też jednocześnie podniosły wzrok, gdy wciąż jeszcze rozzłoszczony Kelley stanął w drzwiach. Jego gniew ulotnił się nagle. Może na widok zielonych oczu Claire, mądrych i pełnych zrozumienia? A może dzięki jej zagadkowemu uśmiechowi? Miała na sobie wełnianą sukienkę z golfem w kolorze gorącej czekolady. Zgrabnie ostrzyżoną głowę przechyliła lekko na bok. Wyglądała uroczo i trudno było gniewać się na nią.

– Od dawna tu jesteś? – spytał Kelley. – O czym jeszcze zapomniałem? – zwrócił się do Frannie.

– Na twoim biurku czekają trzy wiadomości – odparła.

Kelley szybko przerzucił notatki, podczas gdy Claire rozglądała się dokoła. Dwa razy dzwonił z *Wall Street Journal*. Dwa razy z *Timesa*. I notka od Frannie: „Lester Quaid, 113 Avenida Atlantica, Rio. Tam do końca lipca”.

– Napijesz się czegoś? – spytał Claire.

Dziewczyna spojrzała na kilka ogłoszeń, które leżały na biurku. Ostatnie pomysły Rosettiego.

– Nie, dziękuję – odparła niezdecydowanie. – „Uśmiech Blue Sky” – przeczytała na głos. – Podoba ci się to?

Kelley nalał sobie szkockiej i usiadł w fotelu.

– Mówiłem Rosettiemu, że to sentymentalne bzdury. Ale on powiedział, że właśnie o to chodzi, na tym polega ich wielkość. Jakieś pięć lat temu Frank zaczął stosować w reklamie

te swoje zdania-hasła i przetrwaliśmy kryzys w lotnictwie komunikacyjnym. Powiedział, że „sentymentalny” to magiczne słowo.

U nóg Claire stała otwarta brązowa teczka.

– Chowasz tam jakąś magię? – spytał Kelley.

– Projekty – odrzekła. – Stare projekty. I proszę na wszystko, nie staraj się być uprzejmy. Jeśli ci się nie spodoba ją...

– Claire? – zawiesił głos i potrząsnął głową. – Po prostu pokaz. Jeśli będą okropne, wyrzucę cię przez okno.

– Słowo harcerza? – Roześmiała się.

– Najświętsze. Dawaj je.

Podobало mu się, że nie próbowała żadnych sztuczek, nie udawała wielkiej artystki, śmiertelnie poważnej i zarozumiałej. Była sobą.

– Cóż... moim zdaniem potrzebujesz reklamy z ikrą, ale bez sentymentalizmu. Niebanalnej.

Powiedziała to z prostotą, naturalnie. Słowa, które należało właśnie powiedzieć. Wiedziała, o czym mówi. Znała liczby i orientowała się, że Federal Airlines żadne są krwi Kelleya.

– Mam tutaj – zaczęła – coś w rodzaju dwustopniowego ataku. Pierwszym krokiem jest kampania reklamowa. Musimy uświadomić ludziom, że interes z Federal Airlines nie jest żadnym interesem. Krok drugi to kampania wojenna. Jeśli ta wojna będzie krwawa, to ty sam masz najlepsze doświadczenie, jak walczyć, aby przetrwać. – Wzruszyła ramionami. – No bo co właściwie masz do stracenia?

– Racja. Jedyne wszystko, co posiadam.

– Tak... Zupełnie jak Rocky.

– Uhm. Też jestem twardzielem.

– Chodziło mi bardziej o to, że stawiasz na szalę wszystko, nie cofasz się przed ryzykiem. Walczysz na śmierć i życie. Amerykanie są naprawdę stuknięci. Czujemy zwycięzców, ale kochamy takich beznadziejnie romantycznych wojowników. A ty właśnie taki jesteś. Więc dlaczego tego nie wykorzystasz? Nie użyć tej prawdy w reklamie?

– Zaraz, zaraz. Nic nie wiem o żadnej prawdzie. Jeśli chcesz zacząć interes w branży Prawdy Absolutnej, wyjedź na inną planetę. Przejrzyj gazety z ostatnich kilku lat. Porównywano mnie niemal do każdego zwierzęcia, od zabłąkanego jagnięcia do drapieżnego jastrzębia. Według prawdy głoszonej przed Federal Airlines jestem jastrzębiem siejącym zniszczenie.

– Och, z pewnością – odparła Claire. – Edison, na przykład, zniszczył producentów świec.

Kelley się roześmiał.

– Chcesz mnie przedstawić jako symbol postępu?

– A wolisz być jastrzębiem siejącym zniszczenie?

– Właśnie.

– Ale mimo to nie wyrzuciłeś mnie przez okno.

– Jeszcze nie. Bo... jeszcze nie skończyłaś, prawda?

Tym razem ona się roześmiała. Kelleyowi podobało się, jak na niego patrzy. Oczy, które napotykały jego wzrok. Dziewczyna w czekoladowej sukience. Mądre, rozumne oczy. Dziewczyna, z którą można rozmawiać.

Telefon na biurku rozdzwonił się przenikliwie. Kelley siedział bez ruchu.

- Chcesz żebyśmy udawali, że nie ma nas tutaj? – spytał.
- Dzwonek odezwał się ponownie. Tym razem Kelley podniósł słuchawkę.
- Przyszedł list z Araco – powiedziała Frannie.
- Co tam piszą? – spytał.
- Nie wiem. Ale od samego morowego powietrza, którym z niego powiało, zwiędło mi kilka kwiatków. Przysłali go przez posłańca.
- Przynieś go tutaj – rzucił do słuchawki, czując jakiś wewnętrzny niepokój.
- Frannie weszła z kopertą, którą trzymała jakby wewnątrz znajdował się co najmniej ładunek wybuchowy.
- Kelley szybko otworzył list.
- Papier firmowy Araco Fuel.
- Podpisano: *LeRoy Barron, Dyrektor Finansowy.*
- Kelley przebiegł wzrokiem zapisaną kartkę: *...kilkakrotne monity... nie zapłacone rachunki... 72.000.526 dolarów... wezwanie do zapłaty... następne dostawy na bazie COD... Z przykrością domagamy się...*
- Połącz mnie z nim. Jeśli nie będzie chciał rozmawiać, odłóż słuchawkę, zadzwoń znowu, powiedz, że dzwonisz ze szpitala i jego matka umiera. Powiedz, co chcesz, ale połącz mnie z nim. – Odwrócił się do Claire.
- Pewnie chcesz, abym wyszła przypudrować sobie nos. – Claire wstała z fotela.
- Nie. Jeszcze nie teraz. Zajmie jej to trochę czasu. Albo i wieczność. Równie dobrze możemy zestarzeć się tu razem, czekając na dzwonek telefonu – mruknął.

Claire spojrzała uważnie na jego twarz, skrytą za woalem dymu.

– Trudny rok, co? – spytała z uśmiechem.

– Uhm. Kłopot w tym, że w miarę upływu lat jest coraz mniej wesoło. To już nie zabawa w wojnę. Czuję się, jakbym zjadł już zęby na takich pojedynkach.

– No cóż... – powiedziała z wolna. – Wielu z biorących udział w pojedynkach dożyło późnej starości.

– Dziki Bill Hickock.

– Chociażby.

– Skończył w cyrku. A Wyatt Earp prowadził bar. Freddie Laker handluje telefonami.

– Tak naprawdę to nie widzisz siebie w takiej roli?

– W ogóle nie widzę przyszłości. Widzę jedynie mur, do którego zbliżam się z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Albo mur, albo ja. Coś rozpadnie się na kawałeczki, tylko nie wiem co. A może ty wiesz?

– Biedny mur – odparła Claire z udawanym smutkiem. – Nie ma żadnych szans.

– Śmieję się ze mnie, śmieję – powiedział Kelley wesoło.

Na biurku odezwał się dzwonek telefonu. Kelley podniósł słuchawkę.

– Cześć, nazywam się Kelley. Kiedyś miałem linie lotnicze, a teraz chciałbym porozmawiać o kurzu, który pokrywa twój zlew – zażartował. W słuchawce była martwa cisza. – Frannie? – zapytał Kelley.

- Nie, proszę pana. Tu Bernard Heidigger. Miałem złożyć raport o tym... no... soba... sybo...
- Sabotażu? – podpowiedział Kelley.
- Właśnie, proszę pana. No i to jest z całą pewnością sabotaż.
- Wiesz kto?
- Nie, proszę pana. Ale to na pewno nie jakiś zdolny amator-włamywacz. Kimkolwiek jest, musi dysponować komputerem z systemem binarnym. Wie pan, o czym mówię?
- Mniej więcej. Federal Airlines mogą mieć taki komputer?
- Tak, proszę pana. I każda duża firma. Zastanawiam się teraz nad sposobem powstrzymania ich.
- Brzęczyk telefonu odezwał się ponownie.
- Pracuj nad tym – rzucił Kelley i przełączył się na drugą linię.
- Lee Barron na jedyńce – oznajmiła Frannie.
- Kelley skinął na Claire, która wstała i wyszła. On sam zaś wziął głęboki oddech i wcisnął przełącznik.
- W porządku – zaczął, nim Barron zdołał wypowiedzieć choć słowo. – Wiem, że jesteś zły, ale czek jest już w drodze.
- Jasne, że jestem zły – odparł Barron. – Nie lubię kręćstwa. Twój McDermott miał w tym miesiącu więcej konferencji niż pieprzone Narody Zjednoczone.
- Przykro mi – powiedział Kelley. – McDermott miał pewne kłopoty ze zdrowiem, a ja byłem poza miastem. Dziś rano dowiedziałem się, że nie wysłano ci czeku, więc natychmiast poleciłem to zrobić. Przez posłańca.

- Czyli, że dostanę go pocztą – rzekł Barron sucho.
- Powinieneś dostać go lada moment.
- Na całą kwotę?
- Na jej część. Czterdzieści – powiedział Kelley.
- Cała kwota ma być zapłacona.
- Daj spokój, Lee. Nie tak się umawialiśmy, więc nie zmieniamy teraz naszych ustaleń. Gdy dostaniesz ten czek, będę ci winien dwadzieścia milionów, a nie trzydzieści dwa. Na początku przyszłego miesiąca dostaniesz następne dwadzieścia plus pięć à konto mojego długu. No i jeszcze następne pięć za cztery nadchodzące miesiące. To wszystko, co mogę teraz zrobić, Lee. Reszta należy do ciebie. Możesz zarządzić kurę, ale wtedy nie będziesz miał jajek.

Barron milczał i pośpiesznie obliczał ryzyko. Jeśli teraz doprowadziłby firmę Kelleya do bankructwa, miałby szczęście mogąc dostać parę centów za dolara. Z drugiej jednak strony, jeśli Barron słuchał wiadomości o szóstej, jeśli dotarły do niego echa całej wrzawy wokół strat Kelleya, będzie próbował rozegrać całą sprawę w najbezpieczniejszy dla siebie sposób. A wtedy, w ciągu kilku sekund, gra będzie skończona.

Lee Barron wziął głęboki oddech.

- Możesz mi spłacić zadłużenie w ciągu trzech miesięcy – powiedział. – Nie czterech, trzech.
- W porządku. Umowa stoi.
- Umowa stoi. Lecz jeśli nie dostanę sześciu koma sześć pierwszego i jeśli znowu się spóźnisz z płatnością...

– Rozumiem – odrzekł szybko Kelley, zanim Lee wypowiedział swą groźbę. – My też nie chcemy przekroczyć tej linii. Zapewniam cię.

Odłożył słuchawkę i siedział przez chwilę, trąc zmęczone oczy. Zastanawiał się, czy popełnił oszustwo, czy kradzież. Czy też i to, i to. I jak się z tym czuje w głębi duszy, zgodnie ze słowami adwokata.

Wstał i przeszedł się po gabinecie. Jego biuro przypominało ostatnio deptak, po którym on sam grasował jak bandyta. Spojrzał na szklankę z whisky, którą zostawił nie tkniętą na krześle na środku pokoju. Potrzebował teraz tego drinka. Potrzebował smaku zwycięstwa, słów otuchy.

Gdy Frannie weszła do gabinetu, zastała Kelleya, siedzącego bez ruchu na krześle.

– Mam złą wiadomość – powiedział i wzruszył ramionami. – Przeżyjemy jeszcze dwa tygodnie. To jest także dobra wiadomość.

Frannie westchnęła.

– Claire może już wejść? – spytała.

– „Rocky”. Widziałaś kiedyś ten film?

– Trzy razy.

– Taaak. Wpuść ją. Albo nie. Daj mi jeszcze kilka minut – powiedział.

Spojrzał na brązową teczkę na kanapie. Claire nie zamknęła jej. Bez względu na to, co kryła jej zawartość, chciał, żeby mu się spodobała. Ale co będzie, jeśli mu się nie spodoba?

Wolałyby to odkryć w samotności. W gruncie rzeczy Claire chciała, aby to zobaczył. A poza tym działanie za cudzymi plecami stało się ostatnio modne.

Wyciągnął projekty z teczki i rozłożył je na stole jak talię kart, zapisanymi stronami do dołu. Usiadł na kanapie i odwrócił pierwszą kartkę.

ZACZEŁA SIĘ POWIETRZNA WOJNA.
GDY ONI WYGRAJĄ, TY PRZEGRASZ.

Nie jest tajemnicą, że różne Unie lotnicze starają się konkurować (w rozsądnych i na ogół ściśle określonych granicach) z Blue Sky i jego zniżkowymi taryfami. Lecz nie jest to normalne, przyjacielskie współzawodnictwo. To III Wojna Powietrzna, jak same to określają.

Usiłują wyeliminować nas z tej branży. Nie uda im się.

Lecz jeśli to zrobią, nie bez walki ze strony Blue Sky, to jak myślicie, co stanie się z cenami ich biletów?

LINIE LOTNICZE BLUE SKY
LEĆ TERAZ, ALBO KIEDYŚ BĘDZIESZ MUSIAŁ
ZA TO ZAPŁACIĆ.

Claire nie żartowała. To rzeczywiście był materiał z ikrą.

Kelley przerzucił kilka innych projektów. Jeden z nich miał nagłówek: TARYFA WOJENNA. Był to po prostu cennik biletów do dwunastu głównych miast. Każdy bilet miał być oznaczony hasłem:

BLUE SKY – TO JEST DOPIERO BILET.

Artykuł do gazety bankowej pod tytułem:

KUPUJ OBLIGACJE WOJENNE.

Artykuł: WALKA PSÓW.

Plakat reklamowy z dużym napisem:

BLUE SKY CZEKA NA CIEBIE.

Kelley podniósł wzrok znad projektów i ujrzał Claire stojącą w otwartych drzwiach.

- Oszukujesz – powiedziała.
- Nigdy nie wolno mi ufać. Znany jestem z tego.
- No i co o tym sądzisz?

– Chciałbym to pokazać Ashe'owi Warnerowi. Nie sądzę, abym już w tej chwili pragnął jego odejścia, więc wolałbym, aby to on cię zaangażował. A teraz do roboty. Zrobimy parę kopii i jedziemy do miasta. Z pierwszym ogłoszeniem. – Zawiesił głos. – I chciałbym, abyś pomyślała o Paryżu. Mam zamiar uruchomić tę trasę w kwietniu. Na tę kampanię zrzuć lepiej oddzielną umowę, bo jeśli coś nie wypali, nie chciałbym, abyś została bez grosza.

- Zaryzykuję.
- Dlaczego?

Claire spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie musisz wszystkiego wiedzieć – odparła.

Kelley przyglądał jej się przez minutę, a potem wstał gwałtownie i sięgnął po jej płaszcz.

- Chodź, biedronko. Odwiozę cię do domu.

ROZDZIAŁ 12

Lubiła na niego patrzeć. Na jego opalone ręce dotykające instrumentów pokładowych, na czarne oczy obserwujące coraz ciemniejsze niebo. Wokół nich migały gwiazdy, jak odległe światełka na nie kończącej się drodze. Nie rozmawiali ze sobą, lecz ich milczenie było przyjazne i dobre. Kelley kilkakrotnie zerkał na Claire i uśmiechał się, jak do kogoś bliskiego, z kim dzieli się wspólny koc na plaży lub miejsce przy kominku. Jego spojrzenie mówiło: „Cieszę się, że tu jesteś”.

Claire poczuła nagły, niespodziewany gniew. Kelley, bogaty Kelley, mąż sławnej Karen Kelley, popularnej modelki z zumała *Women's Wear Daily*. Burke Kelley, który uśmiecha się do niej porozumiewawczo w kabinie helikoptera. „Uważaj”, powiedziała sobie. „Przestań bujać w obłokach”.

- W porządku? – zapytał Kelley.
- Uhm. Świetnie.

Zapaliła papierosa i starała się przypomnieć sobie, co wie o jego małżeństwie. Przez jakiś czas państwo Kelleyowie byli najślawniejszą parą od czasów Micka Jaggera i jego żony.

Wszędzie publikowano fotografie ślicznej eks-modelki i dzielnego asa przestworzy, którzy włóczyli się po plażach, wyspach i górach. Ale kiedy to było? Chyba na początku lat siedemdziesiątych. Teraz ich zdjęcia ukazywały się tylko od czasu do czasu, z okazji jakiejś akcji charytatywnej lub otwarcia czegoś tam. Kelley, z poważną miną, krzywił się na ogół do obiektywu, jakby chciał powiedzieć fotografowi, a może czytelnikowi: „Nie masz nic lepszego do roboty?” Pojawiały się też czasem zdjęcia Karen w innym niż męża towarzystwie. W zasadzie najczęściej widywano ją z Zacharym Davidem. Kelley pokazał się na kolacji u Zeedee'ego. Kto wie, o co tu chodzi? Bizantyjskie orgie, pomyślała gorzko Claire. Miłość w przeredzonym kręgu bogaczy. Przypuszczała, że Kelley miewa jakieś sekretne wyszukane romanse z „wyzwolonymi” kobietami z towarzystwa. No cóż, pomyślała. To nie dla mnie.

Mężczyzna jest jak dynamit i powinien być oklejony ostrzegawczymi napisami: **NIEBEZPIECZEŃSTWO! PODCHODZISZ NA WŁASNE RYZYKO! LEPIJ IDŹ DO KLASZTORU! IDŹ DO KLASZTORU!**

I co jeszcze? Najlepiej ukryć się za żartobliwą fasadą, pomyślała. Zachowasz trzeźwość spojrzenia, jeśli zdarzy ci się brać udział w takiej komedii!

Gdy była ostatnio w domu, ojciec powiedział jej, że „zbyt przesiąkła Nowym Jorkiem”. Odparła na to, że „to tak samo, jakbyś powiedział, iż ktoś zanadto chudnie lub zanadto się bogaci”. Ale ojciec spojrział na nią obojętnie, mówiąc: „Dowcipy stanowią epitafium dla emocji”. Bum! Cisza zawisła wtedy

między nimi i po raz pierwszy w życiu Claire odczuła namacalną wręcz dezaprobatę ojca.

Powiedział coś jeszcze. Matka zapytała ją, czy w jej życiu pojawiają się jacyś interesujący mężczyźni.

– Dzięki Bogu, nie – odparła Claire lekko. Wtedy ojciec odwrócił się i raz jeszcze obrzucił ją baczным spojrzeniem. – Na miłość boską, tato. Żartowałam – powiedziała i zaczęła opisywać Toma Cubbitta.

Starła się przedstawić go w najlepszym świetle, opowiadała, że proponował jej małżeństwo, co było zgodne z prawdą. I że zastanawia się nad tym. Co już nie było zgodne z prawdą.

Następnego ranka ojciec odwoził ją na lotnisko.

– Powiedz mi coś więcej o tym Cubbicie – zażądał.

I cóż mogła dodać? Nic więcej nie było. Cubbitt to tylko przystojny dupek, który uważa się za wielkiego i wspaniałego. I bogatego. Interesuje się joggingiem i łódkami. Biega każdego ranka. Biega nawet w łóżku. Kiedyś zsunął się z niej i powiedział: „To był niezły trening, co?”

– Jak na jedną z najbardziej wygadanych osób w naszej rodzinie – powiedział ojciec znad kierownicy – jesteś dziwnie milcząca, jeśli chodzi o tego pana, młoda damo. Wydaje mi się, że chyba nie jesteś w nim zakochana.

– Nie oczekiwałam, że się zakocham – odparła i wzruszyła ramionami. – Nie wiesz, jak tam jest, tatusiu. To pustynia z dziwnymi, prehistorycznymi zwierzętami. Gdy spotkasz takie, które nie kąsa cię w rękę, wydaje ci się, że złapałeś Pana Boga za nogi.

– Bzdury – mruknął ojciec. Claire włączyła radio, lecz on

wyłączył je niemal od razu. – Posłuchaj mnie, Clary. Nie proszę cię, abyś dała się gryźć, lecz nie możesz być takim przestraszonym kurczątkiem. Co innego chronić siebie, i popieram to w pełni, a co innego zachować całkowitą czystość od życia. – Uśmiechnął się. – Przemyśl to sobie teraz, a potem możesz już włączyć radio.

Cóż... Ta rozmowa zamieszała jej tylko w głowie. Ojciec miał racje i nie miał jej. Nie rozumiał atmosfery miasta. Nie rozumiał, że błyszczą tam wszystko oprócz złota. Ot, nędzna parada zawodników wagi koguciej: nowicjusze, tajemnicze indywidua z pustym w rzeczywistości wnętrzem, osobnicy samowystarczalni lub ze zrujnowanym zdrowiem, faceci podobni do królików u magika. Teraz je widzicie, dzieci, a już za chwilę ich nie ma. To miasto to Kraina Czarów, a każda kobieta tutaj jest Alicją. Claire chciała wytłumaczyć ojcu, że to nie takie proste. Że nie można tu zastosować standardów prostszego świata, w którym życie toczy się o wiele łatwiej.

A co teraz pomyślałby ojciec o jej interesach? O tym, że Kelley zaprosił ją na kolację, a ona zgodziła się bez wahania? Czy nazwałby to „odrobinę zbyt nowojorskim zachowaniem”?

– Lepiej zgaś już papierosa – odezwał się Kelley, a Claire otrząsnęła się z zamyślenia. – Jesteśmy na miejscu. – Wskazał palcem. – Widzisz to piękne miasto?

Manhattan jarzył się blaskiem jak brylantowa bransoletka rozłożona na ziemi.

Kolację zjedli w „Des Artistes”, uroczej, małej restauracji tuż przy parku, z witrażowymi szybami w oknach i ogromnymi misami pełnymi kwiatów. Kelley zamówił żeberka jagnięcia z ryżem, a na przekąskę szkockiego łososia i butelkę „Moët”.

Gdy kelner nalał im wino, stuknęli się kieliszkami.

– Za nieobecnych przyjaciół – powiedział Kelley.

Claire zaskoczyła melancholia w jego głosie.

– Spodziewałabym się, że wzniesiesz toast za nadzwyczajne szczęście.

– Właśnie to zrobiłem – odparł spokojnie.

Claire się roześmiała. Czasami Kelley zaskakiwał ją. Przepuszczała, że jest zmienny i nie zawiodła się. Lecz nie spodziewała się u niego takiego czarnego humoru, nagłego, chłopięcego wyrazu twarzy, gdy wybuchał śmiechem, czy też przejmującego znużenia życiem, które w jej mniemaniu odczuwał. „Stary wiarus”, powiedział kiedyś o sobie.

– Za wesoły śmiech – dodał szybko Kelley. – Powiedz mi, skąd pochodzisz.

– Z małego miasteczka na prerii.

– I z dużej szczęśliwej rodziny.

– Jakbyś wiedział. – Roześmiała się. – Sądzę, że jestem jedyną spośród znanych mi osób, która uwielbia swoją rodzinę. Nie tylko lubi, czy toleruje, ale właśnie uwielbia. Mój ojciec należy do typu wielkich, ciepłych, opiekuńczych mężczyzn. Jest jak drzewo. Niezmienny i zawsze w tym samym miejscu. Wiesz, o co mi chodzi. A moja mama jest lekarzem.

– Lekarzem?

– Wiejskim lekarzem. Mam też dwóch braci. Raymond jest farmerem i wielkim zwolennikiem ochrony środowiska. Avery pisze dla *Washington Post*.

– A ty pewnie jesteś tą czarną owcą?

– To bliższe prawdy, niż sądzisz. – Claire roześmiała się.

Kelley przyglądał jej się w milczeniu.

– Jasne – powiedział. – Szargasz rodowe nazwisko po rynsztokach Madison Avenue.

– Mówiąc szczerze – odrzekła Claire – McCarren to nie jest moje rodowe nazwisko.

– Ach tak?

Czyżby wyglądał na odrobinę zmartwionego?, pomyślała.

– McCarren to chłopak, którego żoną byłam przez rok.

– A w następnym roku się rozwiodłaś? – Kelley zamrugał ze zdziwienia.

– W twoim głosie brzmi odcień dezaprobaty.

– A w twoim... nie wiem. Może daleka droga z prerii.

W tym momencie pojawił się kelner z wózkiem pełnym zamówionych dań.

– Chyba nic nie wiesz o prerii – powiedziała Claire. – Traci się męża, grzebie się go, płacze i wraca na wóz.

– Straciłaś go?

– Nie z mojej winy, zapewniam cię. Zmarł od ukąszenia kleszcza. Więc jeśli życie ma tak wredne poczucie humoru, to naprawdę sądzę, że lepiej gdy ludzie mają takie samo. Kochałam go, ale to było dawno temu. – Przerwała na chwilę. – Nie

chciałam uderzyć w taki poważny ton. Czy też zacięty, czy jaki tam jeszcze.

– I taki, i taki – odrzekł Kelley. – Moim zdaniem.

Przez chwilę milczeli, koncentrując się najedzeniu.

– No dobrze. A co z tobą? – Claire spojrzała na niego. –

Jeśli już poruszyliśmy ten temat.

– Małżeństwa?

– Uhm.

– Cóż... powiedzmy, że mam to, co chciałem. Najpiękniejszą kobietę świata. – W głowie Kelleya zabrzmiała ironia.

– I to w zasadzie wyczerpuje temat.

– Macie dzieci?

– O co ci chodzi? – skrzywił się Kelley. – O ważne daty w moim życiu? A więc, nie. Nie mam dzieci. A ty?

– To jedna z ważniejszych dat w moim życiu. Ma na imię Mark i ma osiem lat. Jest zabawny, bystry. Ładny i... jest po prostu dzieckiem. Moim dzieckiem – dokończyła z uśmiechem.

– Lubisz go.

– Właśnie.

– Słuchaj, chciałabyś przywieźć go kiedyś na lotnisko? Zabrałbym go na przejażdżkę dla „młodych ptaszek”.

Claire spojrzała na niego w zamyśleniu.

– Zaskakujesz mnie, wiesz?

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ale trzymam cię za słowo. Może w czerwcu?

Rzecz polega na tym, że Mark jest teraz z moimi rodzicami. Tylko do czasu, gdy ułożę moje sprawy zawodowe. Przy okazji muszę ci powiedzieć, że mój ojciec będzie przerażony na

wieść, iż przyjąłam twoje zlecenie. On się obawia, że dostanę się w gniazdo rozpusty.

– A ty się nie boisz?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – To trochę oszukańcze zajęcie. Chodzi mi o to, że kiedyś ktoś określił reklamę jako „sztukę sprzedawania niepotrzebnego nieinteligentnym”. Jest w tym dużo prawdy. Na przykład, czy świat potrzebuje jeszcze jednego rodzaju pasty do zębów? Albo popatrz na to, co się tu dzieje. Dzieciaki zabijają rówieśników dla radia czy roweru. Jak chociażby ostatnio. Co to było? Najmodniejsze słoneczne okulary? Ktoś wspaniale wykonuje swoją pracę, sprzedając absolutnie przerażające rzeczy. – Urwała na chwilę. – Przepraszam. Nie chciałam, aby brzmiało to tak serio.

– Czy ty zawsze tak? – Kelley pokiwał głową. – Lubisz się obwiniać. Mówisz: „Jestem zła, jestem posępna”, a za chwilę przepraszasz.

– Większość ludzi tego nie lubi – odparła, rumieniąc się.

– Ha... większość ludzi to dupki. Powiem ci coś. Z większością ludzi nie potrafię już rozmawiać. I nawet nie jestem pewien, czy to są rzeczywiście ludzie. Spotkało cię kiedyś coś takiego? Mówisz do faceta i nagle okazuje się, że to nie facet, a jedynie garnitur. – Kelley rozejrzał się i znów spojrzął na Claire. – Zerknij powoli i ostrożnie na tego gościa przy lustrze. Tego, który właśnie siada.

Podążyła wzrokiem we wskazane miejsce. Mężczyzna miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, siwe włosy i rumianą twarz.

– Wiesz, kto to jest? – spytał Kelley.

Claire wzruszyła ramionami.

– Daj mu kowbojski kapelusz i będziesz miał Lyndona Johnsona.

– Daj mu czapkę lotniczą i będziesz miała Ripa Chamber-
sa. We własnej osobie.

– Prezesa Federal Airlines?

– Dokładnie tak. Myślałem, że chciałabyś zobaczyć twarz
wroga.

– Stąd nie widzę białek jego oczu...

– Powiedzieć ci, dlaczego nazywają go „Rip”, czyli
„Rączka”?

– No? Dlaczego? – Uniosła swój kieliszek.

– Już myślałem, że nie zapytasz. A więc dobrze. Proszę
bardzo. Chambers był spadochroniarzem w czasie drugiej
wojny światowej. Wiesz, do czego służy rączka w spadochro-
nie?

– Do otwierania czaszy?

– Właśnie. Skaczesz z maszyny, liczysz do dziesięciu i
pociągasz za rączkę. Ale Rip lubił czekać i pływać w powie-
trzu. Raz liczył to trzydziestu, a sierżant o mało nie dostał
zawału. Stał w otwartych drzwiach i wrzeszczał: „Rączka!
Rączka! Rączka!” – Kelley przerwał na chwilę. – Podoba ci
się ta historyjka?

– Niezła.

– Ekscytująca?

– Trochę.

– No dobra. To nieprawda. Spotkałem kiedyś faceta, który
chodził z Chambersem do szkoły. Już w podstawówce nazy-
wali go „Rip”. Ale stary Rip opowiada tę historyjkę o skaka-
niu przy obiedzie w „Wings Club”. I mówi w ten sposób: „No,
chłopaki, czyż nie byłem świetny?”

- Pajac!
- Zarozumialec. Najgorszego gatunku. Wielki człowiek, który ledwo wystaje z własnych butów. A to co robi teraz, ma na celu obronę jego ego. Nie jego linii. Jego ego. Trochę jak Johnson. Johnson zaangażował się w wojnę, reszta więc jest historią, prawda? Tak to mówią. I tak samo Rip. Zanadto się wciągnął. A to szkodzi Federal. – Kelley się roześmiał. – Sam mam złamane obie ręce, a troszczę się o innych, co? Cholera. Teraz ja chyba jestem zbyt poważny.
- Podoba mi się to.
- Widzisz? – Spojrzał na nią uważnie. – Większości ludzi nie mógłbym tego powiedzieć. Już nie wspominając o większości kobiet, z którymi rozmawiałbym o winie czy szampanie.
- Naprawdę?
- Sam nie wiem. Gdybyś ty należała do większości kobiet... Cóż, powiedziałbym ci, że masz chyba najlepszą twarz, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem.
- Często używasz tego banału?
- Może tak, może nie. Jestem jak wilk, który wyje do księżycy i wzywa wilczycę. Aż wreszcie przychodzi ta najlepsza – powiedział i obrzucił Claire porozumiewawczym intymnym spojrzeniem.

Znowu tak na nią spojrzął, gdy włączył ogrzewanie w samochodzie.

- Dobra – zawołał i chuchnął w ręce. – Co teraz? Za wcześnie do łóżka, więc co chcesz zrobić?

Claire zastanawiała się, co miał na myśli mówiąc „do łóżka”. Czyżby przypuszczał, że... Jeśli tak, pomyślała, to się nie pomylił. Jej ciało mówiło „tak”. Bez żadnych wątpliwości. Lecz rozum wciąż miał się na baczności, pomny ryzyka, jakie się z tym wiąże. Wołał więc „nie”. Nie teraz. Kelley był zbyt doświadczony, a to wszystko zbyt łatwe. Nie chciała stać się kolejnym nacięciem na kolbie jego strzelby. Trochę wina, trochę muzyki, trochę wyobraźni i od razu „odwiozę cię do domu”.

Kelley przyglądał jej się z rozbawieniem.

– Hej – powiedział cicho. – Nie pytałem o stolicę stanu Nowy Meksyk, szanowna pani. Pytałem tylko, co teraz? Jesteś zmęczona? Chcesz powiedzieć mi dobranoc?

Pojechali do „Café Calyle” i słuchali Bobby'ego Shorta, który śpiewał stare piosenki Cole'a Portera. Kelley podniósł wzrok, gdy usłyszał słowa: „Latasz zbyt wysoko z tym facetem z obłoków”. A gdy piosenkarz doszedł do wersu: „Czy tak ma być, że nie mogę zrobić nic”, wzruszył ramionami. Claire pomyślała, że w tym momencie, w tej kawiarni, mógłby ją mieć za to jedno wzruszenie ramion.

Gdy odwoził ją do Village, zaczął padać śnieg. Malutkie, drobne płatki, jak cukier puder rozpylany z nieba.

Dojechali do budynku, w którym mieszkała. Kelley odprowadził ją do drzwi, zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. Wreszcie położył rękę na jej ramieniu.

– Cóż... Gdybym był nieobecny w przyszłym tygodniu, a miałabyś jakieś pytania, zadzwoń do Frannie. Śpij dobrze – dodał, zanim odszedł.

To wszystko.

Claire została sama. Stała w korytarzu i myślała, jaka z niej idiotka. Planowała, jak to ona nie pójdzie z nim do łóżka, podczas gdy on nie był tym w ogóle zainteresowany. Nawet odrobinię.

Nagle zaczęła śmiać się w głos. Ironia tej sytuacji polegała na tym, że Claire już połowicznie zakochała się Kelleyu. W trzech czwartych, poprawiła się i odwiesiła płaszcz. No, niech tam. W siedmiu ósmych, zdecydowała w drodze do kuchni.

Był to najważniejszy powód, dla którego była zadowolona, że uniknęła zbyt łatwej przygody. Zupełnie jak w tym dowcipie: „Kelner! Ma pan kwaśne winogrona? Nie. To dobrze, bo i tak bym ich nie zamówił”.

Spójrz na to z tej strony, pomyślała. Jesteś pewna, że tego nie potrzebujesz, gdyż znaczyłoby to wiele dla ciebie, a zupełnie nic dla niego. A nad ranem musiałybyś otrześć się i udawać, że nic się nie zdarzyło. A nawet jeśli się zdarzyło, to było to coś zwykłego, codziennego, bez znaczenia. Potem musiałybyś przechodzić całą gamę chińskich tortur: czekania na dzwonek telefonu, który milczy, niemożności skoncentrowania się na pracy i logicznego myślenia. Utraciłabyś kontrolę nad własnym rozumem i mogłabyś dać ogłoszenie do gazety: stracono rozsądek, który ostatnio widziano w pobliżu Burke'a Kelleya.

Dzwonek odezwał się niespodziewanie i dziwnie głośno. Claire pobiegła do drzwi i, bez żadnych środków ostrożności,

otworzyła je szeroko. W progu stał Kelley, obsypany trochę drobnymi śnieżnymi płatkami.

– Gdyby to był film Hitchcocka, w drzwiach stałby jakiś maniakalny zabójca, a nie ty – powiedziała.

– Ja też jestem maniakiem – odparł. – Rzeczą polega na tym, że nigdy jeszcze nie rozmawiałem z nikim tak, jak dzisiaj z tobą. I nigdy tak się nie czułem. W niczyjej obecności. Gdy miałem siedemnaście lat, nie czułem, że mam siedemnaście lat. A teraz tak. Nie wiem nawet, czy nie jesteś zakochana w Tomie Cubbitcie. Ale... jutro lecę do Dallas i... – Urwał. – Chyba zachowuję się, jakbym miał dopiero szesnaście lat, co?

– Długo jeszcze będziesz sterczał w tych drzwiach?

– Nie, chyba nie.

Wszedł do pokoju. Claire zamknęła drzwi. Kelley odwrócił się, a ona wtuliła się w jego ramiona, jakby znali się od lat i witali na lotnisku po długiej rozłące.

Kochali się na wielkim mosiężnym łożu i czerpali radość płynącą z cudownej potrzeby zbliżenia. Bez dociekań, bez zbędnych pytań. Kelley zapomniał już, że może być tak pięknie. Albo nawet nie wiedział, że tak może być. Nieważne. Patrzył w zielone oczy Claire, widział jej uśmiech i poznawał ją całą. Więcej. Rozpoznawał ją, jakby od zawsze nosił przy sobie jej portret, a teraz właśnie zjawiała się przy nim.

– Jestem w domu – powiedział, gdy wszedł w nią.

– Tęskniliśmy za tobą – odparła.

A potem odlecieli gdzieś oboje. Claire była jak czarodziejski dywan, który zawiózł go do domu. Podróż mieniła się

kolorami tęczy i srebrzyła światłem księżyca. Kelley zagubił się gdzieś po drodze. Gdyby go zapytać, nie umiałby podać swego nazwiska ani adresu. Nie wiedział nawet, w jakim układzie słonecznym się znajduje.

A potem leżeli obok siebie, całowali się i uśmiechali. Oczami, ustami, dłońmi...

Claire spojrzała czule na Kelleya.

– Wiesz, co powiedziałeś?

– Nie – odparł. – Pewnie coś w rodzaju „aaaach”.

– Nie – zachichotała. – Przedtem. Powiedziałeś: „Jestem w domu”.

– Naprawdę? – Pocałował ją. – Bardzo wymowne. Chodź tutaj.

– Nie mogę bliżej, choćbym nawet chciała.

Była wtulona w niego tak mocno, że wyglądali jak dwa kawałki pasującej do siebie układanki.

– Jedź ze mną – powiedział. Claire zerknęła na niego i roześmiała się. – Do Dallas – uściślił.

– Mam tu coś do zrobienia.

– Podczas weekendu?

– Uhm. Chyba że nie chcesz mieć swoich reklam radiowych na antenie. Rzuciłeś na nie okiem?

– Nie. Podobają ci się?

– Aha.

– To wszystko w porządku. Mnie też.

Claire roześmiała się.

– Oplaca się sypiać z szefem.

– Nie mów tak – rzucił ostro. – Nie o to chodzi. – Spojrzał na nią. – A może jednak?

– Czas pokaże – odparła i spojrzała mu w oczy.

Chciał jej powiedzieć, że nie można patrzeć na to pod takim kątem. Ale może miała rację? Czas, w jego nieskończonej mądrości, odpowie.

– Ale zanim...

– Co?

– Chodź tutaj.

Przyglądała mu się, gdy leżał na plecach, z zamkniętymi oczami. Odpływał, ale nie oddalał się od niej. Jeszcze nie. Jego dłonie wciąż obejmowały jej ciało, palce zataczały małe kółka na jej biodrze.

„Chcesz porozmawiać o tym darze niebios – powiedziała do siebie w myślach. – To, co ofiarowali ci bogowie, jest prezentem bez przyszłości. Możesz go przyjąć, ale musisz zdawać sobie sprawę z jego rzeczywistej wartości. Jeśli będziesz tego świadoma, to nic cię nie zrani. Jeśli tylko twój bagaż będzie zawsze czekał spakowany w holu i nigdy nie zdejmiesz butów, nawet w łóżku”.

Nie była pewna, czy mogłaby tak żyć. Ale postanowiła spróbować.

Kelley przyglądał się śpiącej Claire. Wydawało mu się, że oddalała się od niego, gdy zasypiała. Nie fizycznie, lecz tak, jakby chowała się w sobie. I chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Ale teraz, gdy już spała, znów należała do niego. Obejmowała go ramieniem i wydawała się zadowolona. Patrzył na nią i usiłował powiedzieć w myślach „kocham cię”. Zastanawiał się, czy to będzie trudne. Ale nie, wcale nie było takie trudne.

ROZDZIAŁ 13

Obudził się sam w pokoju wypełnionym słonecznym blaskiem, aromatem kawy i smażonego boczku. Miał świetne samopoczucie. Po raz pierwszy od tygodni spał bez dręczących snów i zbudził się rześki i świadomy, gdzie się znalazł i dlaczego.

Zamknął drzwi przytulnej żółtej łazienki. Na wieszaku zauważył męski szlafrok. Odwrócił się do niego plecami i ulżył naturalnej potrzebie. Zdecydował, że ten szlafrok mógłby go obchodzić, albo nie. Postanowił, że nie będzie go obchodził, lecz nic nie mógł poradzić na to, że i tak go obchodzi. Poklepał się po twarzy, wyplukał usta i poszedł do kuchni w spodniach i koszuli.

Claire odwróciła się od kuchenki. Miała na sobie frotowy szlafrok. Pokiwała głową na widok Kelleya.

- Nie przypuszczałam, że mamy się ubrać do śniadania. Kelley chciał podejść i objąć ją, lecz nie zrobił tego.

– Myślałem, że to uroczysta okazja. Nasze pierwsze śniadanie.

– Uhm – mruknęła Claire i powróciła do smażenia boczku. – Sądziłam, że przyniosę ci je do łóżka.

– No to wracam tam i zaczniemy wszystko od początku – rzucił impulsywnie.

– Chciałbyś?

Nie odpowiedział. Skinął jedynie głową, przeszedł przez kuchnię i wziął Claire w ramiona. Przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Czuł, jak jej wargi miękły w oczekiwaniu pieszczoty.

– Gdzie byłeś? – spytała cicho.

– W łazience. Wiem, że nie mam prawa być zazdrosny, ale byłem cholernie zazdrosny, gdy tak stałem i siusiałem. Szlafrok Toma – wyjaśnił.

– To naprawdę nieważne – powiedziała.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Nie wiem. Ten gość ma monogram na szlafroku.

– No i co z tego?

– Gość w szlafroku z monogramem ma dużą przewagę. – Wzruszył ramionami. – Budzi się w nocy, obłany zimnym potem ze strachu przed utratą tożsamości, patrzy na szlafrok i już wie. Woła: „Och! Jest Cubbitt!” I uspokojony zasypia.

– O rany! Ty naprawdę jesteś stuknięty!

– I zazdrosny. I wcale tego nie ukrywam.

– No to może teraz porozmawiamy o szlafroku Karen?

– Proszę bardzo. Są na nim zupełnie inne inicjały. Gdy Karen się budzi, to myśli, że jest Christianem Diorem.

Claire roześmiała się głośno, a Kelley zawtórował jej.

– To nie ma z nami nic wspólnego – powiedział.

– Ale nie jest nieważne. Tak to określiłaś? „Nieważne”?

A nie jest takie – dodał z mocą. Claire nie odpowiedziała. – Rozumiem. A więc, dobrze. Milcz sobie dalej.

– No i co ty rozumiesz?

– Chcesz być poważna i nie jesteś – stwierdził.

– No, teraz jesteś. I zrelaksowana. Tak jak ja. Nie wiem, dokąd nas to zaprowadzi, ale tak już jest. – Zerknął na poranną gazetę, która leżała na krześle.

Na dole pierwszej strony zobaczył nagłówek: WYNIKI RAPORTU FINANSOWEGO NASUWAJĄ WĄTPLIWOŚCI CO DO SZANS PRZETRWANIA LINII LOTNICZYCH BLUE SKY.

Kelley wziął gazetę i poszedł do salonu. Usiadł na kanapie i zaczął czytać: *Wyniki rocznego raportu finansowego dobitnie świadczą o tym, że Linie Lotnicze Blue Sky żyją na kredyt, zarówno jeśli chodzi o pieniądze, jak i o czas.*

Eksperti finansowi nie widzą drogi ratunku dla słynnego ze niskowych taryf przewoźnika, którego oszołamiające straty i zatrważające długi poddają w wątpliwość jakiegokolwiek szanse przetrwania na dłuższą metę.

„Może im jedynie pomóc szybki zastrzyk pieniężny z zewnątrz – powiedział broker z Wall Street. – Tylko że nikt zdrowy na umyśle nie zainwestuje w nie jakichkolwiek pieniędzy”.

Kelleya aż coś skręciło. Cóż, stary, spodziewałeś się czegoś takiego, prawda?, pomyślał. No tak, ale to brzmi jak spekulacje na temat odstrzelenia kogoś. Z przodu celują z

pistoletu, ale z tyłu stoi zbir z młotkiem. A jednak w dziewięciu przypadkach na dziesięć człowiek umiera ze zdziwienia.

Hollis pewnie też przeczyta tę gazetę dziś rano. On i parę milionów innych ludzi. Poniedziałkowa giełda rozpocznie się od sensacyjnego spadku cen. A Baron wykończy Kelleya finansowo w ciągu dwóch tygodni.

Claire weszła do pokoju z filiżanką w ręce.

– Przykro mi – powiedziała i wręczyła mu kawę.

– Witaj na pokładzie „Titanica”. – Kelley wzruszył ramionami.

Claire usiadła przy nim.

– Co mogę zrobić? – spytała.

– Nie wiem. Chcesz być ze mną do tragicznego końca?

– Jeśli do tego dojdzie.

– Nie. Nie chciałbym tego.

– Czego więc chciałbyś?

– Chciałbym cię spotkać dwadzieścia lat temu, Claire.

– Miałam wtedy dziewięć lat.

– Przystań się przechwalać – zażartował. Claire uśmiechnęła się. – I przestań się śmiać.

– I co teraz? – spytała z poważną miną.

– Teraz powiem ci dokładnie, na czym stoję, dobrze?

– Na dywanie w moim salonie – odparła. – A raczej siedzisz na mojej kanapie. Więcej nie muszę wiedzieć.

– Bzdura. Nie czas na zwałającą z nóg logikę. Chcę z tobą porozmawiać, więc słuchaj. Jeśli nic się nie zmieni, to splajtuję w ciągu dwóch tygodni. I chcę, żebyś to wiedziała.

- Wiem.
- Więc uświadom sobie, że nie poderwałaś zwycięzcy. Claire potrząsnęła głową.
- Informacja nie została przyjęta – oznajmiła.
- Słuchaj, nie rób ze mnie balona.
- Więc nie gadaj mi o zwycięzcach i przegranych. Nie obchodzi mnie to. Co poniektórzy znani na świecie zwycięzcy to zwykłe szczury. Moim zdaniem będziesz walczył twardo, bo walczysz o coś, co ma znaczenie. I tylko to się liczy.
- I to, jak rozegram tę sprawę.
- No dobrze. Powiedz.
- Nie wiem, czy ci się to spodoba. – Patrzył jej prosto w oczy. – Ja nie jestem miłym facetem, Claire. I może nie zasługuję na taką miłą dziewczynę. Może będziesz zła, gdy poznasz mnie lepiej.
- Gdybym miała dwadzieścia lat, powiedziałabym ci, że się mylisz. Ale mam prawie trzydzieści, więc mogę ci najwyżej powiedzieć, że mam nadzieję, że się mylisz.

W *Daily News* też pojawił się artykuł o firmie Kelleya, pod nagłówkiem: BLUE SKY CZERWIENIEJE.

Gdy Kelley wszedł do holu swojego domu, ujrzał portiera zajętego czytaniem.

– Dzień dobry panu – mruknął portier i chłodno skinął głową.

Kelley wszedł do mieszkania, zrzucił buty i ruszył do swojego pokoju. Kontrolka automatycznej sekretarki mrugała systematycznie. Kelley przewinął taśmę.

Pani Kelley? Tu Marianna z Halston Boutique. Mamy tą muślinową suknię, którą pani chciała. No, to... eee... czekamy na panią. Dowidzenia...

... Hej, człowieku nieźle dziś wypadłeś na wizji. Podobało mi się, jak im powiedziałeś, że za bardzo się tym zajmują. Prosto w oczy, nie? Ty i ja dobrze wiemy, kto się czym zajmuje. A Zeedee dziś rano powiedział: „Chooky, gra się jeszcze nie skończyła”. To chyba teraz zadzwonisz do mnie, co? Kręć siedem, zero, zero, dwa, trzy, dwa, pięć.

Kelley wyłączył nagranie. Przez chwilę zastanawiał się nad telefonem do Zeedee'ego. Powiedziałyby mu: „Zabierz ode mnie tę cholerną małpę”. Ale pomyślał, że Zeedee na pewno ma własne poważne kłopoty. Zatelefonował więc do biura i zarezerwował miejsce na nocny lot do Dallas, a także apartament w hotelu „Mansion”.

Poszedł do kuchni, gdzie zastał nieład z wczorajszego dnia. Filizanki po kawie stały w zlewie, a na krześle leżała wczorajsza gazeta. Umył ekspres do kawy, wyrzucił zaschnięte fusy i zaparzył świeży napój. Wylał do zlewu stare, skwaśniałe mleko.

Wrócił do pokoju, podniósł pudełko z trawką i schował je w szufladzie.

A potem zatelefonował na farmę, do Margaret Stryker.

– Jak leci? Zbudził się? – zapytał.

– Jeśli się zbudził, to na pewno zechce z tobą porozmawiać – odparła Margaret. – Zaczekaj, sprawdzę.

Kelley bębnił palcami po biurku i powoli sączył kawę.

– No nie! Wyjeżdżam dosłownie na chwilę i patrzcie, co się od razu dzieje. – Głos Strykera brzmiał jednocześnie piskliwie i grubo.

– A co? Coś się stało?

– Hm, niby niewiele. A co u ciebie?

– Nic specjalnego – powiedział Kelley. – Ale, tak. Spotkałem dziewczynę, Charlie. Albo inaczej. Spotkałem prawdziwą dziewczynę. Chcę, żebyś ją poznał.

– No... nie wiem – odezwał się Charlie po dłuższej przerwie.

– Pomyśl o tym, dobrze? Wpadnę w następny weekend. Teraz lecę do Dallas, aby złożyć wizytę naszemu wspólnemu przyjacielowi. Jak myślisz, mam jakieś szanse?

– Nie wiem – powtórzył Stryker. – On myśli, że jest faraonem Tutenhamonem. Chce być pochowany ze wszystkim, co ma. Sądzę, że zarezerwował już sobie miejsce na jachcie, który żegluguje po Styksie.

– I kupił posiadłość w niebiesiech?

– Coś w tym rodzaju. Zorientuj się, czy mógłbym spotkać się z jego agentem od nieruchomości.

Kelley pociągnął łyk kawy.

– A jak tam Margaret? – zapytał.

– Trzyma się.

– A dzieciaki?

– Rosną. Szybko. Obawiam się, że za szybko.

– Chciałbym cię o coś zapytać, Charlie. I proszę, nie zbywaj mnie byle czym. Znasz mnie i wiesz, że walczę nawet wtedy, gdy nie mam już prawie szans na zwycięstwo. Ale nie ma żadnego powodu, dla którego ty miałbyś to robić wraz ze

mną. Mógłbym sprzedać twoje udziały w ciągu pierwszych kilku sekund poniedziałkowej giełdy. Wyszedłbyś z...

– Nie.

– To zajmie trochę czasu. Chodzi o to, że twoje dzieci idą na studia. Chodzi też o to, że...

– Nie ma o czym gadać – warknął Charlie.

Kelley odłożył słuchawkę niezadowolony z wyniku rozmowy. Wolałby, aby Charlie nie brał udziału w rozgrywce. Było to nieco samolubne podejście do sprawy; nie chciał ponosić odpowiedzialności za życie innych ludzi. Chciał latać, a jeśli nawet lot zakończy się kraksą, nie będzie kłopotu, jeśli na pokładzie nie znajdzie się nikt poza nim samym, o kogo musiałby się martwić. I wtedy pomyślał o Claire.

Los naprawdę był zbyt złośliwy, aby móc wyrazić to słowami.

Była już prawie za drzwiami, gdy odezwał się dzwonek telefonu. Automatyczna sekretarka zaczęła swą formułkę: „Tutaj mieszkanie Claire McCarren. Nie ma mnie w domu...”

Claire podniosła słuchawkę.

– To nieprawda– powiedziała. – Jestem. Słucham.

– Pani McCarren? – Mężczyzna w dziwny, afektowany sposób wymówił słowo „pani”, co rozbawiło Claire.

– Tak – odparła mimowolnie.

– Mówi Ashe Warner. Zajmuję się reklamą Blue Sky.

– Tak, wiem.

– Zdaje się, że mam tu wiadomość od Burke'a Kelleya. Zostawił ją chyba wczoraj. Wcześniej wyszedłem z biura, więc nie wiem. Ale mam wrażenie, że on chciałby, abym spotkał się z panią w tym tygodniu. Może jutro? Powiedzmy, o pierwszej piętnaście.

– Dobrze – powiedziała Claire. – Czy chce pan przyjść do mojego biura?

– Nie – odrzekł Warner niezdecydowanie. – I chyba żadne z nas nie ma ochoty na wycieczkę do Newark. – Słowo „Newark” wymówił w ten sam sposób, jak poprzednio słowo „pani”. Jakby zarówno miasto, jak i płeć jego rozmówcy, były drugiej kategorii. – Może więc umówimy się w moim biurze – zdecydował i podał adres. – Mam tu pani projekty reklam przysłane z Newark. Przejrzę je dziś rano i zobaczymy, co pani potrafi.

Potrafię znienawidzić cię już w tej chwili, pomyślała Claire.

– Świetnie – odparła uprzejmie i odłożyła słuchawkę.

Hotel „Mansion” w Dallas przypominał raczej sporą willę niż mały hotel. Wyglądał jak domy, w których Kelley zatrzymywał się w Monte Carlo. Terakota, biała cegła i zieleni drzew.

Kelley przyjechał po południu. Czuł lekki niepokój. Zadzwoił do Pułkownika, lecz lokaj oznajmił, że Pułkownik odpoczywa i nie wolno go niepokoić. Zostawił jednakże dyspozycje, że Kelley powinien zjawić się w sobotę około południa. Lokaj chciał wiedzieć, czy ten termin Kelleyowi odpowiada.

– Musi – odparł Kelley i rozłączył się.

Wykręcił teraz dobrze znany numer. Odczekał sześć dzwonek i doszedł do wniosku, że Mirandy Clawson nie ma w domu. Niedobrze. Bardzo niedobrze. O towarzystwie innych kobiet nie myślał. Z żadną nie czułby się dobrze w ten weekend po tym, co zaszło między nim a Claire. Mógłby zadzwonić do paru osób. Zaprosiliby go pewnie na przyjęcie na ranczo; mężczyźni w butach z krokodylowej skóry, kobiety w brylantach. Lub odwrotnie – wszystko na luzie, goście w dżinsach, domowa kuchnia i fascynujące pogwarki na temat przyszości soi i przemijającej sławy wieprzowiny.

Kelley wynajął samochód i pojechał do miasta Texas, współczesnej parodii starego miasta z Dzikiego Zachodu, pełnego tradycyjnych saloonów, ze stolikami do gry w pokera na ulicy. Jak w starym amerykańskim filmie: odwieczny konflikt między dobrem a złem, w którym główną rolę gra niezawodna broń i cnotliwa kobieta.

Jadł zeberka, pił piwo i obserwował kurz pokrywający z wolna historię i tradycję.

Tej nocy śnił, że idzie ulicą, w ostrach dyndają mu pistolety, a u jego boku idzie Claire. Nagle na szczycie dachu pojawia się Chambers, a tuż za nim Rosetti, który mówi: „Stary, to jedenaście milionów dolców. Nie mogę przepuścić takiej okazji”.

ROZDZIAŁ 14

Kelley jechał przez Dallas i rozmyślał. Doszedł do wniosku, że wystarczy rzucić okiem na to miasto, aby przekonać się, iż jest ono na etapie ciągłego rozwoju i rozbudowy. Wymiernymi wartościami Dallas były władza, tempo, koszty i rozmiar. Przedmieścia różniły się od centrum jedynie większą banalnością i ekscentrycznością budynków. Świeżo upieczeni bogacze pokazywali architektom kolorowe fotografie zamków nad Loarą czy tureckich pałaców i żądali tego samego, spełniając odwieczne amerykańskie marzenie zdobycia pozycji barona, hrabiego czy feudała.

Rezydencja Pułkownika otoczona była parkanem z zamkniętą kutą bramą. Należało wychylić się z okna samochodu i zgłosić uprzejmie swoją obecność małemu czarnemu pudełku. Jeśli przybysz był mile widziany, pudełko brzęczało i brama stawała otworem. Nowoczesna, amerykańska wersja strażnika z halabardą. „Stój! Kto idzie? Droga wolna”.

Kelley przejechał bramę i posuwał się malowniczą ścieżką, prowadzącą w stronę domu. Wokół rosły drzewa oliwkowe,

importowane z Włoch. Minął ich bardzo wiele, zanim dotarł do owalnego podjazdu przed utrzymanym w ranczerskim stylu budynkiem. Ściany, jak kiedyś wyznał Hollis, zrobiono z prawdziwej meksykańskiej lawy, a czerwone dachówki były ręcznie formowane i wypalane.

Kamerdyner, dystyngowany Meksykanin około sześćdziesiątki, poprowadził Kelleya do wyłożonego terakotą holu, kazał czekać i zniknął w dużym pokoju na lewo. Był to, o czym Kelley już wiedział, gabinet. Kamerdyner wrócił dość szybko.

– Pani – oznajmił, akcentując ostatnią sylabę – jest już powiadomiona o pańskiej wizycie.

– Przyszedłem zobaczyć się z Pułkownikiem.

– Najpierw pani chciałaby z panem porozmawiać.

– Niezupełnie – odezwała się Genevieve, stojąca w drzwiach. – Możesz odejść. – Machnęła ręką na kamerdynera. A może na Kelleya? Nie był tego pewien, zwłaszcza gdy usłyszał następne zdanie. – Nie jestem zadowolona z twojego przyjścia tutaj. Wpadłeś w dołek i teraz prosisz starego chorego człowieka, aby cię wyciągnął. Nie mam dla ciebie szacunku.

Stała w drzwiach ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i białą gardenią w ciężkich czarnych włosach. Jej twarz o orientalnych rysach była odrobinę zbyt błyszcząca, odrobinę zbyt napięta. Wyglądała jak chińskie lukrowane ciasteczko.

– No cóż – powiedział Kelley. – Mimo wszystko ja żywię dla ciebie wielki szacunek, Genevieve. – Miał wrażenie, że kobieta broni wejścia do gabinetu. – Gdy Sam wyzionie

ducha, na pewno rzucisz się z płaczem na grób. Teraz też zachowujesz się wspaniale. Czy on tam jest?

– Nie. – Genevieve zmrużyła oczy. – Jest w ogrodzie. Pójdę tam z tobą.

– Jesteś bardzo czujna – odparł Kelley.

Genevieve ruszyła przodem, smukła i pełna gracji w niebieskiej jedwabnej sukience.

Ogród był rozmiarów boiska do piłki nożnej. To znaczy boczny ogród. Tylny ogród, przeznaczony do urządzania ognisk, był wystarczająco duży, aby upiec na ruszcie dinozaura.

Hollis wydawał się mały i skurczony w swoim fotelu. Upalny dzień miał się ku końcowi, a Hollis siedział przykryty grubym czerwonym kocem. Owinął się flanelowym szlafrokiem i wystawiał ku słońcu pokrytą wątrobowymi plamami twarz. Wysoki Murzyn, senny i znudzony, opierał się leniwie o drzewo.

Gdy Pułkownik ujrzał Kelleya, usiłował się wyprostować. Mrugnął zażawionymi, niedowidzącymi oczami, starając się przybrać swą zwykłą, ptasio-czujną postawę.

– Te dranie nie pozwalają mi łyknąć burbona – poskarżył się. – Ale ty się napijesz, a potem siądziemy sobie razem i coś wymyślimy. – Uśmiechnął się szeroko, a może tylko wydawało mu się, że tak zrobił. Przypominało to raczej śmiertelny skurcz. – Posłuchaj no, Haroldzie – zwrócił się do czarnoskórego. – Przyniesiesz teraz drinka temu panu. I to bez twojego zwykłego murzyńskiego guzdrania się.

Harold był wciąż spokojny. Może i miał ochotę skręcić staremu kark za te słowa, lecz zachowywał się nadal delikatnie, z

pełnym godności szacunkiem. Najwidoczniej spędził wiele czasu pod tym drzewem i przejął większość jego zwyczajów.

– Idź już. Ty też. – Pułkownik zwrócił się do Genevieve.
– Zmykaj. To męska rozmowa. Chcemy pogadać w cztery oczy.

Kelley usiadł na kutym ogrodowym krześle. Genevieve nie wydawała się zadowolona.

– No, ruszaj – warknął Hollis.

– Macie pół godziny – powiedziała. – Potem wrócę. I nie chcę, abyś się przemęczał.

– To tak, jakby kazać wodzie, aby nie była mokra. – Hollis zaśmiał się słabo. – Męczy mnie zwłaszcza to wyganianie cię. No, już. Zmykaj. Sio. – Pomachał dłonią.

Genevieve spojrzała na Kelleya. Jej oczy przypominały sztylety. Wreszcie odwróciła się z godnością. Hollis przyglądał się jej, gdy odchodziła.

– Przekłeta kobieta. Nigdy nie wie, gdzie jej miejsce. Nie pozwala mi zjeść schabowego. Winogrona. Daje mi ciągle winogrona. Powinienem był kazać Haroldowi, aby przyniósł ci cygaro. – Hollis wbił w Kelleya gasnący wzrok umierającego ptaka. – Powiesz mu, co? Powiesz mu, że zapaliłbyś dobrą, mocną „panatelę”.

Kelley zdjął marynarkę i rzucił ją na trawę.

– No, nie wiem, Sam. Nie mam nic przeciwko twojej śmierci. Mówiąc szczerze, często o niej śniłem, lecz nie za pomocą cygara.

– Raczej pistoletu?

– Tak jakby.

Hollis roześmiał się skrzekliwie, najwidoczniej ubawiony.

– Ale dam ci pociągnąć mojego papierosa – powiedział Kelley.

– Poczekaj, aż Jenny wejdzie do domu. – Pułkownik zerknął na ścieżkę. – Jeszcze dwadzieścia kroków. Możesz już zapalić. – Kelley posłusznie wykonał polecenie. – A jak tam George McDermott? Wciąż robi to, co do niego należy? – spytał Pułkownik.

– Nie wiem. – Kelley zaciągnął się papierosem. – W zeszłym tygodniu mało nie zepchnął mnie w przepaść. Czy na tym właśnie polega jego zadanie?

Hollis uniósł brwi z takim wysiłkiem, jakby ważyły parę kilogramów.

– Zadaniem George'a jest ochrona moich inwestycji. O ile dobrze pamiętam, jestem właścicielem poważnej części twoich akcji. Pozwoliłem ci pożyczyć tę forszę... – Spojrzał w stronę domu. – Poszła sobie. Teraz możesz dać mi pociągnąć. – Kelley podał mu papierosa. – Tylko nie pamiętam kiedy – dodał Pułkownik.

– Co kiedy?

– Kiedy pożyczyłeś forszę.

– W siedemdziesiątym ósmym, Sam. Wtedy też miałem kłopoty i prosiłem o pomoc. Wpadłem w głęboki dół i wydawało mi się, że jeżeli urosnę, to będę mógł wygramolić się z niego. Nie miałem racji?

– A ja dałem ci McDermotta, aby upewnić się, że dasz radę – przypomniał sobie Hollis.

– Gówny prawda, Sam. Nie dałeś mi McDermotta. Napuściłeś go na mnie. Nie mogłeś po prostu wytrzymać, żeby nie zrobić jakiegoś interesu bez stawiania warunków. A im bardziej

idiotyczne warunki, tym bardziej cię to bawiło. Chciałeś się przekonać, ile gówna człowiek jest w stanie zjeść. Sprawiało ci to przyjemność. W porządku, miałeś swoją porcję radochy. I za trzydzieści milionów dolarów dostałeś pakiet specjalnych akcji. Teraz są warte pięćdziesiąt milionów. Więc wcale mi ciebie nie żal, Sam. I oddaj mi, do cholery, mojego papierosa.

Nadszedł Harold z małą srebrną tacą. Przyniósł butelkę burbona i jedną szklankę. Ani wody, ani lodu. Postawił tacę na stoliku przed Kelleyem.

– Będę tam – wskazał drzewo. – Pani powiedziała, że mogę złamać panu rękę, jeśli spróbuje pan dać mu drinka.

– Masz zamiar naprawdę to zrobić, Haroldzie? – spytał Kelley.

– Do diabła, nie. Mówię tylko, co mi kazano.

– On chce cygaro – powiedział Kelley.

– Nie wiem – odparł Harold. – Proszę się uspokoić. Trzeba troszkę poczekać.

– Słyszałeś, Sam? Uspokój się. Harold boi się, że Jenny złamie mu rękę.

– To najszczęsza prawda – zapewnił Harold i wrócił na swoje miejsce pod drzewem.

Kelley nalał alkoholu do szklanki i odstawił butelkę na stół, poza zasięgiem Hollisa.

– Za nadzwyczajne szczęście – rzekł i uniósł szklaneczkę. Wypił zawartość jednym łykiem, napełnił ponownie i trzymał w dłoni.

Hollis wpatrywał się w szklankę jak zahipnotyzowany.

– No, to czego chcesz ode mnie? – spytał. – George mówił mi, że masz ze dwadzieścia głupich pomysłów naraz.

Chcesz mojej rady? Sprzedaj wszystko. Niech ten, jak mu tam, Quaid, wykupi cię. Zostaniesz czysty. Możesz zacząć organizować następne cholerne linie lotnicze, jeśli chcesz.

– Chcę mieć te – powiedział Kelley.

– Uparciuch. Mogłem się tego spodziewać. Po coś tu naprawdę przyszedł?

– Po następne pięćdziesiąt milionów.

Stary się roześmiał. Przypominało to gwizd wiatru, buszującego w wyschniętych liściach.

– Zawsze można liczyć na twoje poczucie humoru – powiedział.

– Dla kogo to trzymasz, Sam? Nawet jeśli stracisz te pieniądze, to czy zrobi ci to jakąś różnicę?

– Hm... Muszę dbać o moje dziewczyny.

– A ja o pięć i pół tysiąca pracowników. Część społeczeństwa też mnie potrzebuje.

– Społeczeństwo – parsknął Hollis. – Bzdura. Nie strasz mnie społeczeństwem. Skłaniam się raczej do poglądów tego faceta, Vanderbilta. Powiedział: „Społeczeństwo niech będzie przeklęte”. Natrętnie i głupsze od krowy. Weź, na przykład, psa. Karmisz go, opiekujesz się, trochę popieścisz i masz przyjaciela na zawsze. A weź taką krowę, karmisz ją przez dwadzieścia trzy lata, a nawet cię nie rozpoznaje i nie machnie ogonem, aby odgonić muchę, która usiadła ci na nosie. Więc jeśli chcesz opowiedzieć mi, co robisz dla społeczeństwa, powiedz mi najpierw, co społeczeństwo robi dla ciebie. Gdzie było, gdy go potrzebowałeś? Pomagało ci?

Kelley nie odezwał się słowem. Hollis odchrząknął i zamilkł, jakby zabrakło mu powietrza.

Kelley podał mu szklankę i przyglądał mu się z przekrzywioną na bok głową. Pułkownik pociągnął łyk i przymknął oczy, rozkoszując się smakiem trunku.

– Dobrze – odezwał się nagle. – Jestem zbyt zmęczony, aby się kłócić. Zawołaj Harolda, niech mnie zabierze do domu.

Kelley poczuł zimny kamień w żołądku.

– Jesteś głupszy od krowy, Sam – powiedział cicho i pokiwiał głową.

– Masz cholerną rację. Mam zamiar dać ci tę forszę. To diabelna głupota, co? Ale chcę rozegrać z tobą jeszcze jedną partyjkę, chłopcze. Ot tak dla zabawy. – Pociągnął następny łyk. Kelley czekał na dalszy ciąg. Pułkownik oddał mu szklankę i oblizał usta z uśmiechem. – Pod warunkiem, że jeśli przegrasz, to nigdy już nie weźmiesz się za linie lotnicze. Podpiszesz zobowiązanie. Mam prawników, którzy już wymyśla, jak cię powstrzymać. No i co? Nadal jesteś taki cholernie pewny siebie?

– Jasne – skłamał Kelley.

– Dostaniesz te papiery w przyszłym tygodniu. A teraz sprowadź tu Harolda. Chcę wrócić do domu.

Genevieve stała w drzwiach gabinetu. Była uśmiechnięta i wyglądała na zadowoloną. Zły znak, pomyślał Kelley.

– Wejdiesz na jeszcze jednego drinka? – spytała.

Kelley skinął głową bez słowa. Żadna mucha nie była tak słodko wabiona przez pająka. Ostrożny i napięty wszedł za kobietą do pokoju.

Na ścianie gabinetu wisiało duże płótno Van Gogha w ciężkiej złoczonej ramie. Obraz przedstawiał pracujących w polu wieśniaków. Zamarli w bezruchu, skazani na powieszenie na wykładanej adamaszkiem ścianie. Pokój wypełniały francuskie antyki. Na podłodze leżał jasnozielony dywan, pasujący do kanapy w tym samym kolorze. Dwie ściany zajmowały książki, być może dobierane pod względem zielonych skórzanych okładek. Ogromne francuskie okna, wychodzące na ogród, przysłonięto zielonymi satynowymi zasłonami.

– A więc? – rzuciła Genevieve. – Załatwiłeś sprawę?

Stała przy stoliku z trunkami i chyba zamierzała napełnić szklaneczkę.

– Nie mam ochoty na burbona – powiedział Kelley i zapalił papierosa.

– Nie znoszę, gdy ktoś pali w moim domu – stwierdziła Genevieve ostrym tonem.

– W porządku. Wróćmy zatem do ogrodu, dobrze?

– Nie. Niech już będzie tutaj. – Usiadła za biurkiem najwyraźniej zadowolona z siebie. Pociągnęła spory łyk burbona. – Czy mój mąż obiecał ci jakieś pieniądze? Odpowiedz. Tak czy nie?

Kelley spojrzął na nią spod wysoko uniesionych brwi.

– Cokolwiek Sam zrobił lub nie, Jenny, to sprawa między nim a mną.

– Nie mów do mnie Jenny. Mam na imię Genevieve.

– Tak jest – rzucił Kelley i skinął głową.

Kobieta zignorowała jego gest.

– Masz rację – powiedziała. – Pomiędzy nim a tobą. Dokładnie i... wyłącznie. Bo ta sprawa nie posunie się ani kroku dalej. – Kelley czekał w milczeniu. – Powiem to wyraźnie i jasno, panie Kelley. Gdy Sam dostał wylewu, przepisał wszystko na mnie. Może sobie gadać o pieniądzach, jak długo zechce, ale to wszystko. Czy wyrażam się jasno? To tak jak z pogodą. Można o niej mówić, lecz nic nie można na nią poradzić. Czy moje wyjaśnienie rozwiewa wszelkie wątpliwości, jakie jeszcze mogą powstać w twojej głowie? – spytała z uśmiechem. – Sprawa jest skończona. – Okręciła się wraz z fotelem i spojrzała na ogród. – Człowiek nazwiskiem, zapomniałam, coś jak Kopple, wydaje mi się, to radca prawny Lestera Quaida...

No, trzymaj się, bracie, pomyślał Kelley. Teraz będzie strzał.

– Jak wiesz – kontynuowała Genevieve – Quaid ma teraz nawet większą ochotę na kupno twoich akcji, od kiedy...

– Sprzedałaś je? – Kelley nie wytrzymał.

– Powiedzmy, że otrzymałam propozycję nie do odrzucenia. Jak z pewnością wiesz, akcje Blue Sky spadły w ciągu roku, lecz on kupił je dwa miesiące temu za cenę z ubiegłego roku.

– Wszystkie?

– Nie, połowę. Akurat wystarczyło, aby zadowolić jego żądzę krwi. Ma oczywiście opcję na kupno pozostałej części. Ale, oczywiście, będzie musiał je kupić za tę samą cenę.

– Kiedy?

– Kiedy będzie miał dość akcji, aby przejąć firmę.

– Więc tak czy inaczej wygrałaś.

– To jedyny rodzaj hazardu, w który wierzę – powiedziała Genevieve z uśmiechem. Bujała się w fotelu bardzo, bardzo powoli. Rozkołysana „Południowa Piękność”. – Naprawdę ciężko zapracowałam na moje pieniądze i chcę mieć je wszystkie.

Kelley rozejrzał się dokoła. Zerknął na obraz wart miliony, na brylant na palcu kobiety i na rozciągający się za oknem przestronny ogród.

– Rozumiem – odparł w zamyśleniu. – A co chciałaś kupić za te pieniądze, Jenny? – Uśmiechnął się krzywo. – Szcześnie?

Genevieve zamarła w bezruchu.

Claire uznała, że Ashe Warner jest podobny do George'a Hamiltona. Zwłaszcza w filmach z lat sześćdziesiątych: ciemna, zimowa opalenizna, przylizane czarne włosy i uśmiech, który oznajmiał, że jego właściciel wie zarówno o opaleniznie, jak i o fryzurze. A także o swoich stosunkach. Warner miał około trzydziestu pięciu lat.

Stał w drzwiach i trzymał w dłoni butelkę z dietetyczną pepsi. Ubrany był w szare flanelowe spodnie, mokasyńki i jasnożółty golf.

– Chcesz się napić? – spytał i machnął butelką w stronę Claire.

– Jasne – odparła. Warner zostawił ją w holu i wszedł do pokoju, aby przynieść jej napój.

W salonie nie było popielniczek.

Nie było książek.

Nie było niczego z drewna.

Tylko szara tapeta w rzucik z małych żółtych diamentów. Czyżby Warner dobierał stroje do kolorytu ścian? Stała tu szara skórzana kanapa w kształcie litery „L”, kilka szklanych stolików i wyrosnięte drzewo w donicy. Aparatura stereo, która wyglądała jak rzeźba Brancusiego, grała „Take it Easy on Me” w wykonaniu Little River Band. Projekty reklam Claire leżały na jednym ze stolików.

– No dobrze. – Warner podszedł do Claire ze szklanką wypełnioną pepsi. Podał jej napój i usiadł na długim ramieniu litery „L”. – Hm... sądzę, że spotkałaś pana Kelleya – zaczął. Claire nie pozostało nic innego, jak przytaknąć. – I jemu wydaje się, że mogłabyś mieć kilka jakichś tam pomysłów?

– Nie – odparła Claire.

– Nie?

– On jest przekonany, że mam kilka określonych pomysłów.

Świetnie, pomyślała na widok błysku zdziwienia w oczach Warnera. Przyglądaj się, przyglądaj. Może ci powie, że lubi żarty.

– Rozumiem – odezwał się Warner. I nagle jego twarz rozjaśnił uśmiech Hamiltona. – Odważna jesteś. Lubię to.

– To dobrze.

– Ale nie przeciągaj struny – powiedział wciąż jeszcze z uśmiechem. – Kropla drażny skałę.

Claire raz jeszcze omiotła wzrokiem pokój.

– Mniej znaczy więcej? – rzuciła.

– Widzę, że załapałaś, o co chodzi. – Pociągnął z butelki. Gramofon wybrał kolejną płytę. Tym razem był to Elton John. Warner sięgnął po projekty reklam. Pod nimi leżała kopia

artykułu z wczorajszej gazety o raporcie finansowym. – No dobrze – powiedział. – Najwidoczniej Kelleyowi podobały się niektóre z nich. Nie, zdecydowanie mu się podobały. – Wybrał kilka szkiców i rzucił je na podłogę. Był tam rysunek obiadu na tacy, jaki zazwyczaj podaje się na pokładzie samolotu, wraz z napisem: „Czy naprawdę zapłaciłbyś dwieście dolarów za coś takiego?” I drugi: Blue Sky – to jest dopiero bilet”. – Sądzę, że chodziło mu właśnie o te.

– Nie... O tamte.

– Och?

– O te z wojną powietrzną.

– Oj, to źle. – Warner potrząsnął głową. – Bardzo źle. Tamte są ładne. Co nie oznacza, że mogą nam się przydać, ale nie narobią nam kłopotów. Ale te o wojnie powietrznej... Zapomnij o tym.

– Dlaczego?

– Bo nikogo to nie obchodzi. Oto dlaczego. Jeśli jakieś linie lotnicze chcą ze sobą wojować, to ich sprawa. Nikomu nic do tego. A ty chcesz z tego zrobić jakąś aferę. Ratujmy małe foki. Wspierajmy Czerwony Krzyż...

– Tu nie chodzi o ratowanie fok. To jest ratowanie własnej forszy.

– O, czyżby? O to chodzi? – Ashe potrząsnął głową. – No... to powiem ci, że chyba robisz ze mnie głupka. Wydawało mi się, że powiedziałaś, że to wojna i my przegrywamy. Stanowimy jedną wielką bandę przegranych. Myślisz, że ludzie chcą zadawać się z przegranymi?

– Powiedz mi jedno, Ashe. Czy Blue Sky są przegrane?

– Powiem ci jedno, Claire. Jeśli przegrywają, to tak.

– Widzisz to w ten sposób?
– To jest jedyny sposób, w jaki można na to spojrzeć.
– Nie. Powiedziałbym, że to kwestia perspektywy. Ty możesz patrzeć w ten sposób, ale mnóstwo ludzi nie. Obejrzałeś moje propozycje reklam radiowych?

– Tak. – Warner skinął głową. – I zastanawiałem się, o co, u diabła, ci chodzi. Szukasz siedmiu znakomitych postaci do przeczytania tekstu? Daj spokój, Claire. To są faceci pierwsza klasa.

– Zwycięzcy. Nie nazwałbyś ich zwycięzcami?

– Nie kiwnęliby palcem w naszej sprawie. Chciałem powiedzieć, że nie dla paru milionów dolarów. Ale, może i tak? Dla kilku milionów dolarów? Możliwe. Wiesz, jaki mamy budżet na reklamy radiowe?

– Potrzebuję sześćdziesięciu tysięcy dolarów.

– Chyba razy siedem.

– Żadne razy. Sprawdzalam prawa do podkładu muzycznego. Na sześćdziesiąt dni możemy go dostać całkiem tanio. I zdobędę tych facetów, zrobimy nagranie. I to w ciągu tygodnia.

Ashe Warner wybuchnął śmiechem.

– O tak, o tak! Ale jesteś ostra! – powiedział. – Ale są trzy problemy, szanowna pani. Po pierwsze, uważam, że twój pomysł to jedna wielka katastrofa. Po drugie, nie mam zbędnych sześćdziesięciu kawałków. A po trzecie, nie zdołałabyś tego zrobić nawet przez rok.

– Jest jeszcze czwarty problem – odparła Claire ostrożnie i spojrzała mu w oczy. – Kelley powiedział, aby to zrobić.

Warner nie odpowiedział. Claire niemal mu

współczuła. Wyglądał jak ktoś, kto wetknął palce w wyżymaczkę. Tylko po co je tam pchał? Claire miała zbyt mało czasu, aby załatwić to delikatnie, w rękawiczkach. Poprosić go, by przemyślał jej projekty. Ale nie mogła czekać. Musiała zacząć kampanię wojenną.

– Posłuchaj – zaczął Warner. – Pokażemy to Rosettiemu. Kelley liczy się z jego zdaniem. Może uda nam się wypracować jakąś łagodniejszą wersję...

– Rosetti pracuje dla Federal Airlines.

– No, jeszcze nie. Jest dopiero na etapie zmiany.

– Ze szczura w wampira. Nie, dziękuję. Kelley chce dokładnie tego, co tu mamy.

– Cóż... będziesz musiała poczekać do jego powrotu.

– Wraca jutro.

– Błąd. Plotka głosi, że wyruszył na polowanie na pieniądze. A to może mu zająć trochę czasu.

– To pójde do McDermotta.

– Proszę bardzo. Idź. McDermott i tak chce nas załatwić.

– Co to ma niby znaczyć?

– Właśnie to. – Warner wskazał na artykuł o raporcie finansowym. – Myślisz, że te informacje same powędrowały do redakcji?

W samolocie linii „Varig” było wiele wolnych miejsc na nocny lot do Rio.

Kelley siedział na tarasie hotelu „Mansion”. Odłożył telefon na stolik i rozmyślał o możliwych opcjach. A raczej opcji, bo była tylko jedna. Tak jak to trafnie ujął ekspert z Wall Street,

„nikt o zdrowych zmysłach” nie zainwestowałby w Blue Sky. Telefonowanie do kogokolwiek miałooby się z celem.

Kelley ponownie zerknął na telefon i pomyślał, że mógłby zadzwonić do Claire. Tylko cóż by jej powiedział?

Zegarek wskazywał drugą dwadzieścia w nocy.

Głos Mirandy w telefonie był matowy od snu.

– Wstań i rozchmurz się, kochanie. Już dzwonią na pobudkę – powitał ją Kelley.

– Och... – mruknęła. – Zaczekaj chwilę.

Oczami wyobraźni widział ją, jak przeciąga się pod kołdrą, sięga po papierosa, zerka na emaliowany zegar od Tiffany'ego i wreszcie decyduje, że nie ma innego wyjścia i musi porozmawiać.

– Twoja nieobecność była jak zima – powiedziała i ziewnęła.

– To stwierdzenie?

Miranda roześmiała się.

– To Szekspir, mój drogi. Sonet. A także straszliwa prawda. Nie widziałam cię przez całą zimę.

– Chciałbym to naprawić, więc dzwonię.

– Mniam, mniam. Chcesz śniadanie?

– Zima – odparł – jest tym, co chcę naprawić. Nie wyskoczyłaśbyś ze mną na chwilę w krainę lata?

– No, to już czysta poezja.

– Rio.

– Gdzie morskie fale o brzeg biją – dopowiedziała.

– Mam dwa bilety na lot o dziesiątej. Wystarczy ci czasu na umycie włosów i spakowanie zbyt wielu rzeczy. Wpadnę po ciebie o dziewiątej.

– Kupuję – odrzekła bez wahania.

Kiedyś, dawno temu, powiedziała mu, że rzuciłaby dla niego wszystko, włącznie ze zrzuceniem pianina na własne nogi. Pewnego razu Kelley poleciał do niej do Nairobi, ponieważ zadzwoniła do niego kompletnie pijana o drugiej w nocy, aby mu powiedzieć, że właśnie porzucił ją drugi mąż. Porzucił przez duże „P”. A poza tym w jej wannie siedział pająk wielkości orzecha kokosowego, a ona miała zamiar podciąć sobie żyły i nie życzyła sobie, aby jakiś cholerny pająk tuczył się jej krwią.

Istniała w życiu Kelleya od lat. Pojawiała się między, a niekiedy podczas, jej małżeństw. Miała czterdzieści lat, a wyglądała jak Rita Hayworth w tym samym wieku: ciężkie, długie do ramion, ciemnorude włosy i wspaniałe ciało. Dobrze rozumieli się z Kelleyem. „Kocham cię dlatego – powiedziała kiedyś – że cię nie kocham”. Doskonale pojmował tę pokrętną filozofię.

Miranda знаła Rio i znała Lestera Quaida.

Była dobrym towarzyszem podróży, a także świetnym kompanem do łóżka, jak to sama podkreślała.

ROZDZIAŁ 15

Poniedziałkowe śniadanie zjedli na otwartym, nasłonecznionym tarasie hotelu „Palace” z widokiem na ocean i góry. Wszystko dokoła pulsowało zielenią i błękitem, a powietrze pachniało morzem i tropikalnymi kwiatami. Miranda ubrała się w zielony kombinezon i zielony słomkowy kapelusz, a do włosów przypięła kwiat hibiskusa.

Pili „Tequila Sunrise” i czarną brazylijską kawę i słuchali niesionych wiatrem dźwięków samby.

– Powiedz mi, dlaczego tu jesteś? – spytała. – Wakacje, czy *qui vive?*

– Odpowiedziałbym, gdybym miał pojęcie, co to znaczy.

– *Qui vive?* – Uniosła brwi. – W wolnym przekładzie: oportunistą czyhający na sposobność.

– Do diabła, robię to przez całe życie!

– A teraz? – nalegała.

– Też. Muszę zdobyć niewielki majątek w ciągu dwóch tygodni. A potem ogromny majątek w ciągu dziesięciu tygodni.

– Albo?

– Fini, finissimo, finito, kaput. Myślisz, że ty jedna znasz obce języki? – zażartował.

Poprosił o rachunek i telefon do stolika. Raz jeszcze wykręcił numer Lestera Quaida.

Ciągle nikt nie odpowiadał.

Szli po wysadzonej palmami Avenida Atlantica. Chodniki wyłożone były kolorowymi płytkami, tworzącymi obrazy kwiatów i ptaków, a spacerowicze, w barwnych i migotliwych strojach, także wyglądali jak kwiaty i ptaki. Brzuchaci panowie i długonogie kobiety. Miss Piękności i Pan Grubas. Wiele takich par wędrowało po ulicach, a w powietrzu krzyżowały się różnorodne obce języki. Rozmawiano po francusku, włosku i hiszpańsku, opowiadano dowcipy po niemiecku, a interesy robiono po holendersku. Najbogatsi przyjechali do Rio; najbiedniejsi istnieli tu od zawsze. Było to miasto lekkich czasów i łatwych pieniędzy, a także ciężkich czasów i ciężko zarobionych pieniędzy. Niełatwy mariaż tych, którzy nie jadają tłusto, z tymi, którzy nie jadają chudo. Było to miasto wielkich międzynarodowych aferzystów, którzy podejmowali się wszelkich interesów, a zarobione przez nich pieniądze były prane tak dokładnie, że jeszcze pachniały mydłem. Szttywne i wykrochmalone, nie nosiły śladów brudu ani krwawego potu. Bogactwo migotało na nadgarstkach, błyskało lakierem eleganckich samochodów i jaśniało w uśmiechach. A wszystko to pod okiem Chrystusa Odkupiciela, którego przeogromna statua, wieńcząca górę, patronowała Rio jak gigantyczny ornament na szczycie niebosiężnej choinki. Jezus wyciągał ramiona

w geście błogosławieństwa. A może, pomyślał Kelley, po prostu wzrusza nimi bezradnie?

– Czym właściwie zajmuje się Lester? – spytała Miranda. Oglądała właśnie brylantowy naszyjnik, prezentowany w oknie wystawowym.

– Nie wiem. – Kelley przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Następny aferzysta, pomyślał. – Zarządza korporacją pod nazwą „TPI”.

– Czekaj, nie mów – przerwała Miranda. – Moim zdaniem to skrót od „Towarzystwo Parszywych Intrygantów”.

– Nieźle. Ja bym to tak zostawił. Ale rzecz polega na tym, że oni chcieli kiedyś kupić linie lotnicze, a ktoś mi powiedział, że nadal mają na to ochotę.

– Przyjechałeś, żeby je sprzedać?

– Na Boga, nie! Przyjechałem, żeby to sprytnie rozegrać. Chcę, żeby Lester pożyczyl mi trochę forsy. Jeśli nie będę mógł jej spłacić, oddam mu moje linie za cenę kredytu. I mówię ci, mała, nawet w mojej obecnej formie jest to interes stulecia.

Skreśli w boczną ulicę i skierowali się z powrotem w stronę plaży.

– To nie ma sensu – powiedziała Miranda.

– Pewnie – odparł Kelley. – To ma bowiem sens absolutny. Widziałas film „Butch Cassidy i Sundance Kid”?

– Tak. I co z tego?

– A pamiętasz, jak oddział ludzi odciął im drogę? Butch i Sundance zostali na urwisku. To było prawdziwe urwisko nad wściekłą wrącą rzeką i Butch powiedział: „Skacz”! A Sundance

na to, że nie umie pływać. Więc Butch mu mówi: „Ale ty jesteś głupi! Upadek i tak cię zabije”.

Miranda spojrzała na Kelleya i wzruszyła ramionami.

- Strugasz ze mnie wariata – powiedziała.
- Nie, wcale nie. Stoję właśnie na takim urwisku. I w sytuacji, gdy oddział na pewno mnie zabije, jakakolwiek inna możliwość wydaje się całkiem niezła.
- Och! – powiedziała tylko.

Była prawie trzecia, gdy dotarli na plażę. Słońce nadal stało wysoko, dzień był nadal gorący, a plaża nadal „najlepsza na świecie”. Wspaniały, biały piasek, malowniczy widok na górę Sugar Loaf, opalone ciała Brazylijczyków, dumny krok dziewcząt i chłopców z Ipanemy.

Miranda podziwiała młodych umięśnionych mężczyzn, którzy rozłożyli na piasku sprzęt lekkoatletyczny i ćwiczyli zapamiętane, doskonaląc muskulaturę.

– Mam cię zostawić sam na sam z twoimi rozlicznymi pomysłami? – spytał Kelley.

– Tylko sobie patrzę – odparła i chwyciła go za rękę.

Wynajęli parę wiklinowych koszy. Miranda chciała też żółty parasol plażowy. Rozpięła kombinezon i zrzuciła go z siebie. Pod spodem miała skąpe żółte bikini. Wyglądała równie pociągająco, jak każda dziewczyna na plaży.

Kilka minut zajęło Kelley owi odnalezienie budki z piwem. Sprzedawano tam zresztą wszystko: ciastka, napoje niskoalkoholowe, parówki, biszkopty, lody i krewetki. Sprzedawcy zachwalali śpiewnie swoje towary.

Kelley szedł bosy po gorącym piasku, ubrany jedynie w kąpielówki, i mrużył oczy przed blaskiem słońca. Jego wędrówkę obserwowało kilka dziewcząt, a dwie z nich, z długimi czarnymi włosami, zaczęły stroić miny, puszczać do niego oko i chichotać. Portugalczycy nazywają to „wdzięczeniem się”. Kelley postawił im piwo, więc, mimo jego protestów, odprowadziły go aż do żółtego parasola, gdzie królowała Miranda w towarzystwie kilku uśmiechniętych śniadych młodzieńców. Kelley przedstawił sobie obie grupy słowami: „*Meninas – meninos*”, co znaczy „dziewczęta – chłopcy”, i przepędził ze swojego grajdołka.

– Jak na parę starszusków, nieźle sobie radzimy – powiedział do Mirandy, gdy już usadowił się w koszu. Podał jej piwo i obrzucił baczным spojrzeniem. – Przeszkodziłem ci w czymś?

– Nie, nie. – Machnęła ręką. – Tylko... o wilku mowa, a wilk tu. Nie dałam mu żadnego znaku, a on mnie też nie zauważył. Siedział tam z nosem w książce.

– Pewnie pod tytułem *Ocean Atlantycki – Instrukcja obsługi dla właścicieli*.

– Możliwe. – Roześmiała się. – Dobry, stary Lester. Ma bardzo wyostrzony instynkt posiadania, nieprawdaż?

– Żartujesz! Quaid wynalazł Boga jakieś siedem lat temu. Słyszałem, że natychmiast wystąpił o patent i był niesamowicie wkurzony, gdy mu powiedziano, że Bóg jest własnością publiczną.

– Masz na myśli tę historyjkę z wielbnym Devine'em?
– Chyba DeVane'em. I to nie jest taka sobie zwykła historyjka. Lester odkrył tego gościa i postanowił sprzedać go jak nową pastę do zębów. Teraz DeVane to narodowa marka. Trzygodzinny show w telewizji, te wszystkie religijne firmy wydawnicze...

– Koszulki z napisem „Idę z Bogiem” – wpadła mu w słowo Miranda.

– Serio? – zdziwił się Kelley.

– Chyba jednak nie. – Rozcierała na dekolcie olejek do opalania. – Spotkałam Lestera na przyjęciu w „Bel Air” i mówił całkiem szczerze. Jak bufon, ale szczerze.

– Cóż... może i jest taki – odparł Kelley. – Zarządza całą korporacją DeVane'a. Jak zarabiasz na Bogu parę milionów dolarów rocznie, to możesz sobie pozwolić na chwilę szczerości. Podsuń mu ten pomysł z koszulkami. Może dostaniesz prowizję?

– Mogłabym – stwierdziła Miranda. – Naprawdę mogłabym.

Kelley uśmiechnął się. Znał ją wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że rzeczywiście mogłaby to zrobić.

Zapalił papierosa i spojrzał na morze. Rozmyślał o chciwości Lestera Quaida, który był „odbiciem teraźniejszości”. A ja, pomyślał, jestem chyba odbiciem przeszłości, która traci znaczenie nawet szybciej niż przyszłość.

Słońce prażyło silnie, a ocean przypominał ruchome, nieprzyjazne góry. Wysokie, kotłujące się bałwany uderzały z łoskotem o piasek. Chorągiewki ostrzegały pływaków przed

oddalaniem się od brzegu. W wodzie było tylko kilku amatorów kąpieli i niewielu mistrzów deski surfingowej, młodych tubylców o opalonych ciałach i lśniących białych zębach. Wyglądali jak uwspółcześniona wersja Tarzana, gdy nadpływali na grzbietach fal, pokrzykując i śmiejąc się. Jeden z nich wskazał niebo wyciągniętą ręką, a potem gwałtownie opuścił ją w dół. „*La bomba!*” – zawołał. Fala jak bomba. Na ramieniu chłopca widniała biaława szrama.

Kelley pomachał do nich, pokazał na deskę, a potem na siebie i wyciągnął garść pomiętych banknotów.

– Stary człowiek i morze – westchnęła Miranda.

Kelley nie odpowiedział.

Gdy ruszył do wody z deską na głowie, jeden z chłopców zawołał: *Ay, coragem!*, co Kelley zrozumiał jako „odwaga”. Zrozumiał też sarkazm w głosie wołającego. Odwrócił się do grupy tubylców i pokazał im powszechnie znany gest: zwinęta dłoń z wystawionym środkowym palcem. Chłopcy roześmieli się.

– Dobrze! – zakrzyknął jeden z nich.

Woda była niezwykle chłodna w porównaniu z żarem powietrza. Zachowywała się jak dzikie, zimnokrwiste zwierzę, które broni swego terytorium. Gdy Kelley zanurkował, starała się odepchnąć go do brzegu, chłostała i siekła, aż zaklął pod nosem. Wreszcie wydostał się poza linię załamujących się bałwanów. Odpoczywał na desce i czekał na wielką falę, która uniosłaby go płynnym lotem wprost do brzegu. Żaden z pływaków nie dotarł tak daleko. Nawet ci młodzieńcy, którzy

zdawali się lekceważyć zagrożenie. Kelley był tu zupełnie sam, zupełnie jak w niebie. I czuł się tak samo wolny.

Nagle ujrzał rodzącą się falę, ogromną i silną. Wyszedł jej naprzeciw, złapał prawą stronę deski i stanął. Balansował na desce radosny i swobodny. Nie myślał o niczym i panował nad żywiołem. Miał wrażenie, że ujeżdża tygrysa i krzyczał głośno w uniesieniu.

Łądowanie było twarde. W ostatniej chwili fala cisnęła nim mocno, a deska wystrzeliła mu spod nóg i poszybowała nad głową. Jednakże tych parę kuksańców, które oberwał tuż przy brzegu, było niczym w porównaniu ze wspaniałością przygody.

Dotarł na plażę roześmiany i zdyszany. Wciąż jeszcze wspominał chwile spędzone na fali. Gdy podniósł deskę, zauważył tłum ludzi, którzy zebrali się na brzegu, aby podziwiać jego wyczyn.

Wśród zgromadzonych był Lester Quaid, potężny i owłosiony, w modnych spodenkach i rozpiętej jedwabnej koszuli. Nienaturalnie czarne włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały szeroką, mocną twarz i kontrastowały z siwiejącą gęstwiną na piersiach.

– Brawo – zawołał Lester. – Jak superman. Zawsze mówiłem, że masz jaja cięższe od mózgu. Postawię ci piwo, żebyś wypłukał sobie sól z żołądka.

Po drodze zatrzymali się przy parasolu. Miranda przyłączyła się do nich i razem poszli do jednej z kafejek przy plaży. Wybrali stolik w cieniu palmy.

Miranda zamówiła likier „pina colada”, a Lester miejscowe piwo.

– Z butelki – zwrócił się do meksykańskiego kelnera. – *Caraffa*, rozumiesz? W piwie z beczki na pewno myją nogi – mruknął do Mirandy. – Specjalnie dla turystów.

– A zwłaszcza dla tych nadzianych – powiedziała spokojnie Miranda.

– Bo oni są po prostu cholernie głupi – odrzekł Lester. – I przejmują się nie tym co trzeba. My zamartwiamy się groźbą rosyjskiej inwazji, a to bzdura. Bo tymczasem zalewają nas Latynosi, a angielski zaczyna być martwym językiem. Taki Menudo za pięć, dziesięć lat zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Zobaczysz.

Kelner przyniósł piwo i Lester uniósł szklanke.

– Za amerykański rozum – powiedział.

– Za niebo bez granic – dodał cicho Kelley.

Pociągnął łyk piwa. Było zimne i doskonałe. Pomyślał, że chętnie umoczyłby nogi w szklance Lestera lub po prostu kopnąłby go w zęby i wepchnąłby mu twarz w piasek. Lecz, jak wszyscy biedacy na świecie, był zbyt ubogi, aby zachować dumę.

– Co tu porabiasz, Lesterze? – spytał i zapalił papierosa.

– Zabawiam się – odrzekł Quaid. Miranda zachichotała.

Lester spojrział na nią ostro. – Co w tym śmiesznego?

– Nic – odparła. – Ale powiedziałaś to z taką nostalgią...

– Wcale nie. Wcale – zaprzeczył Lester. – A poza tym kręcę tu mały interes.

– Jak mały? – zaciekawiał się Kelley.

– Och, znasz mnie. – Lester zrobił skromną minę. – Staram się o milion akrów gruntów. Ten kraj to raj dla farmerów.

Tu jest więcej ziemi uprawnej niż w jakimkolwiek kraju na świecie. To znaczy, dostępnej ziemi. Chcesz panować nad światem przez następne sto lat? Kontroluj wytwarzanie żywności. A gdzie? Nie na północy, nie u nas. Chrzanimy odległe ziemie, jeśli nie mają przyszłości. Więc przez najbliższe sto lat tutaj będziecie wpadać na quaid-burgera, ot co. Taki mały interesik na boku. – Lester dopił piwo, otarł usta dłonią i spojrzął na Kelleya. – A co ty tu robisz?

– Taki mały interesik – odparł przekornie Kelley. – Może nawet z tobą.

– Czyżby? – Lester się roześmiał. – Proszę, proszę. Tu cię mam. Przyszedłeś z białą flagą? Jesteś gotów ucałować mój pierścionek?

– Przede wszystkim jestem gotów kopnąć cię w jaja. Ale wtedy nie mógłbyś rozmawiać o interesach. Przynajmniej przez jakiś czas. A chcesz rozmawiać o interesach?

– Zawsze. Ale teraz muszę się spotkać z jednym gościem od krów. Wracam w środę. Organizuję małe nieoficjalne przyjętka. Wpadnij, to pogadamy, dobrze? Koło dziesiątej. – Wstał niespodziewanie i odszedł, klapiąc sandałami. Jedwabna koszula trzepotała na wietrze.

Kelley pociągnął łyk piwa i rozparł się na krześle.

– Oto kroczy rozpasana przyszłość – powiedział.

– Wielki Quaidburger.

– Tak. Mały interesik na boku.

ROZDZIAŁ 16

Lester zajmował obszerny apartament w dużym białym kompleksie mieszkalnym. Hotele, pensjonaty, wypiętrzone pałacyki tworzyły niezliczone rzędy, które schodziły ku plaży, otaczały ją ze wszech stron i zatrzymywały się na krawędzi czterystumetrowego pasa piasku. Jak lemingi, pomyślał Kelley. Pędzą, aby znaleźć śmierć w oceanie.

Z apartamentu Lestera roztaczał się niezapomniany widok; z jednej strony na morze, a z drugiej na figurę Chrystusa. Posąg, oświetlony reflektorami na tle ciemniejącej w mroku góry, zdawał się unosić w powietrzu, z ramionami rozpostartymi jak skrzydła.

Budynek, w którym znajdowało się mieszkanie Quaida, miał fasadę zbudowaną w kształcie fal. Wyglądała jak kawałek oceanu lub gigantyczna kobieta z trzema piersiami. Salon Lestera zajmował szerokość dwóch piersi zakończonych tarasem. W pokoju, umeblowanym nowocześnie, czyli skóra i dużo zieleni, bawiło się około siedemdziesięciu osób. Gdzieś z zakamarków nocy dobiegały dźwięki samby.

Potężnie zbudowany Lester, w białej marynarce i ze szklane-
neczką szkockiej w dłoni, witał gości w marmurowym holu.
Towarzyszyły mu dwie olśniewające blondynki w jednako-
wych białych koronkowych sukienkach. Stanowili dobrany
zespół. Dwie śliczne dziewczynki trzymają za rączki dużego
pluszowego misia, którego chętnie wzięłyby do łóżka.

Lester potrząsnął dłonią Kelleya.

– Świetnie, świetnie – powiedział. – Gdybyś postął tu
przez minutę, ręczę, że zmieniłbyś zdanie. – Machnął ręką w
stronę kobiet. – Tweedledum i Tweedledee – przedstawił je
zartobliwie.

Dziewczyny zachichotały.

– Miło tu – powiedział Kelley.

– Taaa. A jak ci się podoba całość? – Lester uśmiechnął
się. – Wiesz, po kim to mam? Po Banjim Saviku. Drugim naj-
bogatszym Irańczyku po szachu. Był na górze na basenie, tak,
tam jest basen, i posłuchajcie. Przyleciało paru facetów heli-
kopterem, bach, bach i po wszystkim.

– Zastrzelili go? – spytała zaskoczona Miranda.

– W basenie. Ja zatrzymałem się wtedy w hotelu „Park”.
Dowiedziałem się o tej historii od Alvy'ego, więc zaraz tu
przyjechałem. Woda jeszcze była czerwona od krwi. Powie-
działem: „Biorę to”. Ale, ale, basen jest czynny, możecie się
wykąpać. Bawcie się dobrze, dzieciaki – zawołał Lester i od-
szedł witać następnych gości.

Kelley rozejrzał się dokoła.

– Wiesz, kim jest Alvy, prawda? – spytała Miranda

i wskazała mężczyznę w ciemnych okularach i czarnym jedwabnym garniturze.

Kelley przyglądał się jego twarzy, szczupłej i bez wyrazu. Przysłonięte szklami oczy stanowiły głęboko ukryty sekret.

– Nie wiem – powiedział. – Wyobrażam sobie, że najbardziej przygnębiającym w świecie agentem od nieruchomości.

– Zgaduj dalej.

– Nie chcę zbyt długo gapić się na niego.

– Jesteś blisko.

– Żołnierz ze szwadronu śmierci? Nie, nie wiem. Poddaję się.

– Alvy to José Alvarado – powiedziała Miranda. – Minister rolnictwa Kolumbii. Przypominasz sobie jakiegoś jego zdjecia?

– Minister od najpopularniejszych upraw w Kolumbii – odparł Kelley z namysłem. – Handlarz kokainą, co?

– Nie tylko handlarz. Kontroluje mniej więcej jedną trzecią tego, co dociera do Stanów. Federalni z Nowego Jorku polują na niego od lat. To znaczy wiedzą, że to on zaopatruje większą część Manhattanu, ale nie są w stanie niczego mu udowodnić. Co cię tak rozbawiło?

– To skąd ty o tym wiesz?

– Wszyscy o tym wiedzą, mój drogi. Alvy bawi na każdym przyjęciu w Rio. Wyjątkowy z niego numer. A wiesz, co to znaczy? To znaczy, że na plaży jest na pęczki takich Lesterów, którzy chcą pokazać wszem i wobec, jacy są wspaniali i mądrzy.

– A wtedy pojawia się Alvy z tą swoją twarzą grabarza...

– Właśnie. I atmosfera aż tężeje od jego eleganckiego wyglądu.

– Zanim zacznę tężeć, lepiej się napiję – odparł Kelley i rozejrzał się w poszukiwaniu alkoholu.

Bar urządzono wzdłuż ściany salonu. Korki od szampana strzelały w rytm samby, który stawał się coraz bardziej natrętny i dudnił w uszach jak pulsowanie własnej krwi.

Miranda, w obcisłej sukience w zielone kwiaty, poruszała dziko biodrami do taktu gorącej muzyki.

– Znasz tu kogoś? – spytała.

Kelley nie odpowiedział. Odwrócił się w stronę baru i ponownie rozejrzał, popijając „Chivas” ze szklanki. Zachwycił go drzewa wewnątrz salonu. Cały pokój wyglądał jak prawdziwy ogród. Na drążkach wśród gałęzi siedziały papugi i trajkotały beztrzesko w kłębach tytoniowego dymu. Wśród gości była też kobieta, na której plecach siedziała żywa małpa. Zwierzątko przewracało brązowymi oczami, podczas gdy jego pani rozmawiała i gestykulowała.

Wśród przybyłych Kelley rozpoznał McKeona, amerykańskiego bankiera, który po uszy siedział w interesach, związanych z brazylijskimi liniami kredytowymi. Brazylia już dwukrotnie nie wywiązała się z zobowiązań płatniczych, w związku z czym całe przedsięwzięcie stało się jeszcze bardziej ryzykowne niż Linie Lotnicze Blue Sky.

Może ogłoszę, że Blue Sky to jeden z krajów Ameryki Łacińskiej, a wtedy McKeon nakarmi mnie pieniędzmi z łyżeczki, pomyślał Kelley z goryczą.

Na skórzanym kanapie siedział Franco Láscala, włoski biznesmen, którego kiedyś porwano dla okupu. Teraz podróżował

z obstawą. Stanowiła ją kobieta, która wyglądała jak młoda Sophia Loren i miała wspaniale rozwinięte mięśnie piersiowe.

Wśród gości byli Arabowie, Irańczycy, Turcy i Japończycy. Cała plejada egzotycznych bawidamków ze Wschodu i ich dziewczyny.

W rogu pokoju stała Crystal Koulermos. Ta kobieta w sukni ze srebrnej lamy była ostatnim żyjącym potomkiem starego greckiego rodu. Uważano ją za najbogatszą kobietę świata, lecz trzy fatalne małżeństwa lekko nadwerżyły jej majątek. Kelley spotkał ją w Nowym Jorku w towarzystwie Karen i uznał, że jest nieciekawa i zbyt gruba, a w dodatku ma dziwne zdyszany, piskliwy głos.

– Oto rozwiązanie twoich problemów – odezwała się Miranda. – Ona jest znów wolna i szuka nowej zdobyczy. Może doskonale zapłacić za rozwód.

– W tym sęk. Musielibyśmy się najpierw pobrać.

– I co z tego? – Miranda wzruszyła ramionami. – Mówię ci, ptaszyno, kuj żelazo póki gorące, a najpóźniej do soboty ona zadzwoni do Karen. Zapłaci jej kilka milionów dolarów i fiuuu! Karen zniknie. Zdążysz się ożenić jeszcze przed terminem spłaty kredytu.

Kelley sączył whisky i myślał o Karen. Już niejednokrotnie zastanawiał się nad rozwodem. Nigdy jednak nie były to rozważania na serio. Zdawał sobie sprawę, że rozwód przekształciłby się w okropną aferę. Karen wynajęłaby cwanego, wyszczekanego adwokata, który napastliwością dorównywałby jej samej. Procesy byłyby nieprzyjemne, kosztowne i głupie.

Pochłonięty myślami musiał wyglądać szalenie poważnie.

- Och! – zawołała Miranda. – Ja tylko żartowałam!
- Wiem – odparł. – Chcesz zobaczyć basen?
- Nie wydaje mi się, żebym już miała na to ochotę. Chyba się tu jeszcze trochę pokręcę. Spróbuję rozruszać Alvy'ego. Podejdę do niego i powiem: Cześć, skarbie! Masz jęczmień na oku, że nosisz ciemne okulary?
- Nie odważyłabyś się – powiedział Kelley.

Uchylił drzwi prowadzące na schody na dach. W uszy uderzyły go hałaśliwe dźwięki samby, dochodzące z jakiegoś miejsca zza wysokiego żywopłotu. Rozbrzmiewały stamtąd piski, śmiechy i chłopot wody. Kelley podniósł głowę i popatrzył w niebo, na którym rozparł się puciołowaty księżyc w towarzystwie licznych gwiazd. Oczami wyobraźni ujrzął nadlatujący helikopter, martwe ciało Lestera, pływające w basenie, i Alvy'ego, który telefonuje i mówi: „Cześć! Wiesz, co się stało?”

Otrząsnął się i postąpił kilka kroków. Wyszedł z za rogu i nagle zobaczył bajkowy świat z *Tysiąca i jednej nocy*. Patrzył oniemiały na nagie rusalki, śmiejące się i płasające w wodzie, i pomału dochodził do wniosku, że ludzie, którzy zastrzelili poprzedniego właściciela domu, poważnie przyczynili się do „wolności” Lestera Quaida.

– Cześć! – zagadnęła po portugalsku jedna z dziewcząt. Naga i mokra podeszła do Kelleya.

– Cześć! – odparł. Nie mógł oderwać oczu od jej piersi, twardych, prężnych, ociekających kroplami wody.

– Często tu przychodzisz? – spytała dziewczyna po angielsku. Kelley wciąż wpatrywał się w jej krągłe piersi ze sterującymi sutkami.

– Anglik? – odezwała się dziewczyna, znów po portugalsku.

Kelley spojrział wreszcie na jej twarz. Symetryczna, piękna, lecz pusta, jak biała karta. I raptem przypomniał sobie twarz Claire.

– Nie rozumiem portugalskiego – odpowiedział i ruszył do baru.

Nalał sobie szkockiej i obrzucił wzrokiem otoczenie. W rogu przygrywał egzotyczny kwintet, a muzycy starali się powstrzymać ślinkę ciekącą im do ust na widok tyłu pięknych dziewcząt. Piszczące i klaskające w dłonie towarzystwo składało się przeważnie z dwudziestolatek o przeróżnych odcieniach skóry, od onyksu do śnieżnej bieli. Z daleka wyglądały jak w wirującym kalejdoskopie – płatanina ramion, nóg, tułowi i piersi, drgająca w dzikim rytmie samby.

Większość obecnych na dachu mężczyzn była w ubraniu. Tylko nieliczna garstka paradowała nago, a kilku w kąpielówkach. Jeden z odzianych w garnitur mężczyzn został wepchnięty do basenu. Smukły opalony dwudziestolatek, z dużym krzyżem na piersiach i widoczną z braku spodenek erekcją zbliżał się właśnie do dziewczyny, którą wzgardził Kelley. Po chwili oboje zniknęli za żywopłotem.

– Kelley – odezwał się jakiś głos.

Zawołany, obrócił się i rozpoznał Paula DuLaca, wysokiego i chudego w białej wieczorowej marynarce, który potrząsał mieszadłem do koktajli. Kelley znał Paula jeszcze ze Ste.

Maxime, gdzie obaj mieli wille. Poznali się zaś w Cannes, gdzie jeden z filmów Paula brał udział w festiwalu. DuLaca nazywano „francuskim Fellinim”.

– Czy to scena z twojego najnowszego filmu? – spytał Kelley.

– Równie dobrze mogłaby w nim być – odparł Paul. Potrząsnął głową i uniósł szklankę. – Życie jest słodkie, co? – dodał po francusku.

– Oby tak było. Co cię sprowadza do Brazylii?

– Serio, to mam pomysł na film. Coś, co mógłbym nakręcić na plażach w Rio.

– A o czym?

– No tak, o czym. Typowo po amerykańsku. Wszystko musicie określać wyraźnie. Jeśli historia miłosna nie jest opowiedziana zdaniami, to w ogóle nie chcecie jej słuchać. To będzie film o życiu, kolego, mówiąc krótko, jednym zdaniem.

– Ha! Pokornie chylę czoło.

– Brednie. Jesteś jak zwykle zarozumiały i pewny siebie. A ja, zapomniałem, jak to powiedzieć po angielsku, aha, jestem pełen zapału.

– Życie jest podniecające – dodał Kelley po francusku.

Obaj przyglądali się zabawie przy basenie. Mężczyzna z ogromnym, wypukłym brzuchem obmacywał młodą blondynkę.

– Spójrz na to – powiedział Paul. – Na to szaleństwo. Jak karnawał.

– Albo jak upadek cesarstwa rzymskiego.

– Aż tak? O, la, la. – Paul uniósł brwi. Jego szczupła, koścista twarz dobrze oddawała wyraz sardonicznego zdziwienia. – Naprawdę tak uważasz?

– Pewnie. Czemu nie? Orgie w blasku księżyca. Neron kopuł uje z niewolnicami.

Paul roześmiał się.

– Wiesz, na czym polega twój problem, Kelley?

– Nie wiem. Ale założę się, że mi zaraz powiesz.

– Mimo wygładzonej, cywilizowanej powłoki wciąż jeszcze masz duszę małego Huckleberry'ego Firma.

– Wątpię – odparł Kelley.

– Nie zaprzeczaj tak pochopnie. Huckleberry Finn był sprytnym młodzieńcem. A także niepoprawnym marzycielem. Zanim twój kraj stał się bogaty i piękny, mały Finn uosabiał duszę Ameryki.

– Na miarę dziewiętnastego wieku.

– No to co? Taki właśnie jesteś. Moim zdaniem, mógłbyś być pionierem. Szukać złota w Kalifornii i założyć tam miasto. Nie lubisz tych tam, w basenie, bo ty traktujesz pieniądze jak narzędzie, podczas gdy oni traktują je jak zabawkę.

– Jasne. A kiedy skończysz już wróżyć z ręki, masz jeszcze w zapasie kryształową kulę?

– Nie złość się – rzucił Paul. – Mimo wszystko jestem dobrym znawcą charakterów. W sztuce charakter jest najważniejszy. Fabuła, wątek, to tylko reakcja charakteru na okoliczności. Na przykład sytuacja, gdy uczciwy człowiek ma prawdziwy kłopot. I wtedy to nie jest historia kłopotu, tylko człowieka.

– Zmierzasz do czegoś konkretnego, prawda? – Kelley zmrużył oczy.

– W rzeczy samej – odparł Paul. – Słyszałem, że masz problemy. Widzę w tym wiele dramatycznych możliwości.

– Chcesz kupić prawa do mojej historii? – spytał Kelley. – Pięćdziesiąt milionów i są twoje.

– Już to widzę. – Paul wpatrywał się w basen. – Ty i ja dyskutujemy o scenariuszu i finansach. – Odwrócił się do Kelleya i wzruszył ramionami. – Ale to kiedyś, przy okazji. Moje najbliższe plany to kręcenie zdjęć w Nowym Jorku. Jean Roque ma to finansować. Pamiętasz Jeana Roque'a? W zeszłym roku przywiozłem go do twojego domu na Long Island.

– Powiedział wtedy, że palcem nie tkniesz jego pomysłu.

– Ach, tak. Rzeczywiście. Stare dzieje. Portret artysty jako bogatego młodzieńca. Bogatego i wybrednego. Też mam kłopoty finansowe. Sztuka wystarcza na długo, lecz gotówka raczej na krótko. W mój ostatni film wsadziłem własne pieniądze i straciłem wszystko. Więc teraz muszę zrobić tego knota dla Jeana, aby potem móc zrobić film pod dyktando mojej duszy. Biedny rasowy koń musi orać ziemię. Ty też pewnie będziesz musiał zniżyć się do czegoś takiego.

– Już to robię – zawołał Kelley.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, to zadzwoń do Jeana Roque'a. Zatrzymał się chyba w „Palmer Palace”.

Mówię poważnie.

– Dlaczego mam zadzwonić?

– Pytał o ciebie. Ale proponuję ci to, jeśli naprawdę przyprą cię do muru. Ale, cóż to? Kompletnie ubrana kobieta z cudownymi rudymi włosami zmierza właśnie tutaj. Chyba się zakochałem.

Kelley spojrzął na zbliżającą się Mirandę.

- Bawiliśmy się właśnie w „Kto ostatni, ten przegrywa”.
- To dobrze – odparła Miranda. – Zawsze podziwiałam w mężczyznach wstrzemięźliwość i opanowanie.

Kelley przedstawił jej Paula DuLaca.

- Jak zawsze masz godny podziwu smak – powiedział Paul, obracając się ku Kelleyowi.

- Jakież to francuskie – wtrąciła Miranda. – Zupełnie jakbym była czymś do zjedzenia.

Kelley roześmiał się. Paul zawtórował mu.

- Kiedy wlałeś między wrony... i tak dalej – odrzekł Paul. – Przepraszam, za granicą zapominam o moich dobrych manierach.

Zeszli na dół. Większość gości zebrała się w jadalni. Nigdzie jednak nie było widać Lestera, jak również dwóch jego towarzyszek w białych koronkowych sukienkach.

Resztę wieczoru Kelley spędził na picciu i obserwowaniu Mirandy, która tańczyła sambę z Paułem. Na plecach czuł wzrok Alvy'ego, kolumbijskiego ministra, który przyglądał mu się badawczo z rogu pokoju. Gdy Kelley poszedł do baru, Alvy ruszył za nim w milczeniu. Zupełnie jak „czarny charakter” w kiczowatym filmie, w którym wszystko jest przerysowane i przesadzone.

- Mój człowiek powiada, że masz kiepski humor – odezwał się Alvy. Mówił, prawie nie otwierając ust.

Dialogi pewnie dograją później, pomyślał Kelley.

- Jeśli mam domyśleć się, o co chodzi – powiedział – to lepiej, jeśli dostanę scenariusz. Jaki człowiek? Jaki humor?

– Pytano cię o coś w Nowym Jorku.

Kelley zastanawiał się. Nie zabrało mu to wiele czasu. Ze-
edee powiedział w samochodzie: „Kupuję od Chooka, a Cho-
ok kupuje od Alvy'ego...”.

– W porządku, jeśli o mnie chodzi. – Alvy wzruszył ra-
mionami. – Ale Chook, wiesz, on jest zmartwiony, bardzo
zmartwiony. Jeśli chcesz mieć spokój, to daj mu działkę.

– Z czego? – zapytał Kelley.

– Z tego, co tu kupujesz, człowieku.

– Olejek do opalania, kilka pocztówek z gotowym tek-
stem: „Szkoda, że cię tu nie ma”.

– To się okaże. Zależy, z której strony spojrzeć. – Alvy
uśmiechnął się. – Rozumiesz? To wszystko zależy.

– Nie wiem, z której ty patrzysz. I nie obchodzi mnie to.

– A jakbym nie spuszczał oka z twoich poczynań? Też by
cię to nie obchodziło? – spytał Alvy.

– Jeśli nawet, to czy mógłbym cię powstrzymać?

– Och, jasne. – Alvy uśmiechnął się wąską szparką ust.

Kelley nie mógł odgadnąć, gdzie patrzył jego rozmówca,
który odszedł cicho, jak człowiek grający rolę w swoim wła-
snym życiu. Rolę, do której zupełnie nie pasował.

Kelley odwrócił się do baru i nalał sobie jeszcze jedną whi-
sky. Dostrzegł w tłumie Lestera i jego „damy do towarzy-
stwa”. Lecz teraz damy przebrały się w coś niebieskiego, a
Lester promieniał, fruwał, gotów niemal umieścić swoje ini-
cjały na pyzaty m księżycu.

– Zadzwoń do ciebie jutro, dobrze? – powiedział.

Kilka minut po drugiej Kelley postanowił przejść się na górę, na basen. Jednakże decyzja ta pozostała jedynie w sferze planów. Spojrzał w lustro i stwierdził, że nie podoba mu się to, co zobaczył. Oczy miał mętne i zaczerwienione. Wyglądał na pijanego i tak też się czuł.

Przy dużym, pokrytym skórzaną narzutą, łóżku stał telefon. Kelley spojrzął na aparat, zawahał się i wreszcie usiadł na łóżku. Tęsknił za Claire, za jej bezpośredniością, za światłem, które wносиła w jego życie.

– *Tu Claire McCarren. Nie ma mnie w domu. Ale zadzwonią później, aby odebrać twoją wiadomość. Więc, proszę, zostaw informację po usłyszeniu długiego sygnału* – odezwała się automatyczna sekretarka.

Kelley spojrzął na zegarek, ciekawy, gdzie Claire może być o tej porze.

– Przekaż jej, żeby zadzwoniła do mnie do „Palace” – powiedział. – Do hotelu „Palace”. W Rio... Na koszt abonenta... Cholera – rzucił na koniec i odłożył słuchawkę.

Wciąż jeszcze siedział na łóżku, gdy do pokoju weszła jedna z blondynek Lestera. Tweedledum albo Tweedledee, nie wiedział która. Stała przed Kelleyem i bez słowa zaczęła się rozbierać. Powoli i z wdziękiem rzuciła na podłogę niebieską sukienkę. Pod spodem miała jedynie wąskie niebieskie majteczki.

– Chcesz coś przez to powiedzieć? – spytał Kelley. – A może to jest tylko przebiegalnia?

– Mhm. Miałam ciężką noc – odparła z brytyjskim akcentem. – Teraz chciałabym zaznać trochę przyjemności. I zetrzeć z ust smak Lestera.

– Krótko mówiąc – dodał Kelley.

– Krótko mówiąc.

Wziął ją na ogromnym, pokrytym futrami łożku. Wziął ją z energią, jakiej nie spodziewał się o tak późnej porze. Wziął ją, przytłoczony swoimi własnymi problemami i w pełni świadomy, że puszcza się tak samo otwarcie jak ona. I tak samo jak ona potrzebował chwilowego zadowolenia i wytchnienia. Kochali się szaleńczo, aż ich ciała pokryły się potem i oboje zaczęli jęczeć wśród skór i futer.

Mały Huckleberry Finn.

ROZDZIAŁ 17

– Jesteś światowym człowiekiem – powiedział Lester.

Siedzieli nad basenem w ostrym południowym słońcu. Lester nie wyglądał zbyt przytomnie. Obie blondynki też tu były. Ta, z którą figlował Kelley, pływała, rozgarniając wodę długimi, mocnymi uderzeniami ramion. „Mów mi Dee” – powiedziała w nocy. Ta druga, Dum, rozłożyła się na leżaku. Jej odkryte pełne piersi sterczały wyniośle. Duże okrągłe brodawki wyglądały jak oczy. Kelley był absolutnie rozkojarzony.

– Powiem ci coś – klepał dalej Lester. – Znam takich, którzy posikaliby się z wrażenia tutaj. Na przykład moi partnerzy. Albo De Vane. Wyobrażasz sobie wielbnego DeVane'a w tym towarzystwie? O, rany! Straciłby swój bilet do nieba. Ale ty jesteś światowcem. Obracałeś się tu i ówdzie. Słyszałem nawet, że sam jesteś troszkę ekstrawagancki.

– Tak?

– No, ten twój dom w Oyster Bay. – Lester uśmiechnął się szeroko.

Kelley nie widział nic ekstrawaganckiego ani egzotycznego w swoim domu w Oyster Bay. Lecz jeśli Lester tak uważał, a ponadto sprawiało mu to przyjemność. Czemu nie?, pomyślał.

– Innymi słowy – kontynuował Lester – nie sądzę, abyś gadał w Stanach o tym, co tu się dzieje. Oni tam są przekonani, że żyję jak mnich. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Tak, bracie Lesterze – odparł Kelley.

– Świetnie. Właśnie o to. Rzeczą idzie o mój majątek. Za ten cały brazylijski burdel płacę z własnej forsy. Zaś pieniądze korporacji to zupełnie inna sprawa. Bo wiesz, ci ludzie, z którymi teraz robię interesy, są bardzo zasadniczy i pruderyjni. Pieprzą żonę raz na tydzień, w sobotę wieczorem, chyba że zapomną, albo żonę boli głowa, albo w telewizji dają niezły film. Na przykład „Bambi” czy „Królową Śnieżkę”. Kapujesz?

– Tak.

– Mogę wylecieć z własnej firmy tak samo jak ty. Ci faccy wykopią mnie za te... no... moralne bezce... bzece...

– Bezceństwa – odpowiedział Kelley.

– Właśnie. Hej, Dummy! – Zawołał Lester do dziewczyny na leżaku. – Przynieś nam coś na ząb. Kilka piw, jakieś kanapki z kawiozem. Ale z cebulką. Nie zapomnij cebulki.

– Nie zapomnę. Za to tobie będzie się przypominać jeszcze długo potem – odpowiedziała dziewczyna. Wstała powoli z leżaka i zniknęła za drzwiami.

– No dobra. – Lester klasnął w dłonie. – A teraz opowiedz mi tę twoją bajeczkę.

Kelley wyjawiał Quaidowi swoją propozycję i poprosił, na początek, o czterdzieści milionów dolarów.

– Sam nie wiem – odrzekł Lester. – Pożyczę ci forszę, abys spłacił marcowe długi. Ty mi ją zwrócisz w trzech kwartalnych ratach, począwszy od czerwca, tak?

– Dokładnie tak.

– Jeśli w czerwcu nie dostanę pierwszej raty, zabieram twoje linie lotnicze, tak?

– Tak. – Raz jeszcze przytaknął Kelley.

Lester zapatrzył się w wodę. Myślał.

– Cóż... – odezwał się wreszcie. – Na miejscu Federal Airlines walczyłbym z tobą przynajmniej do czerwca.

– Przynajmniej – zgodził się Kelley.

– A więc nic nie powinno się zmienić do czerwca?

– Idę o zakład. Naprawdę nic nie stracisz. Jeśli zwrócę ci forszę, nadal możesz próbować wykupić moje udziały, tak jak to robiłeś do tej pory.

– Więc wiesz o tym? – spytał przeciągle Lester.

– Uhm. Mimo wszystko o wiele łatwiej brać odsetki hurtem, prawda?

– Szybciej i taniej.

– No właśnie. – Kelley ziewnął.

Lester ponownie zerknął na basen. Dee wciąż pływała. W wodzie migał jej żółty kostium.

– Wiesz, co? Zasługujesz na to, żeby cię zatłuc – powiedział leniwie Quaid. – Przecież doskonale wiesz, jak przetrwać. Mógłbyś przeobrazić te swoje linie tak samo, jak ja bym to zrobił.

– Ale wtedy nie byłyby to te same linie – odparł Kelley. – Nie dotrzymałbym słowa.

– Jakiego? Komu je dałeś?

– Samemu sobie. Załodze. Pasażerom.

– Och, daj spokój. Pieprz ich. A co oni ci obiecali, gdy szedłeś do wojska? Honorowy pogrzeb. Sześciu do niesienia trumny i dwóch jako eskorta. To wszystko, co ich zdaniem należy się przyjaciołom. Wiesz, co jest z tobą nie tak, Kelley?

– Nie wiem. Ale ciągle ktoś chce mi to powiedzieć. Wal śmiało. Wyrzuć to z siebie.

– Chcesz być pieprzoną statwą wolności. Mówisz: „Dajcie mi waszych biednych, zmęczonych i słabych”. I masz to, o co prosisz. Dostajesz tych biednych, zmęczonych i słabych. A potem dziwisz się, że przegrywasz wojnę. Przegrywasz, bo trzymasz z przegranymi. Ot co! „Społeczeństwo”. Powiem ci coś, mały. „Społeczeństwo” to dinozaur. Jego dni już przeminęły.

– Może i tak.

Dee wyszła z basenu, wytarła się i usiadła na leżaku. Spojrzała na Kelleya, napotkała jego wzrok i zapaliła papierosa.

– Są rzeczy, o które warto się bić – powiedział Kelley. – Albo przynajmniej próbować. No to co? Robimy ten interes, czy nie?

– Pewnie, że tak – odparł Lester. – Przygotuję umowę. Chcesz działać szybko, więc załatwimy to w ciągu tygodnia.

Gdy Kelley wyszedł na spotkanie z Lesterem, Miranda spała. Teraz, wciąż jeszcze w łóżku, siedziała z filiżanką mocnej czarnej kawy.

– Cześć – mruknęła na powitanie.

Kelley tylko kiwnął głową i zaczął ściągać koszulę. Był spocony i czuł się podłe. Natomiast Miranda wyglądała ładnie i czysto. Obrzuciła Kelleya baczny spojrzeniem.

– Źle poszło, co? – spytała.

– Uhm – mruknął i zdjął białe bawełniane spodnie.

– Dostałeś pieniądze?

– Uhm.

– To dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

– Za czterdzieści milionów dolców – zaczął i cisnął slipy na krzesło – nie kupi się szczęścia – dokończył i ruszył w stronę łazienki.

– Jeśli będziesz susiał, to czy mogę popatrzeć? – spytała Miranda.

Kelley zatrzymał się i wzruszył ramionami.

– Bawi cię to? – rzucił.

– To jest widok, który nigdy mi się nie nudzi. – Poszła za nim do białej marmurowej łazienki i oparła się o drzwi. – Tylko popatrz. Nic dziwnego, że mali chłopcy chcą zostać strażakami, gdy dorosną. A ja mogłabym najwyżej nasusiać na ogień, który tliłby się na moich butach.

– Jesteś perwersyjna.

– To raczej łagodna forma perwersji, zważywszy na to, co dzieje się wokół. A przy okazji, co słychać u Karen?

Kelley podniósł wzrok.

– Uważasz Karen za jedno z moich zboczeń?

Miranda odkręciła wodę w kabinie prysznicowej.

– Ach, co za rozkosz! Gorąca woda! – mruknęła. –

Wybacz, ale muszę splukać z siebie te piżmowe perfumy. Jednakże w każdej chwili mogę ich znów użyć. – Zniknęła w kłębach pary.

Kelley pogrzebał w szaszetce z przyborami do golenia i znalazł opakowanie aspiryny.

– Kto to jest Hitch Ryan? – spytała Miranda.

– Ryan? – Kelley nalał sobie trochę wody z butelki. – Mój dyrektor generalny.

– Tylko?

– Nie wiem, co masz na myśli mówiąc „tylko”. Hitch był na początku jednym z moich dwóch partnerów. W ogóle to znam go z Wietnamu. A czemu pytasz?

Spozza zasłony dochodził tylko plusk wody.

– Czy to jakiś przerażający facet? – spytała wreszcie Miranda.

– Chyba nie. Albo nawet wcale nie. To tylko Karen tak uważa. Nazywa go „ponura kreatura”, co mnie nieodmiennie wkurza. Ale Karen ma tyle wrażliwości i grzeczności, co kot napłakał. Ryan jest w porządku. Zostawiłem go w Paryżu, aby pozafatwiał sprawy związane ze stanowiskiem dla nas na lotnisku. Nie odpowiedziałaś mi, czemu o niego pytasz.

– Zeszłej nocy miałam dziwną rozmowę z Alvym. Pamiętasz go? To ten minister od kokainy.

– Ja bym powiedział raczej, że od alternatywnej religii Lestera. – Kelley odsunął zasłonę. – Chcesz coś słodkiego, malutka? – spytał.

Miranda uśmiechnęła się. Objęła go za szyję i zaczęła gryźć płatek jego ucha.

– Och, mój mały! Jesteś wspaniały! – mruknęła.

Ciało Kelleya zareagowało na te pieszczoty. – No, popatrz!

– zawołała Miranda. – On staje. Już mi się trzęsą nogi.

Kelley jęknął.

– To nie rób tak, żeby stawał – powiedział.

– Przepraszam. Mam odkręcić zimną wodę?

– Jeśli nie nasuwa ci się lepszy pomysł...

– No, możemy porozmawiać. Na przykład powiem ci coś zupełnie niepodniecającego.

– Na przykład: „Alvy”.

– Taaak. – Miranda namydliła pierś Kelleya. – Podeszedł do mnie na tym przyjęciu, kiwnął głową i oznajmił: „Powiedz swojemu przyjacielowi, że pytałem o Hitcha Ryana”. Nie, poczekaj. To było jakoś inaczej. Aha! „Powiedz swemu niewinnemu przyjacielowi...” – Namydlała teraz jego członek.

– Poczekaj moment.

– Chciałbyś!

– Przestań. Co jeszcze powiedział?

– Nic. Ani słowa. Tylko stał i śmiał się. O tak: „Cha! Haha!” A co?

Kelley oparł się o ścianę.

– Nie wiem. Nie wiem, co on wie o Ryanie – powiedział.

– Chodzi ci o to, że ty i Ryan wozicie heroinę?

– Co?! – wrzasnął Kelley. Miranda była zaskoczona. Zarumieniła się niewinnie. Jej rude włosy poskręcały się w loczki pod wpływem wilgoci. – On ci to powiedział? – spytał Kelley.

– Kto? Alvy?

– Daj spokój, Mirando. Nie pora na żarty. Czy on ci to powiedział?

– Chyba się naprawdę zdenerwowałeś – odparła.

Kelley milczał i tylko kręcił głową. – No dobrze. Widzę, że to poważna sprawa. Słyszałam o tym już parę lat temu. No, że ty i jeden okropnie wyglądający facet wozicie heroinę, żeby zdobyć forszę na linie lotnicze.

– Rozumiem. I uwierzyłaś w to?

– Cóż... – Wzruszyła ramionami. – Uważałam, że to podniecające.

– Podniecające! A to dobre! – parsknął Kelley. Patrzyli na siebie, nadzy, w strugach gorącej wody. – Pamiętasz, gdzie to słyszałaś?

– Bardzo dobrze. W Palm Beach u Marcusa i Candy. Byłam tam z moim drugim mężem. Tamten weekend dokładnie wrył mi się w pamięć, bo ten sukinsyn uganiał się wtedy za Monicą Chambers.

Teraz Kelley wyglądał na zaskoczonego.

– Żoną Ripa Chambersa?

– Tak. A Rip usiłował mnie pocieszać. O, rany! Jaki to głupi obleśny piernik! Ale mniejsza o to. Któregoś wieczoru siedzieliśmy przy kolacji i Marcus... no, po prostu to powiedział. Chyba tylko po to, aby napuścić Ripa. Tak sądzę. Bo Rip mówił przedtem, że Federal Airlines litują się nad tobą. No i wtedy Marcus powiedział to na dowód, że oni cię nie doceniają.

– Hm, cóż. Dobry stary Marcus. A Chambers pewnie był zachwycony tą historią?

– Tak. Jak zresztą ze dwadzieścia innych osób. Ta sprawa nabrała rozgłosu.

– Najwidoczniej.

– To wszystko. Masz jeszcze jakieś pytania?

– Jedno. Czy był tam wtedy Zeedee?

– Tak – odparła Miranda. – Czy teraz ja mogę zadać ci jedno pytanie?

– Śmiało.

Bez słowa położyła dłoń na jego czlonku.

ROZDZIAŁ 18

Samolot z Rio wylądował na lotnisku Kennedy'ego w piątek o dziesiątej rano. Miranda postanowiła zostać w Rio. Podjęła tę decyzję po telefonie Paula DuLaca, który zaprosił ich oboje na kolację. Kelley życzył jej szczęścia. Tworzyli z Pauliem interesującą parę.

W czasie powrotnego lotu chodził w tę i z powrotem po pokładzie i zastanawiał się, co zrobił najlepszego. Umowa z Lesterem przypominała obosieczny miecz, a z pozycji Kelleya trudno było przewidzieć, czyje gardło przetnie.

Po wylądowaniu Kelley myślał, aby pójść do biura, lecz w końcu zdecydował, że musi się przespać. Otworzył drzwi mieszkania pochłonięty myślą o kąpieli i łóżku.

Rzucił bagaże na podłogę holu, odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze szczupłym wysokim dwudziestolatkiem, który trzymał w ręce nóż do krojenia chleba.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Młodzieniec był ubrany w zielony podkoszulek i dżinsy. Miał gibkie, kocie ciało włamywacza, lecz coś w jego oczach, w spojrzeniu rzuconym spod grzywy czystych jasnych włosów, w układzie ust,

mówiło Kelleyowi, że chłopak jest uczciwy.

– Ten nóż nie służy do rzucania, synu – powiedział Kelley. – Lepiej go odłóż.

Chłopak uśmiechnął się.

– O, mój Boże – zawołał. – Ja nie jestem włamywaczem, tylko sprzątaczem!

– Kim?

– Pracuję w agencji sprzątaczy Butterfielda – wyjaśnił młodzieniec. Nie bardzo wiedział, co ma zrobić z nożem. – Dostałem klucz od pani, eee... Washington.

Frannie, pomyślał Kelley. Jak zawsze zaradna.

– W porządku. Jak się nazywasz? – zapytał, gdy zdjął płaszcz.

– Lonnie.

– Jak ci idzie walka z brudem, Lonnie? Mogę wejść do kuchni?

– Ale podłoga... Jest nawoskowana.

– A sypialnia?

– Wietrzy się.

– Co takiego?

– Okna są otwarte, a pościel się wietrzy.

– Rozumiem – mruknął Kelley.

Wszedł do sypialni i wyjął zawartość torby podróźnej. Przeszedł do gabinetu, starannie zamknął drzwi za sobą i wyciągnął szufladę biurka. Wyjął zapakowane w folię pudełko czekoladek, otworzył je i uniół wierzchnią warstwę słodyczy. Dwie małe paczuszki trawy były nienaruszone. Uspokojony, przywrócił bombonierkę do pierwotnego stanu i owinął folią. Schował pudełko do teczki, wyszedł z mieszkania i pojechał na lotnisko.

Jednym z licznych talentów Kelleya była umiejętność natychmiastowego zapadania w sen mimo światła, muzyki, gwaru i innych przeszkód. Natomiast w nocy, we własnej sypialni, miał z tym niekiedy poważne trudności.

Gdy Frannie wyszła na obiad, Kelley zdjął marynarkę i wyciągnął się na sofie. Miał to wyćwiczone do perfekcji; wypalał papierosa i spał do drugiej.

Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Och, przepraszam – bąknął Ashe Warner.
- Nic nie szkodzi – odparł Kelley.

Usiadł i ziewnął przeciągle. Warner popijał kawę z firmowego plastikowego kubka Blue Sky. Kelley poczuł chęć na kawę. Podobało mu się ubranie Warnera – garnitur w szkocką kratę, ciemnoszara koszula i czarny jedwabny krawat. Buty lśniły tak, że można było w nich się przejrzeć. Warner skrzywił w uśmiechu opaloną na kortach twarz.

- Jak poszło? – spytał.
- Co?
- No, sprawy. – Wzruszył ramionami.
- Ach, te. A jak niosła wieść gminna?
- Że pojechałeś zapolować na pieniądze.
- W porządku. Całkiem logicznie. I należy z tego wyciągnąć równie logiczny wniosek, że je zdobyłem.
- I nic nie mówisz – powiedział z wyrzutem Warner i uśmiechnął się.
- Właśnie powiedziałem. Ale nigdy nie dzielę skóry na niedźwiedziu. Jak leci z reklamą?

Warner przysiadł na rogu biurka. Wyglądał jak model z czasopisma *Młody biznesmen w pracy*.

– Obawiam się, że trochę szorstko potraktowałem twoją dziewczynę – odparł wreszcie.

– Och! Którą?

– No... pannę McCarren. – Warner wziął głęboki oddech.

– Nie podobały mi się te projekty reklam, Kelley. Gdybyś był tutaj, moglibyśmy to przedyskutować.

– Co więc się stało?

– Ona sama nad tym pracuje. – Warner zmusił się do krzywego uśmiechu. – Sądzę, że widziałeś gazetę.

– Wydrukowane ogłoszenie?

– Kolumnę ogłoszeń reklamowych w *Timesie*.

– Nie. Ale zerknę na to.

– Taaa... – Warner wzruszył ramionami. – To i tak nie zmienia mojej opinii. Chcę, żebyś wiedział, że bardzo mocno przeżyłem tę poważną sprzeczkę.

– Rozumiem. Ale to właśnie prowadzi do szczerzej, uczciwej rywalizacji.

– Hm. Tak. – Warner skończył kawę i zgniół kubek. – Chcesz ze mną rywalizować? – spytał.

– Jasne.

– Mam szukać innej pracy?

– Nie wiem, o co ci chodzi. Że moim zdaniem przegramy? Kiedy? Nie miałem na myśli wiązania ci rąk, Ashe, jeśli o to właśnie pytałeś. Przeważnie jesteś bardzo inteligentny i energiczny. Chciałbym tylko, żebyś był mniej...

– Mniej co?

– Nie wiem. Czasami jesteś za bardzo. – Kelley nie potrafił wyrazić tego słowami.

Właściwe określenie przyszło mu do głowy kilka sekund później, gdy Warner już wyszedł.

– Mniej ambitny – powiedział głośno.

– Przepraszam? – odezwał się ktoś ze zdumieniem.

Kelley odwrócił się i zobaczył swojego „cudownego młodzieńca”, czyli zdolnego informatyka Heidiggera, który stał w drzwiach. Wyglądał zupełnie jak żyrafa; chudy, długi, ze zmierzwioną grzywą i sterczącymi brwiami.

– Chciałeś wejść i przypadkiem usłyszałeś, jak mówię do siebie – zlitował się nad nim Kelley.

– Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

Młodzieniec dał susa w stronę krzesła i usiadł.

Miał na sobie przykurzone drelichowe spodnie z rozsuniętym rozporkiem. Kelley czekał cierpliwie.

– Masz mi coś do powiedzenia? – spytał wreszcie.

– Tak, proszę pana – wybąkał chłopak i zamilkł wpatrzony w ścianę. – Rzecz w tym, że poradziłem sobie z tym – wyrzucił z siebie jednym tchem. – No, z tym bałaganem w komputerze, proszę pana.

– Z sabotażem? – podpowiedział Kelley.

– Tak, proszę pana.

– Jasny gwint! – Kelley spojrzał na niego z podziwem.

Heidigger prawie odważył się podnieść wzrok.

– Myślę, że jednak lepiej będzie zachować to w tajemnicy, proszę pana – wyjąkał. – Bo teraz to oni nie wiedzą, że ja sobie poradziłem, więc nie zmieniają taktyki. Rozumie pan?

– Poczekaj! Co to znaczy „oni”?

– Nie wiem, proszę pana. Wiem tylko to, co już powiedziałem.

– Duża firma? – upewnił się Kelley. Oznaczało to, że mógł to być zarówno Quaid, jak i Federal Airlines. Jedno z dwojga.

– Tak, proszę pana.

– Dobra. Co dalej? I czy mógłbyś nie mówić do mnie „proszę pana” co drugie słowo?

– Tak, proszę pana. To naprawdę przerażające, panie Kelley. To znaczy, że oni mają ten cały niewiarygodny system. Ich komputer pompuje zmyślane nazwiska do naszego i nie tylko do naszego, proszę pana. Także do komputerów w biurach podróży na całym świecie.

– To oczywiste. Mów dalej.

– Wie pan, jak oni to robią? Na tym polega cała sprawa. Byłem absolutnie zaskoczony. Okazało się, że mają program zawierający tysiąc dwieście nazwisk. Ich komputer tasuje je, no... tak jak tasuje się karty, bez jakiegoś określonego porządku.

– Poczekaj. Używają tych samych nazwisk?

– Tak, proszę pana. Wpadłem na to, bo poprosiłem Duka'a o listę osób, które poleciały następnym samolotem. To była sobota rano. Rozumie pan, o co mi chodziło? Jak już wiedziałem na pewno, kto poleciał tym samolotem...

– To wiedziałeś równie dokładnie, kto nie poleciał?

– Właśnie, proszę pana. Tak. Więc zacząłem do nich telefonować. Ja, Duke i Frannie. No i dzwonię do gościa, który nazywa się Marvin Zlotsky i okazuje się, że on już dawno

umarł. Inna osoba, która nie zgłosiła się na lot, okazała się kasą na stadionie Shea. A wie pan, jak się nazywała?

– Wiem. Pani O'Shea.

Heidigger zamarł z otwartymi ustami.

– Frannie panu to powiedziała? – spytał.

– Nie. Mój umysł mi to powiedział. Mów dalej.

– No... więc wprowadziłem te nazwiska do komputera. I spytałem go, czy już się przedtem z nimi zetknął. No i bingo. Pani Shea, bez „O”, proszę pana, rezerwowała u nas dwa tysiące lotów. To są dane z rezerwacji z sześciu miesięcy wstecz i sześciu miesięcy naprzód, bo tylko tak długo je trzymamy. Dałem więc komputerowi polecenie, że jeśli natknie się na nazwisko tej pani, ma je automatycznie wykasować.

– Niesamowite! I powtórzyłeś tę operację z tysiącem dwunastoma nazwiskami?

– Gdy już je wytropiłem, to tak, proszę pana.

– Jesteś absolutnym geniuszem, Bernardzie!

– Tak, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

Kelley spojrział w okno. W tej chwili zdał sobie sprawę z dwóch istotnych rzeczy. Od przynajmniej sześciu miesięcy w jego firmie dokonywano sabotażu. Teraz, gdy można temu zapobiec, rysują się jakieś szanse na przyszłość.

– Bernardzie – zaczął powoli, z namysłem – dostaniesz nagrodę, ale chciałbym, żebyś pomyślał o dwóch innych sprawach. Zorientuj się, czy mógłbyś zdobyć dowód na to, kto to wszystko robił, dobrze?

– Spróbuję, proszę pana. A druga sprawa?

– Och, byłbym zapomniiał. Zapnij sobie rozpiorek.

McDermotta nie było w biurze, lecz księgi powiedziały Kelleyowi wszystko, co chciał wiedzieć. Zły czar przysł. Straty operacyjne z ostatnich dwóch dni spadły. Było to pewne jak dwa razy dwa cztery. Jeśli tak dalej pójdzie, to za parę dni firma zacznie wychodzić na zero. Przynajmniej w skali dziennych operacji. A wszystko dzięki Heideggerowi, który przepędził złe duchy. Może też dzięki Claire...

Kelley kupił *Ti mesa* w stoisku z gazetami i poszedł do „Kapitańskiego Nieba”, małej kafejki ze ścianami obficie udekorowanymi zdjęciami najważniejszych momentów w historii lotnictwa. Usiadł w rogu pod plakatem z Amelią Earhart, „kobietą, która samotnie przeleciała Atlantykę”.

Zamówił to co zwykle; piwo i hamburgera. Rozłożył gazetę z zamiarem przeczytania kolumny z ogłoszeniami reklamowymi. Nagle jego wzrok przykuł nagłówek na trzeciej stronie: WIATR USKOKOWY PRZYCZYNĄ KATASTROFY BOEINGA 727. Wypadek zdarzył się w Nowym Orleanie. Trzydzieści sześć osób zginęło, dwadzieścia dwie były ranne.

Kelley zapalił papierosa.

Rozbity samolot należał do linii, którym proponował swój detektor wiatru uskokowego, lecz one nie chciały go kupić. Powiedziano Kelleyowi, że urządzenie jest zbyt drogie i oni go naprawdę nie potrzebują. Ich ubezpieczenie pokryje straty trzydziestu sześciu ofiar śmiertelnych, ale za detektory musieliby zapłacić sami.

Kelley miał ochotę zamówić dużą whisky i upić się, lecz

zapanował nad sobą. Przerzucił kilka stron, aż znalazł artykuł pod tytułem: TEMPERAMENT ZAMIAST PIENIĘDZY.

Linie Lotnicze Blue Sky walczą o przetrwanie. Do rozgrywek w klasycznej wadze ciężkiej - wprowadziły zawodnika jak do tej pory wagi lekkiej, czyli agencję CALI, prowadzoną przez Claire McCarren. Przez cały tydzień radio emitowało ogłoszenie: TRWA WOJNA POWIETRZNA. JEŚLI ONI WYGRAJĄ, TY STRACISZ. Lecz ten tekst jest jedynie namiastką całej kampanii, która ma na celu zdobycie poparcia społeczeństwa. WOJNA POWIETRZNA TRWA. ZAJMIJ STANOWISKO, KUP BILET W TEJ WOJNIE CHODZI O STAWKI. Przekazywane przez panną McCarren treści są bardzo agresywne. Wciąż jednak pozostaje pytanie, czy nie jest za późno na to wszystko? A może piękna kobieta uratuje Blue Sky?

Kelley podniósł wzrok znad gazety i uśmiechnął się. Moja kochana dziewczyna, pomyślał. Lecz zaraz przypomniał sobie, że Claire nie oddzwoniła po jego telefonie. A może jednak nie moja, tylko Toma Cubbitta? Albo w ogóle niczyja, tylko swoja własna.

– Cześć! Postawisz mi kawę? – spytała Frannie, która niepostrzeżenie usiadła obok niego.

– Nawet cały obiad.

– Nie masz szczęścia, już zjadłam. Jak tam było w Rio?

Kelley opowiedział jej, lecz nie wyglądała na zadowoloną.

– Sama nie wiem – powiedziała. – Zaczęłam o tym wszystkim myśleć, Kelley. I tak się zastanawiam. Ta cała

sprawa z komputerem. Kto za tym stoi? I wyszło mi, że Quaid.

– Nieważne – odparł Kelley. – Teraz to już jego problem. A jeśli uważa, że kupił frajera za swoje pieniądze, tym gorzej dla niego. Dla mnie liczy się tylko czterdzieści milionów dolarów.

– Wiem. Dziś rano telefonował pan Barron z Araco Fuel. Pewnie chciał ci przypomnieć o rachunku za paliwo. Określił cię paroma niecenzuralnymi słowami.

– Strzelaj.

– Cwany, pozbawiony skrupułów sukinsyn.

– W porządku. – Kelley uśmiechnął się. – Ale powiedziałem mu, że zapłacę w ciągu następnych dziesięciu dni i tak będzie.

– Czy mogę to samo przekazać Parke-Bernetowi? Twoja żona kupiła u niego lampę za dwadzieścia osiem tysięcy dolarów.

– Co?!

– Dzisiaj przysłał rachunek. Lampa od Tiffany'ego.

– Jak to miło.

– Czy ona nie wie, że nie masz forsy?

– Cholera! Nawet jeśli wiedziałyby, nie miałyby to dla niej znaczenia. Mów, co jeszcze.

– Claire jest w Kalifornii, gdzie nagrywa reklamy.

– Ach tak?

– Wraca dzisiaj, lotem o ósmej.

– Przypomniałaś mi o czymś. Każ zatankować „Beagle'a”.

Wynajmij mi samochód na lotnisku w Saranac i pokój w „Lodge”.

– Jedziesz na narty? – spytała Frannie.

– Między innymi. – Spojrzał na nią. – Chcę zobaczyć się z Charlie'em.

Czekał przy wyjściu i co chwila patrzył na zegarek, jak typowy człowiek oczekujący na lotnisku. Samolot z Kalifornii miał przylecieć o czasie. Dwie, trzy, cztery minuty spóźnienia i wreszcie pierwsi pasażerowie ukazali się w drzwiach. Połowa z nich wyróżniała się kalifornijską opalenizną i ubiorem, zbyt lekkim na chłody północnego zachodu.

Kelley dostrzegł Claire w ciemnym futrze z norek, nie opaloną i elegancką. Wyglądała lepiej niż ktokolwiek wokół niej. Kelley pomachał jej, a ona pośpieszyła ku niemu z uśmiechem.

Bez słów wziął ją w ramiona. Czuł zapach futra i aromat perfum. Trzymał ją mocno i zamknął oczy, gdy całowali się, a wtedy świat przestał istnieć.

- Hej! – zawołała Claire ze śmiechem.
- Co?
- Stoimy w tłumie ludzi.
- Tęskniłem za tobą.
- Hm. – To mruknięcie zabrzmiało nieco sarkastycznie.

Kelley odsunął dziewczynę od siebie i przyjrzał się jej badawczo.

- Co ma znaczyć to „hm”?
 - Nic – odparła.
- Podniósł walizkę, którą rzuciła na podłogę.
- Masz jeszcze jakieś bagaże? – spytał.
 - Tylko to.

– Dobrze. – Torował drogę przez ludzką ciżbę. Na jak długo wyjeżdżałaś?

– Na dwa dni, od wczoraj rano.

– Ha! – powiedział tylko.

Claire podniosła na niego spokojne zielone oczy.

– Co ma znaczyć to „ha”? – spytała.

– Powiem ci, co oznacza moje „ha”, jeśli mi wyjaśnisz, co oznaczało twoje „hm”.

Roześmiała się wesoło i nagle pocałowała go w policzek.

– To jesteśmy kwita.

– Daj spokój. Nie kręć. Za dwadzieścia pięć minut lecę do Saranac.

Claire zatrzymała się.

– A ja mam ci tyle do powiedzenia.

– Świetnie. To leć ze mną.

– Teraz?

– Dlaczego nie? Jesteś na lotnisku, masz ze sobą szczoteczkę do zębów. Czego ci jeszcze trzeba? – spytał. Dziewczyna milczała. – Dzwoniłem do ciebie. Późno w nocy. I, przyznaję, byłem pijany. Ale też dzwoniłem rano i trzeźwy następnego dnia.

– Wiem. Zaraz oddzwoniłam. Ale odebrała jakaś zaspana kobieta, która ziewała do słuchawki.

– Och...

– Sądziłam, że to Karen, więc nie zostawiłam wiadomości.

– Nie – odparł z uśmiechem. – To nie była żona, to była dama. Jest bardzo dobrym przyjacielem...

– Nie musisz się tłumaczyć.

– Owszem. Muszę.

– Ale ja nie chcę tego słuchać. To nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną.

– Masz absolutną rację.

– A to, co ja robię, też nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną – dodała.

– To mi się podoba – stwierdził Kelley. – Naprawdę bardzo mi się podoba. Tylko dlaczego tak tego nienawidzę?

Claire wzruszyła ramionami.

– Nie możesz mieć wszystkiego, koleś.

– Koleś! Lecisz ze mną do Saranac, koleś? – spytał Kelley.

– Dlaczego? Tylko dlatego, że jestem tutaj i mam szczoteczkę do zębów?

– Nie – odparł. – I nie drażnij się ze mną, Claire. Z niejednego pieca chleb jadłem i wiem, że mogę czegoś oczekiwać od ciebie. Spodziewam się też, że ty będziesz czegoś oczekiwać ode mnie. Jak by nie było, lotnisko jest pełne dziewczyn ze szczoteczką do zębów, koleś, i byłabyś zaskoczona, jak łatwo znalazłbym chętną. Zacznijmy od początku. Chcesz lecieć ze mną, czy nie?

Claire powoli skinęła głową.

Spojrzała na samolot i klasnęła w ręce.

– „Szalona Kaczka” – zawołała ze śmiechem.

– To „Beagle” – sprostował Kelley. – Beagle to pies myśliwski. Popatrz, jakie ma oczy. – Wskazał, sięgając ukośnie w dół okna kabiny.

– Nie. To dziobak – upierała się Claire.

– Nie ma dzioba, tylko psi pysk.

Claire wspięła się do kabiny i dokładnie obejrzała wnętrze;

skórzaną tapicerkę i umeblowanie, składające się z dwóch przeciwległych kanap i dwóch foteli.

– Tam jest barek i sprzęt stereo – objaśnił Kelley. – Sięgnij do lodówki, jeśli jesteś głodna. Przejdź się po pokładzie. Nie musisz siedzieć w kabinie.

– Nie muszę?

– Tylko podczas startu – odparł. – A jeśli będzie słychać dziwne odgłosy i zacznę się bać, to możesz potrzymać mnie za rękę.

Znów w powietrzu. Gwiazdy, księżyc, muzyka i... Claire. Z dała od ziemi. Po raz pierwszy od tygodni, miesięcy, a może nawet lat, Kelley czuł się szczęśliwy. I jeszcze coś. Dostrzegł szansę na szczęśliwe życie tam, na ziemi. Wreszcie szczęśliwe. W domu.

Claire przyniosła kilka puszek coli.

– Mówiłaś, że masz mi tyle do opowiadania – zagadnął i sięgnął po szklankę.

– To może poczekać. – Usiadła i zapatrzyła się w okno. – Podobno jesteś facetem, który wyrzuca ludzi przez okna.

– Ale ze spadochronem – odrzekł. – Nie jestem barbarzyńcą. Zechcesz mi wreszcie powiedzieć, o co chodzi?

– Temat brzmi: „Jak wydałam twoje sześćdziesiąt tysięcy dolarów”.

– Kupiłaś jakieś lampy? – spytał przeciągle.

– Lampy?!

– Nieważne – powiedział szybko. – Nagrałaś reklamy radiowe i kupiłaś prawa do piosenki, a Ashe Warner dostał ataku serca.

– Ach, więc pewnie wiesz już o wszystkim.

– Nie. Wiem tylko, że dostałaś pieniądze od McDermotta i powiedziałaś mu, że masz moją zgodę mna ten materiał. Więc nie mogłem go wypytywać, prawda? Powiedziałem tylko: „Tak. Myślę, że to jest naprawdę świetne”.

– Prosiłam cię, abys przejrzał ten materiał, a ty powiedziałeś, że nie trzeba. A ja musiałam zacząć działać, bo Stallone...

– Stallone?

– Tak. Stary Sly we własnej osobie nagrał twoją reklamę.

– Rocky?

– Rocky. Śpiewał i tańczył.

– W radio?

– No... skłamałam co do tańca.

– Mogę tego posłuchać?

– Jasne. Masz magnetofon szpulowy?

– Na pokładzie? Nie.

– Więc będziesz musiał poczekać.

– Naprawdę zdobyłaś Sylwestra Stallone?

– Naprawdę. I Billy'ego Martina. Sugar Ray Leonarda i Muhammada Ali. Naprawdę.

Kelley spojrział na nią i zamrugał.

– A co z Michaeliem Jacksonem, Frankiem Sinatrą i Wyattem Earpem?

– W przyszłym tygodniu – odrzekła. – Dopiero zaczęłam. Daj mi trochę czasu.

ROZDZIAŁ 19

Popołudnie było takie, jakie powinno być prawdziwe zimowe popołudnie. Jasne, zimne, ze słońcem błyskającym na śniegu i lodową szadzią, tworzącą koronkowe wzory na gałęziach drzew.

W samochodzie grała muzyka, a za oknami przesuwała się wiejska droga, kręta i górzysta, wiodąca pośród zamrzniętych krzewów, kęp jodeł i nagich, pozbawionych liści, klonów.

Kelley dodał gazu. Czuł się radosny, wyzwolony, przeniesiony w czasie do niedawnych chwil pełnych cudownej, słodkiej rozkoszy. Poprzednia noc rozgrzała go i obudziła do życia i szukania nowych możliwości. Długa zima jego życia przechodziła w wiosnę, a on sam czuł się młodszy z minuty na minutę. Zastanawiał się, czy Charlie czuł coś podobnego w stosunku do Margaret. Bo Margaret przyszła po Tinie, tak jak Claire przyszła po Karen. Życie samo wybiera sobie swój początek i zmusza człowieka do zjedzenia szpinaku przed deserem. A wtedy nagle wrywa obrus i wszystkie talerze lądują z trzaskiem na podłodze.

Samochód wspiął się na pokryte śniegiem wzgórze. Drzewa przerzedziły się, a po lewej stronie drogi ukazała się czerwona stodoła jaśniejąca na białym, śnieżnym tle. Za nią widniała siedziba Strykerów. Z komina snuł się dym, którego mlecznobiała arabeska spowijała jodły w pobliżu domu. Charlie kupił go w latach siedemdziesiątych. „Na stare lata”, jak mawiał.

Kelley podjechał pod dom i zaparkował przy drewnianej ścianie z czerwonymi okiennicami. Front domu zdobił okazały ganek.

Z wnętrza dochodziły tęskne, płaczliwe tony gitary. Margaret, która otworzyła drzwi, była szczuplejsza niż zwykle, lecz wyraźnie zadowolona z wizyty Kelleya. Mroźne powietrze wypełniło się smakowitymi kuchennymi zapachami, cudownym koktajlem aromatów pieczonego indyka i szarlotki.

Kelley objął Margaret na powitanie, a ona przytrzymała go trochę za mocno i sekundę dłużej, niż należało. Wywnioskował z tego, że rzeczy mają się gorzej, niż myślał.

Margaret odsunęła się od niego i uśmiechnęła serdecznie. Kelley nigdy nie zastanawiał się nad jej psychiką i intelektem, lecz teraz wyraz jej twarzy zaskoczył go; poważne, rzeźbione rysy, świadczyły o głębokiej inteligencji, i ciepłe rozumne oczy. Długie ciemne włosy spłotła w warkocz, odrzucony na plecy, a jej wysoka smukła postać wyglądała królewsko, nawet w rozciągniętym swetrze i starych dżinsach.

– Nie muszę ci mówić, jak to dobrze znów cię zobaczyć – powiedziała z westchnieniem. – A teraz chodź do Charlie'ego.

– Ton jej głosu pozostał jasny i czysty.

Przeszli przez salonik, gdzie Charlie Junior grał na gitarze. Ten dwunastoletni rudy dryblas był niesamowicie wprost podobny do ojca.

- Cześć, Zielony – pozdrowił wchodzącego gościa.
- Cześć, Czerwony – odparł Kelley.

Pięć lat temu chłopiec miał siedem lat. A czternaście lat temu Margaret weszła do biura Blue Sky. Właśnie ukończyła studia i szukała pracy.

Kelley podążył za nią do sypialni. Charlie siedział przy kominku z nogami okrytymi żółtym wełnianym pledem. Kelley poczuł nagły skurcz bólu. Większość bujnych rudych włosów Charlie'ego znikła, a całe ciało skurczyło się. I choć Charlie miał zaledwie czterdzieści trzy lata, teraz łysiejący i wyścieńczony, wyglądał na sześćdziesiąt. Kelleyem targnęła bezradna wściekłość na los.

- Jak się czujesz? – spytał.
- Dokładnie tak, jak wyglądam – odparł Charlie.

W pokoju było gorąco. Prócz rozpalonego kominka działał jeszcze piecyk. Kelley zdjął marynarkę i przyciągnął sobie fotel.

– Nie mam dzisiaj chemoterapii – powiedział Charlie. – Uważam, że człowieka zabija nie ten pieprzony rak, ale ta cholerna, gówniana chemia.

- To się kiedyś skończy – odparł Kelley.
- W ten czy inny sposób.
- Cholera! – mruknął Kelley.
- A co powiecie na drinka albo herbatę? Albo gorącą czekoladę z pływającymi w niej bezami?

– Pewnie. Dlaczego masz być czterdziestokilogramowym mizerakiem? Pij tran! Będziesz silny! Pięś tran jako dziecko?

– Samogona ze zboża.

Margaret wyszła z pokoju.

– Jak leci? – spytał Charlie.

– U mnie, czy w ogóle?

– W ogóle. Powiedz mi, jak się żyje.

– Z problemami, ale życie jest tego warte.

– Wiem coś o tym, stary.

– Lepiej niż ja – powiedział Kelley.

– Święta prawda.

Obaj zapatrzyli się w ogień.

Potem Kelley zaczął opowiadać. O Claire, o liniach lotniczych, a na końcu o sabotażu i pożyczce od Quaida.

– Więc do czerwca mamy spokój? – zapytał Charlie.

– Jeśli Lester z czymś nie wyskoczy.

– A następną górę zdobędziemy, gdy już dotrzemy do niej, co?

– Rozsądna polityka – wtrąciła Margaret, która weszła do pokoju z dużymi kubkami na tacy. – Nasz syn – zwróciła się do Charlie'ego – pojechał właśnie do Annabell Norton, aby „się uczyć”, jak to określił. Nie wydaje ci się to intrygujące?

– Niemożliwe! – Charlie roześmiał się. – Wygląda na to, że mój syn przejawia przedziwne zainteresowanie algebrą.

– Nie interesowałaś się algebrą, jak miałaś dwanaście lat? – spytał Kelley i sięgnął po jeden z kubków.

– Nie. Zupełnie. Do chwili, gdy dziewczyna, która usiadła koło mnie na meczu, nie włożyła mi ręki między nogi.

Miałem chyba z piętnaście lat. Och, ta dzisiejsza młodzież! Dzieci też rodzą w wieku piętnastu lat.

Margaret usiadła na poduszce przy nogach Charlie'ego i patrzyła w ogień.

– W związku z tym mamy teraz dziesięcioletniego pijaka – kontynuował Charlie – i sześciolatkę, no... jak to nazwalibyśmy Rebeccę? – zwrócił się do Margaret.

– Bezwstydnicą, nimfetką – odpowiedziała, zapytana.

– Co to za kawał? – zagadnął Kelley.

– Opowiedz mi, Maggie, dobrze? Ja jestem zmęczony. – Margaret spojrzała na niego z niepokojem.

– Zmęczony powtarzaniem tej historii – wyjaśnił.

– Mam tu nowego szeryfa – zaczęła Margaret. – Nazywa się McGinty i propaguje hasło „Żyjmy w czystości”. Obawia się, że nasz okręg pełen pensjonatów dla narciarzy i „obcych”, jak nazywa wszystkich, którzy nie urodzili się w tutejszych lasach, przeistacza się w Sodomę i Gomorę. Wywłókł paru ćpunów z okolicznych barów, co wzbudziło ogólny aplauz. Ale na tym nie koniec. Aresztował parę dorosłych ludzi, którzy kochali się w samochodzie. Co ciekawe, w promieniu siedemdziesięciu kilometrów od nich nie było żywego ducha. Znamy tych ludzi. To Georgia i Ed. Są małżeństwem od dwudziestu lat i pomyśleli sobie, że tak akurat będzie śmieszniej. Ot, niewinne wygłupy. Ale McGinty nie wie, co to wygłupy i zabawa.

– A potem – wtrącił Charlie – aresztował naszego syna.

- Billy'ego – dodała Margaret.
- Małego Billy'ego. Smarkacz ściągnął z domu baryłkę piwa. Chciał spróbować, jak to smakuje. Jego koledzy też byli ciekawi, więc zataszczyli ją do lasu.
- I urznęli się – opowiadała dalej Margaret. – Wyobrażasz sobie? Musiałam iść do sądu i wyjaśniać, że nie trzymam piwa pod kluczem, a chłopcy to po prostu chłopcy. Psotni i tyle. Ale od tego czasu szeryf McGinty ma na nas oko. Uważa nas za „radykałów z południa”, bez względu na to, co to ma oznaczać. Bo ja nigdy nie byłam pewna, co to oznacza. Pewnie to, że przyjechaliśmy z Manhattanu, a więc żadna odmiana rozpuisty nie jest nam obca. Może otworzymy burdel w stodole albo obalimy rząd? McGinty nie ma pewności. Czy to nie Dickens powiedział, że „prawo jest głupie”?

Potem rozmawiali o pozostałych dzieciach Strykerów; o małej Becky, która chce zostać aktorką albo astronautką, lecz jeszcze się nie zdecydowała. I o Charlie'em Juniorze, który był urodzonym „bombowcem”, więc musiał zostać pilotem, a następnie jednym z nowych dyrektorów Blue Sky.

Kelley popijał słodki napój i rozmyślał, że nie będzie następnego pokolenia Kelleyów, może nie będzie też starego pokolenia Strykerów, ale z pewnością będzie, czuł to, Blue Sky.

Stryker był wyczerpany. Margaret wstała, żeby, jak powiedziała, podać tłuszczem indyka, i dała Kelleyowi dyskretny znak oczami.

- Przywiozłem ci prezent – odezwał się Kelley, gdy wyszła. – Mam go w samochodzie.

Gdy szedł dróżką po skrzypiącym śniegu, myślał o narwanym szeryfie, „radykałach z południa” i małym Billym.

Otworzył schowek w aucie i wyjął pudełko czekoladek, owinięte w folię. Posiadanie narkotyków było dużym ryzykiem w stanie Nowy Jork. Ilość do dwustu pięćdziesięciu gramów była karana rokiem więzienia lub tysiąc dolarową grzywną. Oczywiście żaden sędzia na świecie nie wsadziłby Charlie'ego do więzienia, lecz posiadanie ilości większej od dwustu pięćdziesięciu gramów przestawało być wykroczeniem, a stawało się przestępstwem. Sposobem na to było podzielenie małego zawiniątka na dwie części. Zresztą dwieście pięćdziesiąt gramów to mnóstwo palenia i mnóstwo antidotum na chemoterapię. Gdyby Charlie potrzebował więcej, cóż... Kelley wiedział, gdzie szukać.

Otworzył pudełko, wyjął spod czekoladek jedną paczuszkę, tę, którą już przedtem otworzył, aby zapalić, i schował ją w skrytce.

Margaret była w kuchni i rozmawiała przez telefon.

– Słodczyce dla łakomczucha – powiedział Kelley Charlie'emu i zdjął ozdobne wieczko bombonierki.

– Mój Boże! – zawołał Charlie. – Zrobiłeś to. Uratowałeś mi życie. To jedyna rzecz, jaka powstrzymuje mnie od wyrzucania własnych flaków.

– Wiem. A prawo jest głupie. Ale bądź ostrożny, dobrze? – powiedział Kelley, wciąż stojąc.

– Rozumiem, że wychodzisz?

– Jestem z dziewczyną, Charlie.

– Tą właśnie dziewczyną?

– Tak. I chciałbym, naprawdę chciałbym, przywieźć ją

tu jutro. Pomyśl o tym, Charlie. Zapalisz sobie dwa skręty i jutro do mnie zadzwonisz.

Pensjonat „Lodge” był usytuowany na szczycie wzgórza. Otaczały go drzewa porastające stok, który schodził do jeziora pod niewiarygodnie stromym kątem. Jezioro zamarzło teraz i połyskiwało lekko w południowym słońcu.

Kelley wybrał to miejsce z powodu jego bezpretensjonalności i prostoty. Stare, w większości antyczne, meble i świetne jedzenie. Od czasu gdy odkrył ten hotel w początkach lat siedemdziesiątych, ceny za pobyt wzrosły niemal pięciokrotnie. Jednakże wciąż jeszcze był to pensjonat w starym, dobrym stylu. Miejsce, do którego przyjeżdżają ludzie z zamiarem pojeżdżenia sobie na nartach. I nie tylko. Było to także miejsce, gdzie w ogromnych kominkach buzował wesoły ogień, bar serwował trunki tylko do zakończenia kolacji, a wieczorną ciszę wypełniał klasyczny jazz, wykonywany na pianinie z niewielką pomocą wibrafonu i kontrabas.

Kelley szukał Claire najpierw w barze, potem w restauracji, a wreszcie w obszernym holu, gdzie siedział właściciel, krzepki sześćdziesięciolatek o sprężystym ciele narciarza i posiekanej wiatrem twarzy.

– Szuka pan swojej pani? – zapytał domyślnie. – Jest na stoku.

Kelley poszedł do swojego pokoju, przebrał się, wziął narty ze schowka i podjechał do wyciągu. Podniósł wzrok na wysokie białe zbocze. Dostrzegł Claire, ubraną w miedzianozłoty

kombinezon, który zafundował jej dziś rano. Zjeżdżała precyzyjnie, płynnymi skrętami, trąc śnieżny puch. Kelley zmrużył oczy przed rażącym blaskiem słońca i obserwował dziewczynę i jej wdzięczne ruchy aż do chwili, gdy zatrzymała się kilka metrów przed nim.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział. – Świetnie ci idzie. Chcesz piwa, czy wolisz wracać na szczyt?

Claire ściągnęła czapeczkę i potrząsnęła włosami. Policzki miała zaróżowione i jakby wypolerowane przez wiatr. Wyglądała cudownie.

– Nie wiem – odparła. – Nie jestem pewna, jak nam wyjdzie wspólne zjeżdżanie. Pewnie jesteś za szybki dla mnie.

– Skąd wiesz, czy jestem szybki?

– Widziałam już parę rzeczy, które robiłeś. I sądząc po tym, wydaje mi się, że jesteś...

– Uważaj – ostrzegł ją Kelley – bo powiesz coś za szybko.

– Ekspertem – wykręciła się ze śmiechem. – Wzbudzającym strach i podziw.

– A, jeśli tak, to w porządku. Chodźmy.

Na początku zabrał ją na łatwą trasę zwaną „pewniakiem”. Claire jechała spokojnie i umiejętnie. Gdy Kelley przyśpieszył, pognęła za nim z łatwością.

Następny zjazd był trudniejszy. Kelley sunął z prędkością nieco mniejszą niż zwykle, a Claire jechała równo za nim, deptając mu po piętach.

Potem zjechali jeszcze trzykrotnie.

– Mają tu trasę, którą nazywają „upadek” – powiedział.

– Nie będę próbowała – odparła Claire.

– Nawet bym ci nie pozwolił.

Wjechał na szczyt i spojrzął w dół. Widział Claire, podobną do miedzianego pieniążka na śniegu. Zerknął na trasę. Ponad sto dwadzieścia metrów niemal pionowo w dół, a potem ostry zakręt w prawo. Kelley odetchnął głęboko, odepchnął się kijkami i pomknął z wiatrem w zawody. Prąd powietrza chłostał mu twarz i ciało i dawał świadomość życia, wolności i szalonego lotu po zboczu góry.

Za oknami miękko opadały śnieżne płatki, a w kominku trzaskał ogień. Kelley leżał obok Claire i rozmyślał o szczęściu.

Szczęście dzieli się na Czas i Szansę. Gdyby Rosetti nie odszedł, gdyby Kelley nie odwiedził Zeedee'ego, gdyby Claire nigdy nie spotkała Cubbitta, który ją tam przyprowadził, a więc gdyby Cubbitt nie znał Zeedee'ego... Nieskończona przypadkowość zdarzeń.

Albo i nie.

To wszystko przypominało kalejdoskop. Wzory układają się i natychmiast znikają. Claire, łóżko, pokój, ogień i chwilowy spokój w toczącej się bitwie stanowiły po prostu następny przypadkowy obrazek. Nawet gdyby opatrzyć go napisem: „Nie dotykać! Zachować ten wzór!”, rysowały się nikłe szanse, aby wszechświat zwrócił na niego uwagę.

Claire poruszyła się i spojrzała z troską na Kelleya.

- O czym myślisz? – spytała.
- O tym, że na mojej ręce siedzi żywy motyl i nie chcę się ruszać, aby go nie spłoszyć.
- Rozumiem. Chcesz, żeby motyl umarł z głodu?

– To jednak prawda, że kobiety są praktyczne.

Wstał i poszedł do małej kuchenki, gdzie obsługa przygotowała tacę z przekąskami i schowała ją do lodówki.

– Czy to zaspokoi choć na chwilę twój głód? – spytał.

Położył się z powrotem, podciągnął kołdrę i oparł się na łokciu. Obserwował Claire, która rzuciła się najedzenie z radosną przyjemnością.

– Chcesz trochę? – zapytała. Kelley potrząsnął głową. – Wciąż myślisz, że masz tego motyla?

– Pewnie. Właśnie uległ metamorfozie. Gąsienica przeobraziła się w motyla, a motyl w świnkę – oznajmił.

Dziewczyna roześmiała się i cisnęła w niego krewetką.

– Chcesz walczyć przy pomocy jedzenia? – rzucił.

– Nie. – Śmiała się coraz bardziej. – Chyba nie. – I rzuciła w niego kulką z sera.

– Uważaj! – zawołał. – Niełatwo się złoszczę, ale mój gniew bywa straszliwy. – Złapał krakersa i trzymał go ostrzegawczo w ręce. – Wyląduj na twoim nosie – zagroził i w tym momencie oberwał kawałkiem pasztetu. – Miarka się przebrała. Wpadłaś w prawdziwe tarapaty, dziewczynko.

– Powiem mamusi.

– Za późno – ryknął i wysmarował kawiosem jej pierś. – Ojej! Szkoda byłoby zmarnować tyle dobra – powiedział i zaczął zlizywać kawior, podczas gdy Claire zanosila się śmiechem. – Poddajesz się?

– Całkowicie.

– Na zawsze?

- Na zawsze.
- Dopóki śmierć nas nie rozłączy?

Claire spojrzała na niego zdziwiona.

- Co ty gadasz? – spytała.
- Chodzi mi o to, czy będziesz moją staruszką?

Wzrok dziewczyny stał się ostrożny.

- Wyjaśnij określenie „staruszka” – zażądała.
- Zgarbiona, pomarszczona, z brązowymi plamami...
- Blee... Blee...
- Nie żadne „blee”. Mówisz o kobiecie, którą kocham.
- Och! – powiedziała Claire.

Oboje milczeli przez chwilę.

– No dobra – mruknął wreszcie Kelley. – To był tylko pomysł.

- Przelotne wyobrażenie, tak.
- Nie.

– No to chyba mamy poważny problem. Nienawidzę o tym mówić, ale to jest punkt pod tytułem: „Jesteś żonaty”. Chyba że to nie były oświadczenia, a tylko taka sobie luźna propozycja.

- Musimy wziąć ślub – powiedział. – Nie sądzisz?
- Sądzę.
- Ja też. – Bawił się jej włosami. – A co z twoim dzieckiem?

– Z Markiem? Jesteście stworzeni dla siebie.

– A jakby tak zrobić trochę więcej?

– Dzieci?

– Uhm.

Roześmiała się.

- Już myślałam, że nie będę miała okazji.

– Do diabła! Mogę ci dać sześćset albo nawet siedemset okazji na miesiąc. Ale muszę ci coś powiedzieć. Karen zechce puścić mnie z torbami. Będzie walczyć o kilka milionów dolarów i o każdy dostępny rodzaj autoreklamy. Nie chcę więc zaczynać tej całej awantury, dopóki firma nie stanie na nogach.

– Czyli co? Mamy się ukrywać?

– Jeśli już o tym mowa, to przecież możemy to robić w wybitnie klasyczny sposób. Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale nie chcę pakować się w rozwód i procesy majątkowe aż do lata. Czyli do momentu, kiedy spłacę Lesterowi pierwszą ratę i zrobię pewną małą sztuczkę. W przeciwnym razie Karen zablokuje aktywa, których potrzebuję. Nie mogę pozwolić, aby zarznęła moją firmę.

– Wiem.

– To ważne dla mnie, Claire.

– Wiem.

– Chcę, żebyś naprawdę zdawała sobie sprawę z tego, jakie to ważne. Myślę, że chodzi o moje życie. Nie wiem, kim byłbym bez tych linii.

– Nie wiesz? – Usiadła na wprost niego, podciągnęła nogi i oparła głowę na kolanach. Zerknęła spod grzywy ciemnych włosów. – Pomyśl o tym. Naprawdę. Gdyby wszystko szlag trafił, to co byś robił?

– Nie wiem. – Przeniósł wzrok na kominek i zapatrzył się w ogień. – Chyba zacząłbym od nowa. Wciąż mam swoją pierwszą „Dakotę”, schowaną pod pokrowcem. Ale nie wiem, Claire. Nie wiem, czy nie byłbym już na to za stary. – Wzruszył ramionami. – Ale tak się nie stanie. Dostałem pieniądze

od Quaida. I widzę wyjście z sytuacji. – Spojrzał na dziewczynę i uśmiechnął się. – A poza tym jestem głodny.

- Chcesz iść na kolację?
- Potem.

Wracali z kolacji boczną drogą. W samochodzie grało radio, a księżyc świecił tak jasno, że można było czytać. Śnieg iskrzył w jego blasku, a sosny ubrane w białe czapy wyglądały jak czarodziejski las z bożonarodzeniowej kolędy. Kelley czuł się uduchowiony, chciał śpiewać. „Cicha... święta...”. Był pełen spokoju i jasności. Właśnie takie słowa majaczyły mu w pamięci. Zastanawiał się, czy tak to szło.

– Niech twe dni dziś będą jasne i pogodne – powiedział na głos.

- Jesteś pijany – stwierdziła Claire.
- Tak. Tobą.

Oparła głowę na jego ramieniu. Była szampańsko szczęśliwa, ospała, rozleniwiona i tak spokojna jak on.

W powietrzu drgał słaby, wysoki dźwięk, jakby świst wiatru, nocny szept czy płacz mniej szczęśliwych od nich kochanków. Kelley podkręcił radio i dźwięk zatonął w muzyce.

Droga była kręta. Światła reflektorów wydobywały z ciemności pnie drzew i przerażone oczy zajęcy, które zamierały na moment z trwogi, a następnie uciekały na oślep.

Słyszany poprzednio dźwięk powrócił. Stał się zbyt realny, aby go zlekceważyć. Kelley ujrzał w lusterku samochód

policyjny, który ryczał całą mocą silnika i błyskał światłami. Uległ najgłupszemu odruchowi w życiu i nacisnął hamulec.

Claire usiadła, gwałtownie wyrwana z drzemki. Spojrzała na Kelleya, zerknęła w lusterko i wyłączyła radio.

– Jesteś stuknięty – powiedziała.

– Masz rację. – Zwolnił i samochód toczył się teraz powoli wzdłuż drogi. – Pamiętaj – rzucił szybko Kelley. – Nigdy w życiu nie słyszałaś o Charliem Strykerze.

Claire spojrzała zaskoczona. Kelley zapalił papierosa i czekał, aż potężny, barczysty policjant ukaże się w oknie. Promień latarki smagnął Kelleya po oczach, a następnie przesunął się po twarzy Claire. Kelley zauważył odznakę szeryfa na kurtce mężczyzny oraz plakietkę z nazwiskiem „McGinty”.

– No, dobra. To gdzie ten pożar? – spytał leniwie szeryf.

Kelley nie odpowiedział, lecz najwidoczniej McGinty był konkretnym i prozaicznym facetem. Chciał wiedzieć, gdzie jest pożar, a więc powtórzył pytanie.

– Gdyby gdzieś się paliło – odparł Kelley – i tak nie zdążyłbym na czas. Jechałem zaledwie osiemdziesiątką.

– A tu jest ograniczenie do sześćdziesięciu pięciu.

– Nie wiedziałem.

– Aha. Więc jest pan ślepy – stwierdził McGinty. – Tu wszędzie stoją znaki. A poza tym głuchy, bo nie słyszał pan syreny policyjnej.

- Miałem włączone radio.
- Proszę okazać prawo jazdy. Zobaczę, czy jest tam napisane, że jest pan ślepy i głuchy.

Kelley podał mu dokumenty. McGinty obejrzał je w świetle latarki i pokiwał głową z dezaprobatą.

– Jesteście z miasta, co? Przyjeżdżacie na wieś i od razu wprowadzacie tu anarchię. Zawsze tak jest – oświadczył z przekonaniem. Kelley milczał. – Dowód rejestracyjny proszę.

- Samochód jest z wypożyczalni.
- No to obejrzymy sobie odpowiednie papiery.

O, cholera, pomyślał Kelley. Przeglądał portfel i udawał, że czegoś szuka. Przeciągał tę grę tak długo, jak mógł. W końcu wzruszył ramionami.

- Musiałem zostawić je w pensjonacie.

McGinty spojrział groźnie.

– Wysiadać – rozkazał. – Ale już. Rączki w górę i oprzeć się o...

– Na litość boską – jęknęła Claire. – Widziałam je w schowku na rękawiczki.

I zanim Kelley zdążył ją ostrzec, nacisnęła zamek. Plama światła z małej latarki McGinty'ego spoczęła na torebeczce z francuską marihuaną.

ROZDZIAŁ 20

Spokojna zimowa noc przeistoczyła się w koszmar. Kelleya sfotografowano, zdjęto mu odciski palców i zarejestrowano. Patrzył bezradnie, jak spisywano Claire, która potem została gdzieś zabrana. Skorzystał z prawa do jednego telefonu i zadzwonił do Aba Wagnera, swojego adwokata w Nowym Jorku. Ab wysłuchał go w milczeniu.

– O, cholera – powiedział wreszcie. – Trzymaj gębę na kłódkę. Biorę samolot i lecę do ciebie.

Miejscowi fotoreporterzy zaczęli nadciągać około północy. Zadawali pytania, na które nie miał prawa odpowiadać, i z całą swobodą wtykali kamery i lampy między kraty. Przyparty do muru, Kelley miał tylko dwa wyjścia. Mógł spojrzeć im prosto w oczy i próbować kryć się przed obiektywem. Wybrał metodę pośrednią. Wyciągnął się na koi, zapalił papierosa i rozłożył gazetę sportową, którą jakiś inny aresztowany pozostawił w celi.

– Kelley na wczasach – parsknął któryś z reporterów.
Kelley mógł wyobrazić sobie zdjęcie z takim właśnie

podpisem. Wiedział, że ta historia będzie w każdym niedziel-
nym wydaniu gazet na całym świecie. Parszywy żart ze strony
losu. Czołowe zderzenie czasu i miejsca. I Claire, uwikłana w
tę sytuację... Z wisielczym humorem stwierdził, że kiedy on
rozmyśla o Claire, dziennikarze fotografują go czytającego
artykuł „Co czeka futbol uniwersytecki?”

Oskarżenie było gotowe w poniedziałek o dwunastej. Ab
przywiózł maszynkę do golenia, lecz szeryf nie pozwolił dać
jej Kelley owi, gdyż przyjął bardzo wiarygodne założenie, iż
ten podejrzenie sobie gardło urządzeniem na baterie. Tak więc
Kelley wyglądał ponuro i złowieszczo, co najwidoczniej leża-
ło w intencji szeryfa McGinty'ego.

Claire ujrzał po raz pierwszy w małej sali sądu okręgowego.
Pomieszczenie było nabite dziennikarzami. Kelley rozej-
rzał się i wśród tłumu wyłowił Cubbitta i Zeedee'ego, dwóch
jasnowłosych playboyów, wyróżniających się spośród bez-
barwnej gawiedzi. Ale jak, u diabła, dostali się tutaj? Czyżby
Claire zadzwoniła do Cubbitta?, zastanawiał się.

Odwrócił się do Claire. Pomiedzy nimi siedział Ab, oparty
na długim dębowym stole, zarezerwowanym dla obrony. Wy-
glądał bardzo elegancko w szarym flanelowym garniturze i ze
starannie przygładzonymi włosami. Kelley pochylił się i
chwycił dłoń Claire, a reporterzy zaczęli notować.

- Wybacz mi – szepnął.
- To moja wina. Jak idiotka otworzyłam...
- Nie mów głupstw.

- Mój ojciec jest tutaj – powiedziała Claire.
- Gdzie?

Podążył za jej wzrokiem ku mężczyźnie, który wyglądał dokładnie tak, jak go opisywała. Duży, niedźwiedziowaty, z siwiejącą blond czupryną i spokojną, wręcz flegmatyczną twarzą. Przyglądał się Kelleyowi spod bladych krzaczastych brwi.

– Dzwoniłam do niego – wyjaśniła Claire. – Po prostu nie mogłam znieść myśli, że dowie się tego wszystkiego z gazet i telewizji, ale nie przypuszczałam, że przyjedzie.

Sędzia poprosił o spokój.

– Rozumiesz – powiedział szeptem Ab. – To tylko odczytanie aktu oskarżenia. Bez względu na to, co się stanie...

– Tylko uwolnij Claire – mruknął Kelley.

– Mówiłeś mi. A ja ci mówię, żebyś się uspokoił. Żadne buzi-buzi ani łapanie za rączkę, dobrze? Musimy utrzymywać, że ona była tam służbowo, inaczej sąd przyjmie za pewnik, że połowa działki należała do niej.

Oboje, Claire i Kelley, zostali oskarżeni o poważne wykroczenie, sklasyfikowane jako „posiadanie narkotyków”.

Ab wniósł o uniewinnienie obojga, a następnie udał się na naradę z sędzią i prokuratorem okręgowym.

Kelley wyszedł na papierosa do obskurnego holu, gdzie przez cały czas był pod strażą. Ab kazał mu trzymać się z dala od Claire. Przyznał też, że to on wezwał Cubbitta. „Niech udaje narzeczonego” – powiedział.

Claire stała w towarzystwie ojca i Cubbitta, który starał się

wyglądać na „narzeczonego” i obejmował ją ramieniem. A potem Claire i Cubbitt rozmawiali na osobności, a ojciec oparł się o ścianę, skrzyżował ręce na piersi i ponuro zezował na Kelleya.

Kelley starał się wytrzymać to spojrzenie i nadać swojemu wyraz bezgranicznej skruchy.

Miejskie gazety zamieściły tę historię na pierwszych stronach pod nagłówkiem: KELLEY I JEGO TOWARZYSZKA ARESZTOWANI I OSKARŻENI O PROWADZENIE NARKOTYKOWYCH INTERESÓW NA DUŻĄ SKALĘ. Podtytuł brzmiał: ŻAŁOSNY KONIEC W RĘKACH WŁADZ. Ten sam dziennikarz określił Karen jako „słomianą wdowę”.

Karen zatelefonowała z samego rana.

– Mam nadzieję, że nie oczekujesz mego przyjazdu do tej zaśniewanej wiochy, i nie liczysz na to, że przyłączę się do chóru śpiewającego „Stoję przy moim mężu”. Boże, przecież to tylko trawka! – zakończyła głosem pełnym zdziwienia.

– Tylko. Powiem to sędziemu – odparł Kelley.

Konwojent niezbyt delikatnie popukał, go w ramię na znak, że pora wracać na salę.

Oskarżenie wobec Claire oddalono całkowicie. Stwierdzono, że towarzyszyła Kelleyowi służbowo, nie była uprzednio karana, a poprzez otwarcie schowka w aucie udowodniła, że de facto nie miała pojęcia o jego zawartości. Kelley wysłuchał przemowy sędziego, z której wyłowił godne zapamiętania określenia, jak „odrzutowy narkoman” i „podstarzały hippis”. Wreszcie cała sprawa skończyła się tysiąc dolarową grzywną plus pięćdziesiąt dolarów za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Kelley chciał się ogolić, poszedł więc z Abem do męskiej toalety w budynku sądu.

– Szczęściarz z ciebie – powiedział Ab. – Pomogły ci dwie sprawy. Primo, prokurator okręgowy nie chciał cię powiesić za tę trawkę, bo to zaszkodziłoby tutejszemu rynkowi turystycznemu. Secundo – mamusia sędziego.

– Jak to? – Kelley wyłączył maszynkę.

– Ona jest twoją pasażerką. Co roku lata z Albany na Florydę. Sędzia opowiedział mi o tym ze szczegółami. Nie lubi ćpunów, ale zniżki taryfowe... ważna rzecz. I on zdaje sobie sprawę, że proces mógłby wykończyć Blue Sky. Pał diabli ciebie, ale to kosztowałoby jego mamusię cztery stówki ekstra.

– Ab powiesił marynarkę na haczyku przy drzwiach, podwinął mankiety koszuli i ochlapał twarz lodowatą wodą. – Czysta sprawa – powiedział. – Jeśli w nic się nie wpakujesz w ciągu najbliższych dwunastu miesięcy, a zakładam, że nie, to wczorajsze zdarzenie nie trafi nawet do rejestru. – W łazience nie było ręczników, a jedynie suszarka z gorącym powietrzem. – Cholera – zaklął Ab. – Mam trzymać gębę pod tą pieprzoną maszyną?

– Uspokój się – powiedział Kelley. – Kupię ci ręczniki z... no nie wiem, z szynszyli.

– Tylko ci się wydaje, że sobie żartujesz – roześmiał się Ab. – W przysłym tygodniu dostaniesz rachunek.

Dziennikarze i fotoreporterzy dopadli ich przy drzwiach toalety i zadawali pytania przez całą drogę wzdłuż korytarza.

– Prosimy o oświadczenie, panie Kelley. Kilka słów na temat... Hej! Burke! Czy palisz teraz więczej? Ale chyba coraz

mniej ci się to podoba? Jaki rodzaj „pracy” wykonywaliście tutaj z tą dziewczyną? Niezłe zajęcie, co? Jak to było?

Kelley nie odpowiedział ani słowem.

Dziennikarze podążali za nim do wyjścia. Tłumnie wylegli na chłodne i rześkie ranne powietrze. Obleganą przez prasę Claire osłaniał jej ojciec i strojący groźne miny Cubbitt.

Kelley spojrział na niego ostro. Pstryknęły aparaty fotograficzne. Cubbitt zostawił Claire wraz z ojcem i podszedł do Kelleya, zaciskając pięści.

– Ty sukinsynu – wycedził przez zaciśnięte zęby. Kelley szedł dalej bez słowa. – Ty głupi kutasie. – Kelley nadal milczał. Fotoreporterzy pracowali w pocie czoła. – Powiniennem cię zabić – powiedział Cubbitt.

– Słuchaj no! – odezwał się Kelley przyciszonym głosem. – Chcesz walki? Dobrze. Ale nie musimy tego robić na oczach prasy.

– Będę się bił tam, gdzie zechcę – rzucił buńczucznie Cubbitt.

– Proponuję więc pistolety nad rzeką o świcie. A teraz dość tego.

Doszli do samochodu. Długa, elegancka limuzyna z zasłoniętymi oknami czekała na krawężniku. Kelley i Ab usiedli z przodu z szoferem, odzianym w liberię Azjatą. Reszta pasażerów usadowiła się z tyłu, a Zeedee na dodatkowym siedzeniu. Auto ruszyło z piskiem opon, jakby uciekało z miejsca zbrodni. Przez chwilę wewnątrz samochodu panowało milczenie.

– Ładny dzień na pogrzeb – rzucił Zeedee, bawiąc się

zasłonką na oknie. – Czyżbyście myśleli, że jedziecie karawaniem? – W dalszym ciągu nikt nie podejmował tematu. – Co za przygnębiająca atmosfera! – ciągnął nie zniechęcony Zeedee. – Otrząśnijcie się, ludzie. Powinniście śmiać się na całe gardło. A ty – zwrócił się do Cubbitta – byłeś absolutnie świetny. Wspaniały! Prawdziwy błędny rycerz!

– Nędzna imitacja – warknął Kelley. – A w ogóle, to co wy tu, u diabła, robicie? – spytał Zeedee'ego.

– Poproszono nas – odparł Zeedee. – Miałem wczoraj gości. A Tom był nieźle wstawiony. No i zadzwonił twój adwokat. Tom bełkotał coś do telefonu, więc musiałem go „włączyć” do samolotu. A poza tym umierałem z ciekawości.

– Jak się nie zamkniesz, to możesz umrzeć z czegoś zupełnie innego – odezwał się Cubbitt.

– Cholera. – Zeedee się roześmiał. – Każdy w tym samochodzie chce dowalić innemu tutaj, więc nie rób ze mnie kozła ofiarnego. Niech każdy pilnuje swego tyłka.

– Synu! – Ojciec Claire miał głos jak sierżant. – Na twoim miejscu byłbym cicho.

Zeedee tym razem nic nie powiedział. Kelley uznał, że po prostu musi się odwrócić i to zobaczyć: ojca Claire, Eda John-sona, w całej swej ponadstukilogramowej okazałości i ostrzegawczym błyskiem w oku, oraz Zeedee'ego.

Claire poszukała wzrokiem jego oczu.

– Cichy weekend na wsi – powiedział Kelley.

Claire roześmiała się.

– Uważasz, że to dobry żart, co? – wybuchnął Cubbitt.

– To był naprawdę koszmarny pomysł, Ab. Mam na myśli tę naszą wspólną jazdę w jednym samochodzie.

– Szczęśliwa rodzinka – odparł Ab sucho. – Niefortunnie uznałem, że to pomoże naszej opinii.

– Jedyna dobra opinia, to jej brak – wtrącił Zeedee.

– Cholera! – warknął Cubbitt.

Samochód zakręcił i skierował się w stronę pensjonatu.

– Masz rację – powiedział Ab. – Czuję się, jakby mnie zamknięto w budce telefonicznej w gromadce przedszkolaków. Więc teraz posłuchajcie mnie, dzieci. Gdy dojedziemy do pensjonatu, Claire powinna zostać w samochodzie. Może jej ojciec mógłby spakować jej rzeczy. – Spojrzał na Kelleya.

– Czy ona ma własny pokój?

– Tak.

– No i oczywiście wróci do miasta sama – dodał Ab.

– Ze mną – sprostował Cubbitt.

– Jak sobie chcesz – zgodził się Ab.

Cubbitt pochylił się do przodu.

– Chcę jednego. – Złapał Kelleya za ramię. – Chcę, żebyś dał oświadczenie do prasy. Masz im powiedzieć, że ona była tu służbowo.

Samochód zatrzymał się.

– Zabierz ręce, Tom – powiedział Kelley.

– Przestaniecie wreszcie? – zawołała Claire. – Czy wszyscy wreszcie przestaniecie?!

Kelley otworzył drzwiczki i stanął na ścieżce. Ziemia pokryta była śniegiem, a chłodny wiatr owiewał wzgórze. Samochody dziennikarzy wciąż jeszcze pięły się po zboczach. Miały

jakieś czterdzieści sekund opóźnienia, więc Kelley odżałował jedną sekundę na odetchnięcie świeżym powietrzem.

– Chcę, żebyś złożył oświadczenie dla prasy – nie ustępował Cubbitt, który wysiadł właśnie z samochodu.

– Nie bądź idiotą, Tom – odparł Kelley.

Ojciec Claire również wysiadł. Kiedy Kelley zaczął iść w stronę pensjonatu, usłyszał pośpieszne kroki za sobą. Odwrócił się, lecz było już za późno. Na jego twarzy wylądowała pięść Cubbitta.

Cios był bardzo mocny, a śnieżna pokrywa nie dawała oporu podeszwom butów. Kelley upadł na ziemię, czując w ustach smak krwi. Usłyszał trzask migawek i warkot kamer, wystawianych przez okna samochodów. Kilku dziennikarzy dobiegło już do ścieżki.

Kelley wstał. Zdawał sobie sprawę, że kamery rejestrują każdy jego ruch. Ojciec Claire postąpił kilka kroków.

– Chcesz mu oddać? – zapytał Kelleya.

– Pewnego dnia na pewno – odparł Kelley. – Może gdzieś tam, na bezkresnych niebieskich pastwiskach. – Odwrócił się i ruszył szybko w stronę budynku.

Reporterzy deptali mu po piętach.

– Chciałbym z tobą pogadać – mruknął Ed Johnson.

– Hej! Kelley! – zawołał jeden z reporterów. – Nie pokażesz nam swego uderzenia?

Obok grupy dziennikarzy stał czerwony ze złości Cubbitt.

– Poproście go – powiedział. – Poproście o oświadczenie.

Kelley otworzył drzwi. Kamery wciąż pracowały, a reporterzy niemal leżeli mu na plecach. Kelley wszedł do budynku, tuż za Johnsonem.

W pokoju były zaciągnięte zasłony. Obaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie w ciemnościach.

– Lepiej zajmij się swoją twarzą – poradził Ed Johnson.

– Jeśli chcesz drinka... – Kelley wskazał barek, a sam zniknął w łazience.

Obejrzał zranione usta. Wciąż krwawiły, czego powodem było głębokie skaleczenie wewnątrz, prawdopodobnie o ząb. Płukał i wypluwał tak długo, aż wreszcie krew przestała lecieć.

Johnson siedział w wygodnym fotelu przy wygasłym kominku. W rękę trzymał szklaneczkę whisky. W porządnym brązowym garniturze wyglądał dziwnie niezręcznie. Butelka szkockiej i druga szklaneczka czekały na stoliku. Kelley nalał sobie alkoholu i wypił. W nozdrza uderzył go mocny odór whisky.

– Muszę ci powiedzieć, że przyjechałem tu z zamiarem rozerwania cię na strzępy – odezwał się Ed Johnson.

– To wszystko? – spytał Kelley.

– Wygląda na to, że jednak będę musiał zmienić zdanie. – Potrząsnął głową. – Ten Cubbitt jest chyba większym durniem niż ty.

– Dziennikarze tak nie sądzą. Zrobią z niego bohatera.

– Nie wydaje mi się, abyśmy tu dziś mieli jakichkolwiek bohaterów.

Przez chwilę obaj popijali w milczeniu.

– Wiem, że to niewiele pomoże – powiedział Kelley. – Ale naprawdę bardzo ją kocham. I myślę, że po prostu wpadliśmy w tę idiotyczną sytuację jak śliwka w kompot.

– Rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że to nie twoja wina.

– Nie. Nie chcę.

– To dobrze.

Znowu zapadła cisza. Johnson wstał i podszedł do okna.

– A może chcesz wyjawić powód, dla którego miałeś przy sobie tyle tego świństwa? – zapytał.

Kelley potrząsnął głową przecząco. – Dobrze. Mimo wszystko masz jakąś godność. I patrzysz na moją córkę jak zakochany mężczyzna, co dobrze świadczy o twoim guście. Powiedziała mi, dlaczego targaleś to paskudztwo. Taki czyn uchodzi za przyzwoity. Godne pochwały jest to, że człowiek ryzykuje dla przyjaciela. Ale nie podoba mi się to, że wciągnąłeś w tę sprawę moją córkę. I wnuka. Bo mój wnuk też jest w to wplątany.

Kelley nadal milczał.

– A teraz sprawa „miłości” – kontynuował Johnson. – Przyglądałem się, naprawdę dokładnie, wam dwóm. Tobie i Cubbittowi. Ten Cubbitt ze swoim głupkowskim kolesiem z miasta... Słowo daję, mógłbym zarżnąć was obu. Ale chyba muszę pogodzić się z tym, że Claire jest już dużą dziewczynką. No i mamy dwudziesty wiek, bez względu na to, co się z tym wiąże. Ale ty jesteś żonaty, a to już za wiele. Więc pytam cię, jak ojciec, czy masz zamiar pozwolić, aby prasa wycierała sobie gębę jej nazwiskiem?

- Nie – odparł Kelley.
- Przystaniesz się z nią spotykać?
- Nie.
- Wydaje mi się, że albo jedno, albo drugie. Chodzi o tę historyjkę, którą opowiedział twój adwokat, że Claire była tu służbowo. Nie wiem, ilu durniów w nią uwierzy, ale u nas, w Kansas, znajdzie się paru takich. A tam właśnie mój wnuk chodzi do szkoły. Więc chciałbym, abyś zostawił to tak, jak jest...

Nagle zadzwonił telefon. Kelley zawahał się. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że przecież zawsze może odłożyć słuchawkę za słowami: „Żadnych komentarzy” lub zwyczajnie: „Odwalcie się”.

To była telefonistka z centrali. Zapowiedziała międzymiastową z Rio. Jej głos drżał z podniecenia. Nieczęsto zdarzały się tu takie egzotyczne połączenia.

– Cholera! – Zabrzmiął spokojny głos Lestera. – Co tam się, u diabła, dzieje?

– Wieści szybko się rozchodzą – mruknął Kelley i zerknął ostrożnie na Johnsona.

– Trawka i dziewczynka. Nieładnie. Bardzo nieładnie.

– Po to tylko dzwonisz? Żeby mi prawić morały?

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, ty grzeszniku, że oczy całego Teksasu spoczywają teraz na tobie. Moi współnicy zatelefonowali do mnie jeszcze przed śniadaniem, aby mi powiedzieć, że to koniec. Nie chcą popierać diabła, który używa narkotyków. Nie mówiąc już o diable, który pieprzy dziewczyny, ile wlezie.

Kelley jęknął głośno.

– Mówiłem ci – ciągnął Lester. – To konserwatywna zgraja. To ta sama firma, która popiera wielbnego DeVane'a. I wydaje drukiem *Dziesięcioro Przykazań*. A ty – zachichotał Lester – jesteś bardzo złym chłopcem. Zło siedzi w twojej duszy.

Kelley spojrział na Eda Johnsona, który sączył swoją whisky i może nawet myślał o tym samym.

– Nic nie mogę na to poradzić – powiedział Lester. – Jak ci już mówiłem, moja własna forsa siedzi na ranchu nad Amazonką, a o reszcie decyduje komitet. Oni nadal chcą zabrać ci twoje linie. *Cuidado, amigo*. Wiesz, co to znaczy?

– Bądź ostrożny.

– Właśnie.

Kelley odłożył słuchawkę i ponownie napełnił szklaneczkę. Wychylił zawartość i jeszcze raz nalał. Diabelski młyn znów zaczął się kręcić. Za osiem, najwyżej dziesięć dni trzeba przełać dwadzieścia siedem milionów na rachunek Araco Fuel. Dwadzieścia siedem milionów za następne trzy miesiące plus dwadzieścia dwa tytułem spłaty krótkoterminowej pożyczki. Bez przychodu wykończą się na zero.

Usiadł na kanapie.

– Złe nowiny? – spytał Johnson.

Kelley patrzył na niego przez chwilę w milczeniu.

– Masz rację. Ja sam jestem jedną złą nowiną. Nie powinienem spotykać się z Claire, dopóki moje życie nie wyjdzie na prostą.

– Zabawne – odparł Johnson. – Spodziewałem się raczej, że podejmiesz walkę.

– Wszystkich dzisiaj rozczarowuję, prawda? Z nikim się nie biję. Jediną rzeczą, o którą walczę, jest moja firma. Lub

moje życie, bo to chyba to samo. Ale w żadnym wypadku nie wplączę w to Claire. Jej rzeczy są w pokoju numer dwadzieścia.

– No to chyba pójdę je teraz spakować. – Johnson wstał. – Claire wraca dziś do Kansas. Chce być z synem i wyjaśnić mu to wszystko.

– Słusznie.

– Chcesz jej coś przekazać?

– Nie – odparł Kelley po chwili namysłu. – Chyba nie ma co.

Kelley poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Przez kilka minut stał pod gorącym strumieniem, a następnie pod zimnym. Gdy wrócił do pokoju, zastał tam Zeedee'ego, który rozparł się na łóżku. W dłoni trzymał szklankę whisky.

– Pomyślałem sobie, że potrzebujesz towarzystwa – powiedział.

– Wiesz... jakby się nad tym głębiej zastanowić, to raczej nie.

– Za późno. Odesłałem już samochód. Ani minuty za wcześnie, jeśli chcesz wiedzieć. Bo jeszcze sekunda, a uderzyłbym pana Cubbitta.

– Czy on zawsze tak się zachowuje?

– Jest bardzo wysoki – odparł Zeedee. – I wydaje mu się, że to wystarczy, aby wszystkimi rządzić. A poza tym nie znasz całej historii. Ona była z nim umówiona. On przyjeżdża do miasta, a tu ona dzwoni i mówi: „Nic z tego. Muszę pracować”. To działa na jego wyobraźnię. Całą sobotę zadreślał mnie pytaniami w rodzaju: „Jak myślisz, czy on ją teraz pieprzy?” Ja mu

na to: „A skąd, u diabła, mam to wiedzieć?” Ale on pyta w kółko, sześć, siedem godzin. I ciągle pije mojego burbona. Miłość! – parsknął Zeedee. – To ciężka rzecz. Chcesz pogadać o interesach?

– Jeszcze nie teraz – powiedział Kelley.

Zeedee był nieznośny. Chodził po pokładzie samolotu, tupiąc zimowymi buciorami, majstrował przy aparaturze stereo, zaglądał do spizarki. Gdy wrócił na miejsce drugiego pilota, trzymał w rękach kanapkę z wędzoną ostrygą i butelkę piwa.

– Fajnie tu – stwierdził i oparł buty na desce rozdzielczej.
– Wiesz co? Jak na gnojka z Kentucky, wiesz, jak żyć.

– A jak na kogoś innego?

Zeedee machnął dłonią.

– Gdybyś miał klasę, byłbyś swobodniejszy, bardziej na luzie.

– Tak jak ty.

– Tak jak ja.

– Lubisz to? – spytał Kelley.

– Nie wiem – odparł Zeedee. – Ale gdybym nie lubił, to nie byłoby dla mnie żadnej nadziei, prawda?

– Biedactwo – zakpił Kelley. – Za stary na rock'n'rolla i za młody na śmierć.

– Jakbyś wiedział. No bo czy jest coś pośredniego?

– Tak. Średni wiek.

– To wcale nie jest śmieszne. – Zeedee westchnął i wyjrzał przez okno. Widać było tylko gęstą jak krem warstwę chmur. – Wiesz, gdzie jesteśmy?

– Jasne. Około piętnastu kilometrów na południowy

wschód od Troy. A może to było filozoficzne pytanie?

– Wtedy odpowiedź brzmiałaby: „Nigdzie”.

– Nie – zaoponował Kelley. – To tylko tak ci się wydaje. Zawsze jest się „gdzieś”.

– Filozofia!

– Nie. Przyzwyczaiałem się do latania na ślepo. – Kelley zapalił papierosa i zapatrzył się w kłębowisko chmur. – Odpowiedz mi na jedno pytanie. Dlaczego sam nie zainwestujesz w ten biznes z kokainą?

– Kto mówi, że tego nie zrobiłem?

– Och!

– Ale tylko dwieście tysięcy dolców. Nie jestem tak bogaty jak ty.

– No, rzeczywiście! Jestem cholernie bogaty. – Kelley roześmiał się drwiąco.

– A ja nie. Cały majątek po tatusiu jest uziemiony w pakietach akcji. Ja dostaję tylko pół miliona rocznie – powiedział Zeedee. Kelley wybuchnął śmiechem. – Do diabła, przecież to tyle, co nic! – parsknął Zeedee. – Byle głupek od prognozy pogody w telewizji ma takie zarobki. Ale mówiono mi, że szefowie linii lotniczych zarabiają więcej.

– Naprawdę?

– Czytałem o tym w *New York Timesie*. Albo w *Ripleyu*, już nie pamiętam. A poza tym masz kapitał, stary. I wciąż jeszcze firma przynosi dochody. Wsadzisz dwie bańki w nasz interes i, jak mówiłem, będziesz gość.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Że co? Że pójdę sobie do biura z walizką od „Vuittona” i po skończonej pracy wyniosę w niej dwa miliony? Tak to ma wyglądać?

– Przecież wiesz, jak to zrobić, prawda?
– Chyba tak. Ale mam prawie puste konto. Będę musiał oddać tę forszę.

– No nie – westchnął Zeedee. – Ten człowiek wcale nie słucha, co się do niego mówi. Dziesięć razy zdążył ją oddać przez tydzień.

– Jeśli to gówno spadnie na brzeg i nie będzie żadnych kłopotów.

– Nie było najmniejszych przez trzy lata. To jest absolutnie pewna operacja. Międzynarodowe przedsięwzięcie na takim poziomie, że się w pale nie mieści. Nikt tu nie nabruździ. I powiem ci coś. Jak pomożesz Chooky'emu tym razem, to zrobisz to jeszcze raz. Bo możesz rozwiązać wszystkie swoje problemy. Mam rację, czy nie?

Kelley nie odpowiedział. Sięgnął po butelkę Zeedee'ego i pociągnął łyk piwa.

– Powiedz mi jedno. Jak wpadłeś na ten pomysł? – zapytał.

– W związku z czym?

– Ze mną.

– Och! Jak chcesz wiedzieć, to Chook na to wpadł.

– Chook?

– On też czyta gazety. Naprawdę. Zadziwiające, co?

– Zadziwiające – przytaknął Kelley.

– No i ma kłopoty. Jak ci już mówiłem, jego dostawca wysiadł. Kilka tygodni temu, jak dostarczał towar, byłeś tu, bo wtedy poznałeś Claire. Opowiedział mi o swoich problemach. I wiedział, że cię znam.

– Skąd wiedział?

Zeedee wzruszył ramionami.

– Pewnie widział tu Karen parę razy – mruknął.

– Co dalej?

– Żadne „dalej”. To wszystko. Spytał mnie: „Co myślisz o Kelleyu?”

– Więc to nie był z twojej strony nagły przypływ natchnienia?

– Niezupełnie.

– Hm. – Kelley zamyślił się. Coś tu nie pasowało. – A co myślisz o ambasadorze francuskim? O Marcusie? Albo chociażby o Cubbitcie? Też ich przecież znasz.

– Oni nie szukają na gwałt forsy. I żaden z nich nie przeczekał heroiny w młodości – powiedział Zeedee. Kelley rzucił mu szybkie spojrzenie. – Umówmy się, że nie jesteś niewiniątkiem.

– Powiedziałeś to Chookowi? – spytał Kelley.

– Chook wiedział o tym. Właściwie to on mi o tym powiedział.

– Rozumiem – mruknął Kelley.

Nadal jednak niczego nie rozumiał. Działo się coś, co nie układało się w logiczną całość. A może jednak? Jeśli zastanowić się nad osobą Alvy'ego? Może Alvy robił jakieś interesy z Ryanem. A teraz z Chookiem...

– No, więc chcesz to przemyśleć? – spytał Zeedee.

– Nie.

– To inaczej. Przemyślisz to?

– Niestety, tak – westchnął Kelley.

ROZDZIAŁ 21

Mieszkanie było posprzątane, a Kelley zatrzymał się w delikatesach i kupił trochę podstawowej żywności: jajka, bułki, mleko i bekon.

Włączył radio. Sączył whisky, słuchał jazzu, zakłócanego skwierczeniem bekonu, i zastanawiał się nad sposobem zdobycia gotówki.

Obrócił plasterki bekonu i wbił na patelnie kilka jajek. Nie można zjeść jajecznicy bez rozbicia jajek, pomyślał. Ale czy zawsze cel uświęca środki? Cóż... w tym konkretnym wypadku, tak. Był pewien, że nie musiałby szukać klientów. Mógł im sprzedać wszystko, nie kiwnąwszy nawet palcem w bucie. Jak to Zeedee powiedział: „Nie rozmawiamy o małych, biednych ćpunach z rogu ulicy. Rozmawiamy o bogatych ćpunach”.

– Do diabła z nimi! Niech żrą tę kokę – mruknął do siebie. – Swoją drogą to rewolucyjny pomysł: załatwić odlot bogatym, aby biedni mogli latać. Nie do wiary, ależ ze mnie wygadany sukinsyn! Mógłbym sobie wmówić prawie wszystko.

Poprawił bekon na patelni. Jajka były już niemal gotowe, więc przypiekł kilka grzanek.

Bekon okazał się tłusty, a jajka niesmaczne. Kelley nalał sobie trochę kawy, zapalił papierosa i oparł nogi na stole. Jak do tej pory, nie zdołał sobie jeszcze niczego wmówić. Nadal miał problem.

Problem zaś polegał na tym, że... Że co? No dobra, powiedzmy to sobie wprost, pomyślał. Nie chcesz tego zrobić. Dlaczego? Ze względu na prawo? To można załatwić za pomocą pieniędzy. Więc może ze względu na prawo moralne? Ale jakie prawo moralne? Nie czyń drugiemu zła? Nie, to nie o to chodzi. Chyba o coś mniej ważnego. O własny wizerunek, o możliwość spojrzenia sobie w oczy podczas golenia. Pomyśl o tym. Jesteś z siebie dumny. Tak, przyznaj to uczciwie. Jesteś dumny z tego, że potrafisz balansować na krawędzi i nie spaść. Jak linoskoczek, który zna liny i zna siebie. Ale człowiek, który to potrafi, musi być jeszcze kimś.

Nawet nie starał się osądzać takiego człowieka. Po prostu stwierdził fakt. Siedział na kanapie, pił kawę i rozmyślał o problemach linoskoczka, który spaceruje po linie w cudzych butach.

Skończył kawę, ale nie przekonał samego siebie do tej całej sprawy. Jednocześnie nie przekonał samego siebie, aby nie brać w niej udziału.

Wziął prysznic, wyciągnął się na łóżku i próbował dozwonić się do Ryana. Recepcjonista w hotelu „Crilon” powiedział mu, że Ryana nie ma w pokoju. Kazał mu poczekać przy aparacie i włączył muzyczkę, aby umilić rozmówcy chwile oczekiwania. Kelley wysłuchał cierpliwie najpierw starego szlagieru „C'est si bon”, a potem samby z filmu

„Kobieta i mężczyzna”. Wreszcie, znecierpliwiony, odłożył słuchawkę i włączył telewizor. Szedł jakiś film o gliniarzach, którzy gonili złodziei i w końcu ich złapali. Znudzony Kelley zasnął. Zbudził go dzwonek telefonu wewnętrznego, niespodziewany, denerwujący i natarczywy, brzmiący niemalże jak dźwięk syreny mgłowej na bezkresnym oceanie. – Pan Ryan do pana – powiedział portier.

– Witaj w domu – powiedział Kelley.

– Wiesz, po czym poznaję, że naprawdę jestem w domu? W ciągu niecałej godziny sześć razy spotkały mnie nieprzyjemności. Chyba zwariuję! – Ryan cisnął walizkę na podłogę.

– Zadzwoń od ciebie, a ty przygotuj mi tymczasem...

– Podwójną whisky z lodem? – spytał domyślnie Kelley.

– I stryczek dla portiera.

– Jeszcze jedna nieprzyjemność?

– Chyba moja twarz nie wzbudziła w nim zaufania – odparł Ryan.

– Nie żartuj? – Kelley ruszył w stronę kuchni.

– Amy? Tak... – powiedział Ryan do słuchawki. – Nie, jestem w mieście... Nie, w tym właśnie mieście... Teraz jestem w hotelu „Dixie” z trzema niesamowitymi laleczkami... Jasne, że za godzinę będę głodny. – Roześmiał się. Po chwili jego głos stał się głębszy i emanujący erotyczną nutką.

Kelley włożył parę kostek lodu do wiaderka i usiłował przypomnieć sobie to, co wie o stewardesie Amy i pilocie Rynie. Cofnął się pamięcią do chwili w przeszłości, gdy

Ryan był zbuntowany i onieśmielony. Amy powiedziała wtedy do Kelleya: „Burke, muszę odejść. Dłużej nie dam rady”. Ryan, z tymi „cholernymi bliznami na twarzy, które wyglądają jak oficerskie belki na pagonach”, unikał jej. „To łajdak” – powiedziała. W odczuciu Amy Ryan cały czas zachowywał się jak skończony drań. Z wyjątkiem listopadowego wieczoru, kiedy to oboje utknęli na szosie w wypożyczonym samochodzie. Mijały godziny, padał coraz większy śnieg i Amy strasznie zmarzła. I wtedy Ryan zaczął do niej mówić w ciemności. Jego głos stał się serdeczny, głęboki, niemal elegijny. Ryan trzymał dziewczynę w objęciach i grzał ją swoim ciałem. Amy czuła ogarniające ją ciepło, jakiego nigdy dotychczas nie zaznała. Gdy nadjechał samochód pomocy drogowej, czar nagle prysnął, a Ryan znowu zaczął być niemiły i złośliwy. Amy płakała, opowiadając to Kelleyowi w barze, a jej łzy kapwały do, i tak rozcieńczonego, martini. Kelley napisał na serwetce czterowiersz, który następnego dnia kazał wyhaftować na czerwonym satynowym serduszk. Gotową makatkę wrzucił Ryanowi do kabiny samolotu przed startem.

*Czerwień róży,
błękit Amy,
żółć Ryana,
my to znamy.*

Ryan skończył rozmawiać i odłożył słuchawkę. Stał z papierosem w zębach, w prążkowej marynarce obsypanej popiołem, zniszczonych dżinsach, kowbojskich haftowanych butach i z miną Redforda po ciężkich przejściach. Dziesięć operacji przysłużyło się zmasakrowanej twarzy Ryana o tyle, że

wyglądał bardziej na ofiarę poważnej kraksy motocyklowej niż, powiedzmy, Hiroszimy.

Kelley podał mu szklaneczkę whisky.

– Jak tam twoja piękna żona? – spytał.

– Piękna... jak to żona. – Ryan rozejrzał się i usiadł w fotelu. – A co u Karen? Stoi wiernie przy twoim boku?

– Raczej trzyma się boku – zażartował Kelley.

– Co? – Ryan roześmiał się.

– Jeśli sprawy przyjmą zły obrót, to spędzi całą zimę na wybrzeżu.

– Dziesięć zim – powiedział Ryan. – Możesz być tego pewien.

– Jestem – odparł Kelley powoli.

Ryan nie odpowiedział. Najwidoczniej przyjechał do Kelleya, aby mu coś zakomunikować, ale wolał to zrobić w wybranym przez siebie czasie. Na ogół stosował dwa modele zachowania. Pierwszy: nie mówił nic, drugi: nie mógł przestać mówić.

– Nie spodziewałem się ciebie przed piątkiem – powiedział Kelley.

– Tak wyszło. A ja spodziewałem się, że zostaniesz wrogiem publicznym numer jeden. Ale cóż, takie jest życie.

– Racja.

– Zawsze pełne niespodzianek – dodał Ryan.

– Wydymali nas w Paryżu? – spytał Kelley.

– Nie. Wszystko bardzo ładnie szło w Paryżu. Naprawdę bardzo ładnie. Wtedy zadzwoniłem do Amy i dowiedziałem się, że występowałaś w tej szopce o szóstej.

– Więc przyleciałeś na pomoc.

– Niezupełnie – odrzekł Ryan. – Raczej nie. – Zapalił papierosa i leniwie wypuścił kłąb dymu. – Byłem już w samolocie – zaczął powoli – a ty wciąż siedziałeś w Podunk. Urwali ci tam jaja? Leciałem, a przeróżne obrazy tańczyły mi w głowie. W najgorszym razie mogliby zesłać cię do Attica. Co wtedy? Rozumiesz, o czym mówię?

– Aha, czyli przyleciałeś, aby przejąć służbę?

– Nnno, tak. Zupełnie jak Haig, gdy postrzelono Reagana. „Jestem na służbie! Jestem na służbie!” Zresztą, pytanie za dwadzieścia dolarów, kto nie byłby, co?

– Dobrze.

– Co dobrze?

– Masz u mnie plus.

– Jak cholera. Wiesz, co się dzieje w tym twoim biurze? Walka zespołowa, ot co. Wojownicy i chłopcy Whartona. A wiesz, co ci chłopcy Whartona zrobili? Przyjęli sobie dwa założenia: ukradkowe pchnięcie w plecy i ogólne wciskanie kitu. Mam to nazwać po francusku? Nie ufam tym facetom.

– Czy raczej ich nie lubisz?

– Na jedno wychodzi. A gdy Charlie'ego nie ma tu teraz, to masz tylko mnie i Duke'a przeciwko Warnerowi i McDermottowi. Jeśli jeszcze mnie nie będzie w mieście... – Nie dokończył.

– Co ci chodzi po głowie? – spytał Kelley po chwili milczenia.

– No, śmiało. Powiedz to – rzucił Ryan. – Myślę o tym samym co ty.

Kelley wstał i podszedł do barku. Zastanawiał się nad przeciekami danych z raportu ekonomicznego, nie zapłaconym

rachunkiem za paliwo i sfałszowanych rezerwacjach w komputerze. Podniósł butelkę i spojrzał na Ryana.

– Uważasz, że mamy tu szpiegów? – spytał.

– Uważam, że mamy tu „młodych ambitnych”. Sprzedaliby własną matkę, aby tylko osiągnąć sukces i...

– Pieniądze.

– Władzę – sprostował Ryan. – Kierownicze stanowisko, splendory towarzyskie. Obiecuj im członkostwo jakiegoś klubu, to od razu zaczną się ślinić z ochoty.

Kelley nie odpowiedział. Napełnił szklankę i podał butelkę Ryanowi. Przez chwilę siedzieli i pili w milczeniu.

– Ile dzieli nas od przepaści? – rzucił Ryan. Kelley pokazał palcami kilkucentymetrową odległość. – Nie! – zawołał Ryan. – Jest sposób... Masz go, prawda? – Kelley potrząsnął głową. – Zabawne. Byłem przekonany, że go masz.

– Dlaczego? – spytał Kelley.

– Bo jesteś draniem z gatunku tych, którzy zawsze mają jakiś plan.

– No dobra. Może chcesz przerzucić trochę towaru?

Ryan zamarł jak obraz zatrzymany w kadrze. Przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.

– O, kurczę! – wyszeptał. – Zapomniałem już, że to kiedyś robiłem. Zapomniałem na śmierć. – Bezradnie potrząsnął głową.

– Żałowałaś tego kiedyś? – Głos Kelleya był cichy i spokojny.

– Nie. Nigdy. A teraz? Teraz mam dzieciaki. I uważam,

że szmuglerów należałoby obedrzeć ze skóry. Ale wtedy nie żałowałem. Ani razu. Chodzi mi o to, stary, że człowiek patrzy na to w taki sposób. Z jednej strony widzisz tych wszystkich łajdaków, którzy tarzają się w forsie, a z drugiej masz głupich ćpunów, którzy skamlą na ulicach. Patrzą na obie strony tego brzydkiego medalu i pierwszą myślą, która przychodzi ci do głowy, jest to, że Bóg nie istnieje. Ale potem przychodzi olśnienie, bo wszystko jest w życiu możliwe. Mam rację?

– Nie wiem.

– A ja ci to mówię. Gdyby tak nie było, wciąż jeszcze tkwiłbyś w kopalni, a ja już w grobie. Ale zdarzył się cud i zmienił nasze życie, kapujesz? Oczywiście, gdy robiłem te wypadki śmierci do Durango, to nie widziałem tego. W Wietnamie moje spojrzenie na świat nieco się zawężyło. A potem przeszedłem tę całą szopkę z operacjami i rehabilitacją. I co się okazało? Że byłem chodzącym trupem, cholernym upiorem, nie mogłem znaleźć pracy, nie mogłem nawet znaleźć spokojnego miejsca na ziemi, żeby umrzeć. Nie wierzyłem, że mogę być z Amy, mieć dzieci, pracę. Życie, takie prawdziwe. Życie w tych Zjednoczonych Stanach, jak je nazywamy. A jednak... Wszystko jest możliwe. Nagle pojawił się Kelley, jak jakaś pieprzona kawaleria, zdążający na ratunek. – Ryan potrząsnął głową. – Uratowałeś mnie, stary. I, bez żartów, jestem ci winien życie. Więc gadaj! Naprawdę chcesz, żebym polecił z tym towarem?

– Nie. Nigdy.

– To dobrze. Bo gdybyś mnie poprosił, to kazałbym ci

się odwalić. – Sięgnął po butelkę i napełnił szklanekę. – Masz jeszcze jakieś pytania?

Teraz Kelley wziął butelkę, uzupełnił swoją szklanekę i zapalił papierosa.

– José Alvarado. W skrócie Alvy. Słyszałeś o nim?

– Nie. – Ryan pociągnął łyk. – To nie ten alfons z Bronxu?

– Raczej z Kolumbii.

– Och! Czyli, że to...

– Zgadza się.

– Wiem, o co ci chodzi. Ale to był Meksyk, stary. I zupełnie inna sprawa.

– A Chook D'Aquino? Kojarzy ci się z czymś?

– Do czego ty, cholera, zmierzasz? – wybuchnął Ryan.

– Do niczego.

– Aha, już to widzę! – Zapalił następnego papierosa i zapatrzył się w dym. – W porządku, stary – powiedział wreszcie.

– Jeśli wiesz, o co ci chodzi...

– Właśnie, że nie wiem. Ale jeśli nie znasz Alvy'ego...

– To co?

– Nic. – Kelley potrząsnął głową.

ROZDZIAŁ 22

- Słyszałem, że chcesz pogadać – zaczął Chook.
- Wcale tego nie powiedziałem. – Kelley obrócił się z fotelem twarzą do okna. – Powiedziałem, że posłucham, ale nie przez telefon w biurze.
- Chcesz się spotkać?
- Nie.
- To czego, do diabła, chcesz? Chcesz wiedzieć, o co chodzi, ale nie chcesz ze mną rozmawiać. Nawet nie chcesz się spotkać. Chyba jesteś mało kontaktowy, wiesz o tym?
- Wiem doskonale – odparł Kelley. – Odezwę się przez Zeedee'ego. Jeśli w ogóle to zrobię.

McDermott podniósł wzrok znad ksiąg, rozłożonych na biurku.

- Przypuszczam, że gratulacje byłyby nie na miejscu – powiedział.
- Za co?
- Za twoją szczęśliwą ucieczkę spod karzącej ręki sprawiedliwości. Widziałeś dzisiejsze gazety?

– „Pojedynek w śniegu”? „Wyzwany umyka”? Tak. Czytałem to.

Mcdermott upił nieco herbaty z kubeczka.

– Popołudniowe gazety będą grzeczniejsze – powiedział.

– Uhm. – Kelley usiadł i zapalił papierosa. – Zastanawiałem się nad tym, George. Nad uprzejmością prasy. Nad przeciekami z raportu ekonomicznego. Jak, twoim zdaniem, mogło się to stać?

– Uważam, że biegli księgowi ujawnili dane.

– Tak myślisz?

– To wydaje się logiczne. Bo przecież to nie leżałoby w interesie nikogo z nas...

– Tego nie wiem – przerwał Kelley. – Bo nie wiem nic o interesach ludzi tu pracujących. Na przykład w interesie niektórych ludzi Quaida leżałoby wykupienie mnie. Czy taki scenariusz wydaje ci się prawdopodobny, George?

– Dlaczego ja zawsze mam wrażenie, że mnie o coś oskarżasz? – spytał McDermott przeciągle.

Kelley spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Tak pomyślałeś? Nie, ja tylko chciałem poznać twoją opinię na ten temat. – Zamyślił się na chwilę. – Spróbujmy inaczej. Może przypomnisz sobie, kto widział ten raport. Nie tylko słyszał o nim, ale widział i miał do niego dostęp. Kto mógłby skopiować dane i udostępnić je prasie?

– Nikt.

– Zastanów się.

– Nikt. Byłem tutaj, gdy dostarczono raport i własnoręcznie odebrałem tę przesyłkę. Przeczytałem go i zamknąłem na klucz. Rozmawiałem o jego istnieniu, ale nie o

konkretnych danych w dolarach i centach. Nie. Cuda się nie zdarzają. A raport schowałem w sejfie. Jediną osobą, poza mną, która zna szyfr, jest Art Kindler, ale jego tu nawet nie było. Leżał w domu, bo odnowiła mu się rana z wojny. Tak na marginesie, to teraz jest w szpitalu z tego powodu.

– Och! Przykro mi to słyszeć – odparł Kelley. – No to teraz mi powiedz, z kim rozmawiałeś o tym raporcie?

– Słuchaj! Nie tędy droga! – rzucił McDermott. – Dyskutowałem z Duke'iem i Ashem Warnerem, czyli z twoim szefem działu operacyjnego i szefem działu reklamy. W tym czasie raport leżał w sejfie, a następnego dnia wręczyłem go Frannie.

– Dzięki, George. Czy był tam ktoś jeszcze?

– Chodzi ci o kogoś oprócz nas? Nie, chyba nie.

– Dobrze. A jak tam twój ząb?

– Ząb? Cóż, miło, że o to pytasz. Dziś po południu mam kolejną wizytę, a koniec pewnie w środę.

– Bolesny zabieg, co?

McDermott uśmiechnął się.

– Pytasz jak ktoś, kto ma zdrowe zęby – powiedział. – Tak, bardzo nieprzyjemny i bolesny.

– Weź tydzień wolnego – zaproponował Kelley i wstał.

– Żartujesz?!

– Skądże. Popracuj dzisiaj tylko do czasu wizyty u dentysty. Jak będziemy mieli jakieś problemy, to najwyżej złapiemy cię w domu.

– No... nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz dobranoc, George.

– Dzięki. Z całego serca.

Dobra, ta sprawa z głowy, pomyślał Kelley. Nie chciał dłużej o tym myśleć. I nie musiał, bo właśnie odezwał się dzwonek telefonu.

Szef pilotów chciał sprawdzić plotkę, jakoby wynagrodzenia pilotów miały zostać obniżone o dziesięć procent.

- Skąd ten pomysł? – spytał Kelley.
- McDermott tak powiedział.
- Nikomu nie obetnę pensji.
- Czy ty słuchasz, co się do ciebie mówi? Piloci nie mieliby nic przeciwko temu, jeśli to mogłoby ci pomóc.
- Nie pomoże. A jeśli sytuacja stałaby się krytyczna, to wolałbym, aby raczej oni dostali pieniądze, a nie banki.
- Cóż, oferta wciąż jest ważna – powiedział Eller.
- Podziękuj im w moim imieniu.

Następny telefon. Tym razem z warsztatów. Dostarczono następne sześć detektorów wiatru uskokowego.

- Chcesz, żeby chłopcy znów robili po godzinach?
- Na Boga! Nie – odparł Kelley. Ale pomyślał o dwóch w ciągu miesiąca wypadkach, spowodowanych wiatrem uskokowym. – Tak. Równie dobrze mogą popracować.
- Nieszczęścia chodzą parami.
- To właśnie miałem na myśli. Słyszałeś kiedyś, żeby szczęścia chodziły parami?
- W ogóle nie wiedziałem, że jest coś takiego jak szczęście. A ty?

– Nie wiem – odparł Kelley. – Naprawdę nie wiem.

Myślał o dwóch złych rzeczach, które przydarzyły się jedna po drugiej: rozmowa z Genevieve i telefon od Quaida. Nie powiedział o tym Frannie i Duke'owi. Nie chciał ich martwić, jak również nie chciał psuć swojego wizerunku w ich oczach. Jeśli będą pieniądze od Chooka, niech Frannie i Duke myślą, że to te od Lestera.

– Dzień dobry panu.

Podniósł szybko głowę i ujrzał wpatrzone w niego ciemnobrązowe oczy Heidiggera, który opierał się plecami o ścianę. Kelley odsunął się nieco od pisuaru.

– Cześć – rzucił. Heidigger milczał. – Masz tu coś do załatwienia, czy tylko podglądasz?

Heidigger wbił spojrzenie w ścianę.

– Mógłbym zobaczyć się z panem na moment? – spytał.

– Przecież mnie widzisz.

– Ale chciałbym prywatnie, proszę pana.

– Już bardziej prywatnie być nie może – odparł Kelley.

Zapiął rozpiorek i podszedł do umywalki.

Heidigger rozejrzał się po pomieszczeniu, sprawdzając, czy jest puste.

– Bo... to chodzi o ten sabotaż, proszę pana.

– Powtórzyło się? – Kelley spojrział w lustro.

– Nie. Ale wiem, skąd przychodziły fałszywe dane.

- Od Quaida?
- Nie, proszę pana. Hm... Z Federal Airlines. Prześledziłem to. A wie pan, jak?

Heidigger płonął szczenięcym entuzjazmem. Kelleya niewiele obchodziło, w jaki sposób informatyk doszedł do źródła sabotażu. Wystarczyło mu, że winowajcą był Chambers. Nie chciał jednak sprawiać przykrości Heideggerowi.

- No jak? – spytał.
- Zdziwi się pan. – Heidigger oparł się o umywalkę. – Uciałem sobie długą pogawędkę z komputerem „Federal”. Całkiem przyjazną zresztą.

- Rozumiem.
- No więc, zaczęliśmy sobie gadać. Wie pan, o jego super tajnych programach. To znaczy, powiedziałem mu, że interesuje mnie jeden z nich, a on zapytał który. Ja odpowiedziałem, że nie wiem, jakie on ma. Na co on podał mi ich listę.

Kelley, nagle zainteresowany, zapalił papierosa.

- Mów dalej – zachęcił młodzieńca.
- No... oczywiście był zaszyfrowany.
- Oczywiście.
- Ale jednym z haseł było: SNAFU. To mnie uderzyło. Bo wie pan, jedną z rzeczy, na punkcie których mam szmergla, jest druga wojna światowa. A to jest wyrażenie z tego czasu. I oznacza: Sytuacja Normalna, A Frajerzy Uziemieni.

- Udupieni – poprawił Kelley.
- Udupieni? Naprawdę, proszę pana? – zdziwił się Heidegger.
- Nawet wtedy używano tego słowa. Mów dalej.
- W każdym razie chyba niewielu ludzi zna ten zwrot.

Mam na myśli informatyków. Są przeważnie zbyt młodzi. Ale pomyślałem, że pan Chambers walczył w tej wojnie, a to mógłby być program, który on osobiście...

– Tak.

– Więc poprosiłem ten komputer o SNAFU, a on spełnił polecenie. I to było właśnie to.

– Spełnił polecenie?

– Tak, proszę pana. – Heidigger wzruszył ramionami. – Komputery mogą sobie być bardzo wymyślne, ale czasami są głupawe.

– Tak... – Kelley przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. – A my nie?

Nieco bardziej uprzejma wzmianka o narkotykowej aferze ukazała się w popołudniowej gazecie, którą Kelley przeczytał w barze na lotnisku. „Znani i wspaniali”, artykuł na trzeciej stronie, okazał się krótką historyjką o sławnych ludziach, którzy zostali oskarżeni o posiadanie narkotyków. Od Roberta Mitchuma i Lili Leeds w 1940 roku, poprzez Beatlesów, aż do Kelleya i Claire. Autor artykułu nie zajmował stanowiska w całej tej sprawie, lecz przynajmniej umieścił Kelleya w znakomitym towarzystwie. Kelley zastanawiał się, czy gazety w Kansas zrobiły tak samo.

Podniósł wzrok znad gazety i ujrzał Frannie z Duke'iem, którzy zdążyli ku niemu między stolikami.

– Ho, ho! Obiad z szefem! – zawołał Duke.

– Spokojnie – powiedział Kelley. – To zamiast podwyżki. Ale zamów sobie to, na co masz ochotę.

- Zjedźmy cheeseburgera – zdecydowała Frannie.
- Muszę ci opowiedzieć coś niesamowitego – zaczęła Duke, gdy kelnerka już odeszła od stolika. –Dziś rano mieliśmy trzy razy większą niż zwykle ilość telefonów do rezerwacji. Nie wiem, co się dzieje. Czy to skutek reklamy, czy też przyciągasz wszystkich ćpunów w mieście.
- Może myślą, że częstujemy „maryšką” na pokładzie.
- Nie wiem – odparł Duke. – Ale niech mnie diabli! McDermott powiedział, że dzisiaj mieliśmy nawet zyski.
- Serio?
- Zarobiliśmy dziesięć tysięcy dolców na czysto.
- Dziesięć tysięcy dolców? – Kelley wybuchnął śmiechem. – Powiedz kelnerce, żeby nie dawała sera do cheeseburgera.
- To dopiero początek – wtrąciła Frannie. – Jak mówi stare wschodnie przysłowie: najdłuższa nawet podróż rozpoczyna się od jednego kroku, zrobionego we właściwym kierunku.
- Albo niewłaściwym – mruknął Kelley.
- Kelnerka przyniosła cheeseburgery i piwo. Gdy odeszła, Kelley powrócił do tematu.
- Mówiąc o kroku w niewłaściwym kierunku, sądzę, że to właśnie ten przeciek danych z raportu ekonomicznego rzucił mnie wilkom na pożarcie.
- Przez wilki rozumiesz pewnie Quaida – powiedział Duke.
- Albo przynajmniej zawęził moje szanse – ciągnął dalej Kelley. – Ciekawi mnie jedna rzecz. – Powtórzył im historijkę opowiedzianą przez McDermotta. O raporcie, który leżał zamknięty w sejfie aż do chwili, gdy McDermott wręczył go

Frannie. – Załóżmy, że tak było – powiedział Kelley. – Co więc zdarzyło się potem?

– Potem? – Frannie wzruszyła ramionami. – Przyniosłam go do ciebie. A następnie oddałeś mi go, gdy wychodziłeś na spotkanie z Rosettim.

– Nie dałem ci go. Powiedziałem ci, że leży na moim biurku.

Frannie pomyślała chwilę i skinęła głową.

– Masz rację. Mogłam tam siedzieć przez jakieś czterdzieści pięć minut.

– I nie ruszałaś się z za biurka przez ten czas?

– Och! Nie pamiętam.

– Przypomnij sobie, dobrze? Niekoniecznie teraz zaraz, ale pomyśl o tym, co?

– To McDermott – powiedział Duke. – To musi być on. Ta cała sprawa z poprzedniego dnia. Genevieve Hollis sprzedaje udziały Quaidowi i już masz związek Hollis-McDermott. A jeśli to Jenny rządzi, to George jej słucha. Mam rację?

– A ona chce, aby Quaid wygrał – dodała Frannie. – Co miałby z tego George? Zatrzymałby swoje stanowisko z milionową podwyżką lub milionową premią.

– Może i tak – powiedział Kelley. – I pewnie tak jest. Ale pomyślcie nad tym jeszcze trochę. Siądźcie sobie w kącie i pomedytujcie.

Późnym wieczorem, gdy Frannie wyszła już z biura, Kelley zatelefonował do Kindlera, pracującego w szpitalu weteranów. Po krótkiej rozmowie o wszystkim i o niczym, uzyskał to, co

chciał. Kombinację cyfr otwierających sejf McDermotta. 7–12–42. Była to najprawdopodobniej data jego urodzin.

Kelley załatwił jeszcze kilka telefonów, wypił parę drinków wypalił z tuzin papierosów i wreszcie ruszył wyludnionymi korytarzami w stronę gabinetu McDermotta. Wśliznął się przez drzwi jak złodziej, otworzył sejf i wyjął oprawioną w skórę książeczkę czekową. Zamyślił się.

Na koncie firmy było trzydzieści osiem milionów dolarów i jakieś kilka tysięcy. Pół miliona pójdzie na wypłaty w piątek, czyli za trzy dni. A w poniedziałek trzeba wziąć trzydzieści jeden milionów na zwykłe comiesięczne wydatki oraz dodatkowe sześć milionów sześćset na paliwo. I konto będzie puste.

Kelley zamknął książeczkę i odłożył ją do sejfu. W porządku, pomyślał. Nadeszła pora. Wyjął książeczkę czekową funduszu emerytalnego, do której pewnie nikt nie zajrzy przez najbliższe kilka miesięcy. Wyrwał jeden czek. Usiadł przy biurku George'a i na odcinku czeku pozostającym w książeczce napisał: *28 stycznia, sześćdziesięciodniowa pożyczka dla B. Kelleya. 2 miliony dolarów na 12%.*

Złożył nie wypełniony czek, schował go do portfela. Odłożył na miejsce książeczkę i zamknął sejf.

– Nastawienie – powiedział Chook i pociągnął łyk piwa. – Wracamy do tego, że znowu masz bardzo złe nastawienie. – Siedział w pokoju hotelowym, swobodny, elegancki, pozujący na „godnego szacunku dżentelmena”. Stopy obute w wytworzone mokasyny oparł na plastikowym stoliku. Miał na sobie

kaszmirowy sweter i kosztowne wełniane spodnie. Nadgarstek przyozdobił złotym zegarkiem od Cartiera. Chook D'Aguino. „Człowiek sukcesu”. –Z góry zakładasz, że ten facet mnie wystawi do wiatru. Ale dlaczego ja miałbym oszukać ciebie?

– Mogę ci podać co najmniej dwa miliony powodów – odparł Kelley.

– Nonsens. Dwa miliony powodów nic nie znaczą. Ja też mam dobrą reputację. Wiesz, jak to wygląda? Dostanę zlecenie i muszę być szybki, reagować od razu. Muszę ponieść koszt. Mam nóż na gardle. Więc jeśli zaczniesz rozpowiadać, że jestem oszustem, to wiesz, co ze mną będzie? Nikt mi więcej nie zaufa.

– Masz na myśli Zeedee'ego? – spytał Kelley.

– Jego też. Bo przecież muszę mieć klientów. Tak jak w sklepie. To jest biznes. Jak mam klientów, to mam towar. I odwrotnie. Więc dasz mi tę forszę do piątku, dobra?

– A kiedy zobaczę ją z powrotem?

– Następnego ranka, może wieczorem. Coś koło tego.

– Coś koło tego... – powtórzył Kelley.

Chook spojrział na niego poważnie.

– Mówiłem już, że masz problem z niewłaściwym nastawieniem, człowieku.

– To tylko część problemów – odparł Kelley. – Chodzi jeszcze o to, że nie mogę dać ci pieniędzy tak szybko.

– No to nie mamy o czym gadać.

– I nie w gotówce – dodał Kelley.

– A w czym? W czekach? „American Express”?

– W diamentach.

- W diamentach – mruknął Chook. – A nie w szkiełkach?
- Chyba jednak nie – odrzekł Kelley. – To nie leżałoby w moim własnym, dobrze pojętym interesie.
- Nie rozumiem, o czym mówisz, stary.
- O tym, że zabiłbyś mnie.
- Chook zamyslił się, po czym kiwnął głową.
- Masz rację – powiedział. – Chyba że pewni faceci przedtem roznieśliby mnie na strzępy.
- Alvy, na przykład – rzucił Kelley.
- Znasz Alvarado? – zdziwił się Chook.
- Dostarczałeś mu informacji na mój temat, nieprawdaż? Powiedziałaś, że kiedyś latałem z towarem razem z moim kumplem.
- To jest biznes – powiedział Chook. – Już ci mówiłem, że musimy być pewni, z kim mamy do czynienia.
- Niby racja. Więc co dokładnie powiedziałaś Alvy'emu?
- Tak jak mówisz. Tak jak ci powiedział, że mówiłem.
- W porządku. A skąd wzięłaś tę historię?
- Od Zeedee'ego, stary. Cholera! A od kogóż by innego?
- Kelley zapalił papierosa i patrzył na Chooka D'Aquino przez smugę dymu.
- Czekaj, stary. To nie tak było – powiedział Chook. – Teraz sobie przypomniałem. Słyszałem to od tego gościa, co ma tę słodką żonkę.
- Ach tak? – Kelley podniósł głowę. – Chodzi ci o męża Candy? O Marcusa Imry'ego?
- Tak.
- To twój klient?

– Jasne. Przecież wiesz. Jak już mówiłem, musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia.

– Świetnie. Więc już wiesz. A Alvy może bardzo szybko upłynąć te diamenty.

– No... nie wiem – powiedział Chook. – To co innego. Inny rodzaj towaru.

– Na czym więc stoimy? – zapytał Kelley.

– Dowiem się. Można to nazwać ostateczną ofertą?

– Nie. – Kelley zduśił papierosa i wstał. – Moim zdaniem to tylko ewentualne pytanie.

ROZDZIAŁ 23

Czuł potrzebę otwartej przestrzeni. Pojechał do Newark i poderwał w górę „Beagle'a”.

To było to. Miał wrażenie, że może przeskakiwać ponad drapaczami chmur. Niebo wokół niego było puste i czyste. Pamiętał inne nieba, czerwone i pełne nadciągającej śmierci. Lecz z tego przejrzystego błękitu nie spadną żadne bomby, nie rozbłyszczą płomienie. Kelley czuł się wolny jak ptak. A przecież ptak też nie jest całkiem swobodny. Gna go instynkt, odwieczne prawo natury, popęd rozrodu. Rok po roku, rok po roku, aż do nieuchronnego końca.

Nie miał wyboru. Albo nadciągający wrogi oddział, albo skok w przepaść, do wody. Ale oddział był bliżej, a bezdenna przepaść wiodła wprost do rwących, groźnych wód rzeki. Gdyby przyglądał im się zbyt dokładnie, mógłby nie odważyć się na skok, a wtedy odpowiednia pora mogłaby minąć. Następnego ranka usiadłby na ruinach swoich marzeń i pozostałoby mu jedynie pluć sobie w brodę, że był takim śmierdzącym tchórzem.

A przecież nigdy przedtem nie stchórzył. Lecz z drugiej strony nigdy przedtem nie był przestępcą. W trakcie swej burzliwej kariery niejednokrotnie zdarzało mu się przekroczyć pewne linie, przeskoczyć jakieś stopnie i odstąpić od niektórych reguł. Lecz, jak do tej pory, nie popełnił żadnej zbrodni. Ryzykował i eksperymentował ze swoim szczęściem przez całe życie, na zasadzie, że „głupiemu szczęście sprzyja”. Ale nie czuł się winny premedytacji, mógł więc nadal z czystym sumieniem zwać wszystko na uśmiech losu. Tym większą głupotą było przywiezienie marihuany z Paryża. I znowu mu się udało.

Mógł też sobie wyobrazić swoje posunięcie w związku z pieniędzmi dla Chooka. Jutro zdeponuje czek w swoim banku. Diamenty może kupić od Morty'ego Savage'a. Zadzwoi do niego jutro na giełdę diamentów i poprosi, aby poszukał najlepszych, jakie można dostać. Morty zrobi to, a w piątek rano dostanie czek Kelleya. Do tego momentu cała transakcja zachowywała pozory legalności. Trochę niewyraźne, lecz nadal bezpieczne. Nawet biorąc pod uwagę tę nieco wątpliwą „pożyczkę” z firmy. Do czasu jej wykrycia Kelley albo zwróci pieniądze z odsetkami, albo będzie już siedział. A wtedy jego nadające się do sprzedaży aktywa, czyli domy i samochody, wystarczą na pokrycie długu i na kaucję.

Kaucja. Planował przestępstwo, myśląc o kaucji. Liczył się więc z tym, że grozi mu więzienie. W najgorszym wypadku. Znow więc wszystko zależało od szczęścia. Ale przecież „wszystko jest możliwe”, jak powiedział Ryan, a ilość różnych

możliwości praktycznie nieskończona. Jedyne ograniczenia to te, które człowiek sam sobie narzuci. Wszechświat bowiem zachowuje całkowitą obojętność, a kara nie musi wynikać z winy. Nikczemnicy bywają nagradzani, aniołowie poniżani, a w jednej chwili wszystko ulega odwróceniu. Jedynym prawem jest prawo szansy.

Blue Sky znalazły się w punkcie ponad wszelkimi limitami. „Sięgaj po to, czego nie możesz uchwycić. Inaczej po cóż byłyby niebiosa?” To prawdopodobnie wszystkie linijki wiersza, które poznał w Elgar, w Kentucky, gdzie jedynym jego osiągnięciem było przejście z wiejskiej chałupy do kopalni. A potem osiągnął wyżyny, aby następnie zejść w dół, ogarnąć wszystkich małych ludzi i w dosłownym znaczeniu podnieść ich w górę. Zawieźć sklepowe do Paryża, tragarzy na wybrzeże, a górników na szczyty Himalajów. Dać ciężko pracującym szarym ludziom szansę na zobaczenie świata. Inaczej po cóż byłyby linie lotnicze?

Pogoda zmusiła go do lądowania w Montrealu.

Zameldował się w hotelu „Bonaventure” i zamówił do pokoju kanapki i butelkę.

Usadowił się na łóżku przed mamroczącym telewizorem, przyszykował sobie drinka i usiłował dodzwonić się do mieszkania w Nowym Jorku, aby odebrać wiadomości z automatycznej sekretarki.

Pierwsze nagranie brzmiało: „Alvy zgodził się. Działaj w sprawie kamieni”.

A potem głos Claire: „Burke? Chciałam... no... porozmawiać z tobą. Masz mój numer tutaj?” I szereg cyfr.

Frannie: „Słuchaj, zadzwoń do mnie. Przed północą. No dobrze. Powiem ci już teraz, bo potem mogę zasnąć. Pytałeś o raport ekonomiczny. Cóż, zostawiłeś go na biurku, a ja poszłam do toalety. Gdy wróciłam, pamiętam, że Ashe Warner wychodził z twojego biura. Powiedział, że położył ci na biurku parę negatywów. I rzeczywiście to zrobił. To był ten materiał o «Uśmiechu *Blue Sky*». Nie wiem, czy to coś pomoże, ale Ashe chyba mógł tam być przez jakieś piętnaście minut. Nie podejrzewam go jednak. A ty? Do zobaczenia jutro”.

Podniosła słuchawkę pod koniec drugiego dzwonka, jakby siedziała tam i czekała na telefon.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Nie. A u ciebie?

– Nie. – Roześmiała się. – Cóż... tak jak się spodziewałam. Ale z Markiem wszystko dobrze.

– Musiało być.

– Dlaczego?

– Bo to syn swojej matki.

– I poważnie traktuje świat. Właśnie dziś rano miałam telefon od zirytowanej mamusi. „Nie życzę sobie, aby mój Billy bawił się z pani synem”.

– Przykro mi.

– Myślę, że możemy żyć bez Billy'ego. – Zawahała się. – Ale nie sądzę, abyśmy mogli żyć bez ciebie.

Kelley nie odpowiedział. Leżał w obcym, pustym łóżku, w jeszcze jednym hotelowym pokoju i myślał, że już zawsze mogłyby być tylko obce, puste łóżka. Lub łóżka wypełnione obcymi. I poczuł, że najbardziej na świecie pragnie wziąć teraz Claire w ramiona.

- Słuchaj... Nie chcę cię utracić – powiedział.
 - Nie utracisz. Dlaczego to mówisz?
 - Bo mógłbym. Tak mogłoby się zdarzyć.
- Claire milczała przez chwilę.
- W związku z tą pożyczką? – zapytała wreszcie.
 - To już skończone. Odwołane. Zapomnij o tym. Zostało nam tylko parę dni.
 - I myślisz, że stracisz mnie, jeśli stracisz firmę?
 - Nie. Wtedy straciłbym siebie. A reszta poszłaby już szybko.
 - Powiedziałeś kiedyś, że zacząłbyś od nowa.
 - W trzypokojowym mieszkaniu. Cztery loty dziennie, do Albany i Utica. Tak właśnie zaczynałem.
 - I mógłbyś znowu.
 - Mam czterdzieści lat.
 - Staruszek – zakpiła.
 - Jestem zmęczony.
 - Bzdury. Będę robiła twoje reklamy.
 - Zwłaszcza w telewizji. Miałbym najwyżej dwanaście tysięcy dolców rocznie.
 - Burke?
 - Po raz pierwszy nazwałeś mnie Burke. Czy to coś znaczy?
 - Tak. Nie. Nie wiem. Chyba to, że cię kocham.
 - Claire! Nigdy jeszcze mi tego nie powiedziałaś.
 - Powiedziałam, że za ciebie wyjdę.
 - To prawda – odrzekł powoli. Mógł to sobie wyobrazić. Claire we wspólnym łóżku co noc. Mówiąca mu, że go kocha. Claire i dzieciak. Kabina samolotu i zachwycony mały chłopczyk. To było cudowne. Już samo wyobrażenie było cudowne.
 - Jak długo zostajesz w Kansas? – spytał.

- Do soboty.
- To dobrze.
- Wcale za mną nie tęsknisz – powiedziała Claire.
- Tęsknię okropnie. Teraz, przedtem i nawet na zapas.

Czy to wystarczy?

- Zobaczę cię w sobotę?
- Są szanse.
- Nie chcę żegnać się z tobą.
- To się nie żegnaj. Po prostu odłóż słuchawkę. Zaczekam, aż sobie pójdiesz.

Po chwili usłyszał trzask odkładanej słuchawki i sygnał rozłączenia rozmowy.

W telewizji nadawali stary western. Kelley patrzył obojętnym wzrokiem w ekran i pociągał whisky.

Twardziel zaczyna mięknąć, pomyślał. Gdy zbyt długo i zbyt intensywnie rozmyślał o Claire, zapominał o niebezpieczeństwie, marzył natomiast o ciepłym domowym ognisku i zaniechaniu walki. Nowe, hollywoodzkie zakończenie. Tak jak w „Dallas”. Odnowiona moralność zbrodniarza. Rekin łagodnieje i zdobywa powszechne uznanie.

Dlaczego zawracać sobie głowę takimi mrzonkami? Nie żeby zostać bohaterem. Na pewno nie. A więc chyba tylko po to, żeby poczuć się sobą.

Pomyślał o wiadomości, którą Frannie nagrała mu na sekretarkę. Pytała go, czy podejrzewa Ashe'a.

Aż do tej chwili nie podejrzewał go, lecz teraz... Ashe został zaangażowany z polecenia Rosettiego, który tak zniecka stał się pracownikiem Federal Airlines. A może wcale nie zniecka? Pomyśl o tym, mruknął do siebie Kelley. Może

Ashe'owi zaoferowano posadę w „Federal”? Może nawet spotkał się już z Chambersem i wszystko ustalili. Mógłby zostać dyrektorem do spraw marketingu jednej z największych linii lotniczych na świecie. Z pensją ćwierć miliona dolarów rocznie plus akcje „Federal”. A kontrakt na pewno zawierałby klauzulę o wysokiej odprawie, więc nawet w wypadku utraty stanowiska Ashe nic nie straciłby.

Kierownicze stanowisko, wysoka pozycja towarzyska, splendor... Tak, pomyślał Kelley. To marzenie Ashe'a.

Leniwe rozmyślenia z wolna przechodziły w sensne majaki. Rozpalone, południowe słońce, Kelley idzie samotnie ulicą, Chambers zbliża się z przeciwka. Rosetti czai się na dachu, a Ashe gdzieś w podwórzu. Kelley wie, gdzie znajdują się wrogowie. Idzie jednak prosto w zasadzkę, prosto w paszczę trzygłowego smoka. Nagły, niespodziewany świst kuli. Zaskakująco silne uderzenie pocisku zwała go z nóg w kurz ulicy. Skręcony z bólu, gorączkowo szuka broni. Lecz słońce świeci zbyt jaskrawo, a cienie stają się coraz głębsze. Śmierć zbliża się wielkimi krokami.

Obudził się na sekundę przed tym, jak miał umrzeć.

ROZDZIAŁ 24

Centrum, gdzie szlifowano i sprzedawano najwspanialsze diamenty świata, znajdowało się na jednej z bardziej niechlujnych ulic Manhattanu. Biuro Morty'ego Savage'a, gdzie codziennie przewijały się kamienie warte dziesięciu lub dwunastu milionów dolarów, wyglądało jak spelunka, w której równie dobrze prezentowałby się kantorek podrzędnego bukmachera. A przecież Morty Savage był znawcą, nieomylnym ekspertem, bezbłędnie rozróżniającym jakość, szlif i wartość diamentu.

Kelley usiadł przy porysowanym mahoniowym biurku, na które padało szare zimowe światło, z trudem przebijające się przez brudne, zbryzgane deszczem szyby. Po drugiej stronie ulicy, w podobnym biurze przy Zachodniej Czterdziestej Siódmej, kobieta w średnim wieku wychylała się przez okno i bezmyślnie gapiła na jezdnię.

– Mam – powiedział Morty. – Jak ci się nie spodoba to, co mam, poszukam czegoś innego. Ale mam coś takiego, że jak ci się nie spodoba, to będziesz durniem.

Morty miał sześćdziesiątkę, zmierzwioną brodę i ptasie oczy. Mówił z przedziwnym, budzącym pomruk niezadowolenia, akcentem.

Na biurku pokrytym niebieskim pluszem królowała lampa na długim pałaku, wyglądająca jak zgarbiona staruszka, która podejrzliwie zerka na rozłożone na stole rzeczy.

Morty zapalił lampę i poszedł do skarbca. Wrócił z kilkoma diamentami, które ułożył starannie i powoli na pluszowej narzucie, po czym wyprostował się i założył ręce.

Kelley wyciągnął rękę w kierunku jednego z kamieni.

– No... nie najgorszy – pochwalił go Morty.

– Ale nie dość dobry – rzucił Kelley.

– Nie najlepszy. Zaraz ci pokażę ten naprawdę wspaniały.

Tutaj. – Morty podał Kelleyowi lupę jubilerską i uniósł kamień. – Czternaście karatów. Pięćdziesiąt sześć ścianek. Tylko popatrz. Lśni jak światło z niebios. Jak tajemnicze serce płomienia.

– Ile?

– Dla ciebie? Dla ciebie, który nie ma w duszy ani krzty poezji? Powiedzmy, pół miliona dolarów.

– A jakbym zaczął recytować: „Róże są czerwone...”

– Pięćset tysięcy dolarów – powiedział Morty z uśmiechem.

– Co tam jeszcze masz? – spytał Kelley.

– Nie podoba ci się to, co widzisz?

– Podoba. Ale chciałbym zobaczyć inne.

– Mało ci? – Morty się roześmiał. – To weź dwa. Są małe. Dlaczego nie? Bogaty z ciebie młodzieniec ostatnimi czasy. Mogę zapytać, po co je kupujesz?

- Inwestycja.
- Ach tak? Nie miłość?
- Jest jakaś różnica?
- Dla mnie żadna. No więc mam tutaj – Morty zawiesił głos – klejnot nad klejnoty. Miliarderzy dostają gorączki i wypieków. Kamień, on jest wart półtora miliona i ani centa mniej, choćbyś mi tu wyrecytował „Mała Mary ma owieczkę” albo sonety portugalskie. Spójrz na to. Zupełnie jak ten, który Ryszard dał królowej Elżbiecie. Czterdzieści dwa karaty. Gwiazda w diademie nocy – powiedział Morty z patosem, gdy Kelley podniósł diament. – To dopiero inwestycja. Żadna tam miłość. Pieniądze, ot co. Spójrz tylko. Wygląda jak tęcza, zamknięta w dłoni.

Kelley trzymał kamień w palcach, lecz zamiast gorączki emocji, odczuwał lodowaty chłód. Wstrząsnął nim zimny dreszcz przecucia, tak jak w Las Vegas, gdy rzucał kości. Odłożył kamień na biurko.

- Więc? – zagał Morty. – Co tam?

Kelley nie odpowiedział. Ujął w palce jeden z diamentów i znów uczył ten niewiarygodny skurcz jak zły omen.

- Sumienie robi z nas tchórzy – powiedział.

- Mówiłem, że Shakespeare czy inne dziecięce czytanki nie wyjdą ci na dobre. Daję ci, za przeproszeniem, najniższą cenę. Za te dwa kamienie chcę dwa tylko miliony, mój „panie milionerze”.

- Świetnie. Dam ci znać w piątek.

- W piątek – skinął głową Morty. – Taki interes, on ma tu leżeć do piątku? Jak ludzie usłyszą, że mam takie cuda, zbiegną się tu ze wszystkich stron. Ze Staten Island, z Bronxu... W

piątek... Ale przed zachodem słońca, dobrze? – zakończył z westchnieniem.

Hotel „Palmer Palace” otwarto rok temu. Kelley pamiętał, że opinie architektów były mocno zróżnicowane; od szaleńczego zachwytu do lodowatej obojętności czy wręcz dezaprobaty. Entuzjaści nazywali budynek „najwspanialszym hotelem świata”. Inni przezywali go „żałosnym pałacem”, a Peter Repozo z *New York Timesa* określił go mianem „czerwonego niebezpieczeństwa”. Cały hol wraz z ogromnym zdobionym przedsionkiem, wykonano z ciemnobrunatnego marmuru. Każdy z blatów, pokrywających ściany i podłogi, sprowadzono z Włoch pod czujnym okiem Rebecki Palmer, którą Kelley nazywał w myślach „czerwoną królową”.

Mosiężne drzwi skrywały lustrzane wnętrza wind, rozbrzmiewających elektronicznymi dźwiękami muzyki Haydna. Dla każdego coś miłego.

Kelley wysiadł na czterdziestym ósmym piętrze, zwanym „Wieżą z kości słoniowej”. Znajdujące się tu pokoje reklamowano jako „indywidualnie urządzone apartamenty w chmurach”, co było równie wzniosłe, jak dekoracja wnętrz. Rebecca Palmer okazała się szalenie dosłowna. Ściany, meble i tapety wzdłuż korytarzy były w kolorze kości słoniowej. Opowiadała, że zawiozła nawet próbki materiałów i glazury do Kongo, aby porównać ich barwę z prawdziwymi słoniowymi kłami.

Jean Roque zajmował apartament numer dwadzieścia jeden, Kelley pamiętał, że poznał tego mężczyznę zeszłego

lata, gdy Paul przywiózł go do domu nad zatoką. Pamiętał też, że Roque zachowywał się z osobliwą, dość oschłą dystynkcją. Miał tytuł barona czy hrabiego i masę pieniędzy, zarówno nowych, jak i starych. Był właścicielem sieci hoteli w Europie, winnicy w Burgundii i jachtu, tak ogromnego, że mógłby służyć Noemu jako arka.

Wydawało się oczywiste, że ten facet nie wie, co robić z pieniędzmi. Apartament, w którym mieszkał, kosztował co najmniej osiemset dolarów za dobę. Kelley stał przed kremowymi drzwiami i zastanawiał się, jakiego rodzaju człowiekiem jest Roque. Paul powiedział Kelleyowi, że ma tu przyjść, gdy będzie „naprawdę przyparty do muru”, dając do zrozumienia, że proponowany układ nie musi być idealny. Kelley mógł jedynie przypuszczać, że skoro Roque jest Francuzem, interes będzie miał coś wspólnego z lotami do Paryża. Na przykład wiązana sprzedaż biletów lotniczych i miejsc hotelowych. A może Roque ma chęć na przejęcie trasy do Paryża? To całkiem prawdopodobne i rozsądne wytłumaczenie, pomyślał Kelley. Mógłbym mu oddać ten kasek w zamian za odpowiedni zastrzyk gotówki. Zapukał do drzwi i poczuł nagły skurcz w piersi.

– Ach, jak to miło, że wpadłeś – powitał go Roque.

Francuz, ubrany w szlafrok, wyglądał niemal królewsko godnie. Mimo sześćdziesięciu lat miał wciąż ciemne gęste włosy. Był w świetnej formie. Pociągłą twarz zdobił orli nos i zadziwiająco ciepłe i pogodne oczy.

Zaprowadził Kelleya do pokoju umeblowanego na francuską modłę, pełnego złoceń i inkrustacji. Na sofie leżała

nadašana młoda blondyneczka. Dziwka. Stówa za noc, pomyślał Kelley. Dziewczyna miała bardzo starannie upięte włosy, które spływały na ramiona kaskadą loków. Fryzura była bez wątpienia skopiowana z wizerunku jakiejś bogini. „Pewnie kelnereczka z baru szybkiej obsługi na piątej autostradzie”.

– Pozwól przedstawić sobie Suzanne – powiedział Roque.
– Suzanne La Salle. – Wymówił jej nazwisko z takim szacunkiem, jakby przedstawiał księżną Windsor.

– Cześć – rzucił Kelley.

Dziewczyna miała około dwudziestu lat, pociągającą kocią twarz, duże piersi i drobne ciało.

– Obiecuję, że jeszcze usłyszysz o tym nazwisku – odezwał się Roque.

Dziewczyna powiodła oczami za Kelleyem w czasie gdy Roque podszedł do baru w rogu pokoju. Kelley przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Krwawa Mary? – spytał Roque.

– Z przyjemnością – odparł Kelley.

Roque nalał koktajlu ze stojącego na barku dzbanka i wrócił do sofy. Usiadł obok dziewczyny i ujął jej drobną i bez wątpienia zgrabną dłoń.

– Ta mała – powiedział – ma w sobie światło, które rozpalą ekran.

Suzanne obgryzała skórkę przy paznokciu.

– Tak – odrzekł Kelley zdawkowo.

– To widać gołym okiem, nieprawdaż?

– Oczywiście. Suzanne wygląda jak Pia Zadora ze wschodu.

– Przepraszam? – Roque nie zrozumiał.

– Aktorka, też z wewnętrznym światłem.

- Och, ale nie ma drugiej takiej jak ona na całym świecie. Spróbuj na rogu Czterdziestej Drugiej, pomyślał Kelley.
 - Muszę iść do manikiurzystki, Jean – odezwała się dziewczyna, lecz Roque nie miał zamiaru puścić jej ręki.
 - Kamera wprost ją uwielbia – ciągnął. – Pieści jej twarz i odnajduje duszę na dnie oczu.
 - Będę miała też pedikiur i mówiłam ci, że jestem umówiona o drugiej – wtrąciła Suzanne.
 - Ach! Tak, rzeczywiście. – Roque rozpromienił się. – Musimy przecież dbać o te cenne małe paluszki.
 - Żeby były śliczne i żebyś mógł je całować – rzuciła bez troski dziewczyna. Wyswobodziła rękę i wstała. – Spotkamy się o trzeciej piętnaście?
 - Będę czekał – odparł Roque.
- Suzanne poszła do przedpokoju. Stała przed lustrem i narzuciła na siebie długie do ziemi sobole.
- Nie spóźnij się – powiedziała z nadąsaną buzią. – Bo będę tęsknić.
 - Moja słodka! – westchnął Roque.
- Z rozjaśnioną twarzą patrzył, jak dziewczyna idzie przez hol, stukając obcasami. Cały spięty czekał, aż przejdzie przez drzwi. Gdy zamknęła je za sobą, raz jeszcze westchnął i zwrócił się do Kelleya.
- Pewnie myślisz, że jestem starym durniem.
 - Ależ skąd – zaprzeczył Kelley. – Ona jest bardzo atrakcyjna.
 - Ale mógłbym być jej dziadkiem, prawda? – powiedział Roque. Kelley grzecznie milczał. – Maj i grudzień. No cóż. Pobierzemy się na wiosnę, a w lecie rozpoczniemy

produkcję. To będzie cudowny film, a Paul DuLac, jak wiesz, zajmie się reżyserią. On wierzy, tak samo jak ja, że Sooz to wschodząca gwiazda.

– Paul ma dobre oko – odrzekł Kelley.

– Powiedziałem mu, żeby dał z siebie wszystko. Dla Sooz musi być wszystko co najlepsze. Ważne jest, że dam jej wspinałką oprawę. Wiesz, o co mi chodzi?

– Jak klejnotu?

– Dokładnie. Szukam też odpowiedniego domu. Wszędzie się rozglądam. Moim zdaniem, dla kariery Sooz ważne jest to, że mieszkamy w Stanach. A przynajmniej na razie. Ale mówię ci, za dwa, trzy miliony można teraz dostać najwyżej betonowe pudełko bez charakteru i stylu. I do tego akr ziemi z suchym laskiem. Nie, to nie dla mnie. Szukam pięknej posiadłości, takiej jak twoja. Mówiłem to Paulowi. Masz tam cudowną przestrzeń i ocean jak dywan przed drzwiami. – Roque pociągnął ze szklanki. – Przypuszczam, że nie wiesz o żadnych domach, takich jak twój, które są na sprzedaż?

Kelley niemal się roześmiał. Jeanowi wcale nie chodziło o trasę do Paryża, ale o dom. Ile mógł dać? Kilka milionów? A do czasu załatwienia wszelkich formalności związanych ze sprzedażą, łącznie z wizytami, rzeczoznawców i prawników, można będzie przeżyć jeszcze pięć czy sześć miesięcy.

– Przykro mi, ale zupełnie się nie orientuję w kwestii nieruchomości – powiedział.

– Chętnie zapłacę, powiedzmy, do pięciu milionów dolarów. – Roque zawiesił na chwilę głos. – Za posiadłość taką jak twoja.

– No cóż. Jeśli chodzi o mój dom, to jest on prawie sprzedany. Prawdę mówiąc, jutro finalizujemy sprawę. Cenę, tak na marginesie, wraz z paroma akrami plaży ustalono na sześć milionów sześćset.

– O, la, la! – zawołał Roque. – A to szkoda! Miałem do ciebie zadzwonić, wiesz? Przypuszczałem, że możesz chcieć sprzedać ten dom.

– Jestem niepokieszony – odrzekł Kelley po francusku.

– Wszędzie już szukałem. – Roque był skonsternowany. – Ale nic nie umywa się do twego domu.

Dalej, pomyślał Kelley. Zaczynaj targ. Najwidoczniej Roque odczytał jego myśli, gdyż podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Ale, ale! Powiedziałaś, zdaje się, że jeszcze nie sprzedałaś domu ostatecznie.

– Och! Jutro w południe. Więc to już prawie załatwione.

– A jeśli zaoferuję ci... pół miliona więcej?

Kelley potrząsnął głową.

– Słuchaj, tu nie chodzi wyłącznie o pieniądze – odparł. – Chodzi też o czas. Domyślasz się, że zależy mi na gotówce, a jutro dostanę czek. Stawiamy więc sześć milionów sześćset w ręce przeciwko gruszkom na wierzbie gdzieś w maju. Nie, przykro mi. Jak mówiłem, jestem niepokieszony, ale nie.

– Ale ja też mogę dać ci czek.

– Do południa?

– Chcieć to móc – stwierdził z mocą Roque. Kelley udał głęboki namysł. – Pod warunkiem – dodał Roque – że Sooz też będzie podobał się ten dom.

– Aha, Sooz – mruknął Kelley i spojrzął na zegarek. Jeszcze nie złożył swojego czeku w banku. Czas mijał nieubłaganie. Zabawa w kotka i myszkę. – Jeśli zechciałbyś spotkać się ze mną w heliporcie...

– Nie. Moja ptaszyna nie lubi latać. Ale może ty pojechałbyś z nami samochodem?

– To w takim razie spotkajmy się w domu, powiedzmy, o siódmej, dobrze?

– Załatwione. – Roque wstał. – Mam nadzieję, że jej się spodoba.

– Inaczej gra nie byłaby warta świeczki – odrzekł Kelley.

ROZDZIAŁ 25

Kelley leciał samotnie wzdłuż Long Island i ponuro rozmyślał nad niewesołą przyszłością. Nawet gdyby dostał jutro pieniądze, starczyłoby ich jedynie na to, aby przetrwać do pierwszego. A w ciągu następnych trzydziestu dni pojawiłyby się te same dręczące problemy, których szanse rozwiązania malały z każdą dekadą. Gdyby teraz nie udała się transakcja z Chookiem, droga do Attyki byłaby zamknięta.

To właśnie miał na myśli mówiąc, że gra nie byłaby warta świeczki. I nadal nie mógł zrozumieć tego dziwnego przeczucia, które owładnęło nim, gdy trzymał w dłoni diamenty w biurze Morty'ego Savage'a.

Omen. Samo słowo wzbudzało w nim śmiech. Lecz nie żartował, gdy powiedział, że sumienie robi z ludzi tchórzy. Wmawiał sobie, że głos sumienia to brzęczenie uprzykrzonej muchy. A może cichy protest naginanej woli? Nie chciał tego robić. Jeśli siedem milionów od Roque'a pozwoli mu na przeżycie tygodnia, to...

– Spokojnie – powiedział sobie. – Zobaczymy, jak będzie.

Widoczna w świetle zimowego popołudnia woda zdawała się mętna i wzburzona. Kelley był ciekawy, jak zachowa się Sooz. Albo pokocha ten dom od razu, albo go znienawidzi. Lub też wzruszy wątlm ramieniem i zacznie obgryzać paznokietek. Wołał jednak polecieć tam wcześniej, aby wszystko sprawdzić i uprzedzić starego dozorcę o wizycie gości, którzy być może zostaną jego przyszłymi pracodawcami.

Dom był już w zasięgu wzroku. Kelley zbliżał się od strony prywatnego doku nad zatoką, do którego przylegał szmat plaży. Wiodły do niej drewniane schody prowadzące od małego skalnego wzniesienia.

Kelley spojrział na dom z ciężkim sercem, lecz nie dostrzegł tym razem znajomej otoczki romantyzmu. Nikt nie pluskał się i nie śmiał na plaży, nikt nie kochał się na wzgórzu. Dom zionął pustką, taką samą, jaka gościła w duszy Kelleya. Na ogół spędzał tu samotne chwile na plaży, z dala od szcziebioczącego towarzystwa. Czasami brał łódkę i wypływał daleko. Raz był tu z Mirandą podczas nieobecności Karen.

Okrażył posiadłość i nagle zdał sobie sprawę, że w latach dwudziestych, gdy zbudowano ten dom, było to zapewne cudowne miejsce, oaza przyjemności. Dwudziestopokojowy dworek z kamienną fasadą. Może mieszkał tu dostatnio jakiś przemysłnik alkoholu? Wylegiwał się na trawie lub pływał w świetle księżyca?

Pustka rzeczywistości nawet nie dotknęła Kelleya mocno.

Miał bowiem świadomość, że sam jest bez wątpienia temu winny.

Wylądował na pustej połaci trawnika. Na dróżce wjazdowej stały dwa samochody: poobijana furgonetka i zakurzony ford. Kelley zajrzał do nich, przechodząc obok. W stacyjkach tkwiły kluczyki, a na tylnym siedzeniu forda leżały jakieś podręczniki z Harvardu. Nie wyglądało na to, aby pojazdy należały do starych kumpli milczącego i ponurego Alberta McKendricka, który zajmował się posiadłością.

Wszystko stało się jasne, kiedy wyciągnął klucze i wszedł do środka.

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegł, był nieporządnny stos bagażu i płaszczy, zawalający hol. Obok otwartej i wybebeszonej walizki Karen leżała druga, a ciemne futra z norek zaścieniały podłogę. Na krześle leżała męska skórzana kurtka. Rękawy zwisały luźno na ziemię, jakby kurtka zemdląła z wyczerpania.

Z saloniku dobiegały ostre dźwięki muzyki, a męski głos powtarzał: „Tak, o tak”. Kelley nie był pewien, czy słowa te pochodzą z płyty, czy też wymawia je mężczyzna, który znajduje się w pokoju. Przeszedł przez hol, a w głowie kotłowały mu się przeróżne myśli i przypuszczenia. Jednakże widok, który ujrzał po otwarciu drzwi, przerósł jego najśmielsze wyobrażenia.

Karen i Candy kochały się na dywanie. Radio tętniło muzyką, na kominku płonął ogień. Dwaj młodzi chłopcy, obaj nadzy, obserwowali rozgrywającą się scenę. Jeden z nich trzymał w dłoniach pracującą kamerę wideo.

W pierwszym odruchu Kelley zdzielił młodzieńca w twarz i wyrwał mu kamerę. Chciał już grzmotnąć nią o ścianę, lecz przezorność i w dużej mierze trzęsąca nim wściekłość nakazały mu wycelować obiektyw w chłopców. Sfilmował ich zdumione i przerażone twarze, wyprężone ciała i opadające członki. Następnie skierował kamerę na Karen i Candy, które podnosiły się ociężale z podłogi. Mrugały nieprzytomnie oczami, niczym syreny wynurzające się z morza na światło dnia.

Na podłodze leżały tabletki i stała butelka alkoholu.

Kelley wyłączył kamerę i odłożył ją na stół. Candy zachotała.

– „Kiedy wrócił Jaś z wojenki...” – zanuciła Karen. – Tra, la, tra, la...

Kelley wyłączył radio i otworzył duże francuskie okno, wiodące na patio. Do pokoju wtargnął lodowaty powiew wiatru. Obaj studenci leżeli w niedbałych pozach i wpatrywali się w Kelleya, jakby był on sennym koszmarem. Tacy młodzi, a już tak całkowicie zepsuci, pomyślał. Jego pierwotna chęć wychłostania młodzieńców przygasała, złagodzona ich niewątpliwym zmieszaniem. Pigułki i alkohol, seks i rozpusta wy-czerpały ich, lecz obaj zdawali sobie sprawę z intencji Kelleya. Jeden z nich chwiejnie dźwignął się na nogi.

– Spokojnie, człowieku – wymruczał. – Spokojnie. Już się zmywamy.

– To prawda – odparł Kelley i wskazał otwarte okno do ogrodu. – W tej chwili i tak, jak stoicie.

– Spokojnie...

- Na dworze jest bardzo zimno – dodał Kelley.
- Więc zbierajcie ciuchy i może nabierzecie chęci, aby je szybko włożyć. Ruszać się! Już!

Chłopak zrobił niezgrabny sus w kierunku swojego ubrania. Drugi młodzieniec uznał widocznie, że było to ogromnie zabawne. Leżał na podłodze i zanosił się śmiechem. Kelley złapał dzinsy z paskiem, wyciągnął go ze szlufek i ruszył w stronę chłopaka.

– Och! Lekcja dobrych manier? Świetnie – powiedziała Karen.

Kelley tylko na nią spojrział. Przyklęknął na podłodze, otoczył paskiem drgające śmiechem ciało i związał mocno. Uniósł drobnego młodzieńca bez wysiłku, powlókł po podłodze i wyrzucił za drzwi. Jego kolega był ostrożniejszy. Skakał właśnie niezdarnie po trawniku, płacząc się w spodniach. Kelley pozbierał resztę ubrań, cisnął je do ogrodu i zamknął drzwi.

– A teraz – zwrócił się do Candy – chcesz zostać potraktowana tak samo, czy ubierzesz się bez oporów?

– Ja?! – Głos Candy rozbrzmiewał niedowierzaniem i urazą.

– Liczę do dziesięciu – powiedział Kelley.

Podniósł kamerę, zaniósł ją do holu i zamknął w szafie. Zgarnął z podłogi futra, które rzucił kobietom w pokoju.

– Trzy... cztery... – liczył. Spojrzął na Karen, której skóra zsiniała z chłodu. – Na twoim miejscu, dziecino, włożyłbym to futerko. Jeśli już nie dla zdrowia, to chociażby z poczucia elementarnej estetyki. Wyglądasz równie pociągająco, jak nieboszczka – powiedział.

Podszedł do telefonu. Candy narzuciła futro, lecz nadal siedziała bez ruchu. Była chudsza od Karen, a jej jasne włosy poskręcały się i zmatowiały od potu.

– Wybieraj! – rzucił Kelley. – Albo dzwonię do twojego męża, albo po gliny. Gdybyś jednak zechciała się ubrać i wyjść, mój dozorca odwiezie cię do domu. Doliczyłem już do siedmiu. – Podniósł słuchawkę. – Osiem. – Zaczął wykręcać numer.

– Cholera! – westchnęła Karen. – Co za kutas! Zupełnie bez poczucia humoru!

– Dziesięć.

– Och, dobra już. – Candy wstała.

Wciąż naga Karen patrzyła na Kelley a z podłogi.

– Nadęty kutas – powiedziała. – Szttywniak.

– Chcesz się założyć? – rzucił Kelley. – Nawet kolos opadłby przy tobie.

Połączył się z dozorcą McKendrickiem w jego domku i powiedział mu, że „parę osób wypilo trochę za dużo”. Obiecał mu naprawdę fantastyczny napiwek za odwiezienie ich do miasta.

Obietnica pieniędzy skruszyła ewentualne obiekcje dozorca. Pięć minut później Kelley usłyszał warkot ciężarówki. Pomógł McKendckowi zgarnąć z ogrodu obu młodzieńców i wrzucił ich razem z bagażami do paki samochodu.

Candy siedziała z przodu i popłakiwała.

– To będzie ciężko zarobiona forsa – mruknął McKendrick.

– Szczęśliwej drogi – powiedział Kelley.

Stał przed swoim wspinałym domem, wsłuchiwał się w cichnący w oddali szum motoru i usiłował sprecyzować to, co czuł w tej chwili. A czuł się obojętny i drętwy jak pień.

Karen siedziała tak, jak ją zostawił; na podłodze przed kominkiem. Rozłożyła się na cienkim futrzanym dywaniku i zawinięta w futro paliła papierosa i piła burbona.

Kelley zgarnął rozrzucone pastylki i cisnął je w ogień. No nie! Ona żłopie burbona i ćpa prochy, pomyślał.

– Skończona kretynka – warknął głośno. Karen nie odpowiedziała. Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. Kelley spojrzął na jej martwe oczy, obwiedzione rozmazanym tuszem i kościste ciało błyskające bielą spod futra. Wyglądała jak ofiara pocałunku Drakuli. – Spójrz tylko na siebie – powiedział. – Mój Boże! Dzięki Konwencji Genewskiej jeńcy wojenni wyglądali lepiej od ciebie.

– Przestań.

– To chyba ty powinnaś przestać, nieprawdaż? Co, u diabła, robisz ze swoim życiem?

– Doskonale wiesz, co robię.

– Czyżby? Nie wiedziałem nawet, że jesteś lesbijką. Nie wiedziałem, że w świetle księżycy udzielasz lekcji biologii drugoklasistom. Tym właśnie się zajmujesz?

Karen nie odpowiedziała. Sączyła leniwie drinka.

– Od jak dawna ty i Candy...?

– O matko, jaki z ciebie kretyn – westchnęła Karen.

– Bez wątpienia – przyznał Kelley.

– I to od lat.

– Robiłyście to na pokaz?

– Kretyn bez wyobraźni – powiedziała. – Robiliśmy to z chłopcami, a chłopcy ze sobą.

– Rozumiem. I wszyscy świetnie się bawili. – Podniósł butelkę i pociągnął łyk. – Przypuszczam, że już parę lat temu powiedziałaś Candy, że kiedyś wozilem towar z Ryanem. Takie zwykłe babskie ploteczki, co?

– To było tej nocy, kiedy mnie zgwałciłeś.

– Aha. Czyli słodka zemsta?

– Ale potem okazało się... okazało się, że to prawda.

– A jednak nie. Ale to nieważne, Karen. Opowiadasz takie historie, a twoja przyjaciółeczka Candy rozgłasza je po całym mieście. Na przykład wyklepała Mirandzie, że się wsterylizowałaś. Mam jedynie nadzieję, że jej usta wynagradzają ci to jakoś.

Karen milczała. Piła i wpatrywała się w trzaskające na kominku polana. Kelley wstał i podszedł do okna.

– Za parę minut spodziewam się gości. Chciałbym, abyś poszła na górę i położyła się – powiedział.

– Ty chciałbyś! – Roześmiała się sucho. – A jak to jest na tym nieszczęsnym świecie, gdy nie ma się tego, czego się chce?

– A czego ty chcesz? – Kelley odwrócił się od okna. – Serio, Karen. Czego ty, u diabła, chcesz na tym nieszczęsnym świecie? Co ci daje szczęście?

– Szczęście? Szczęście! O tak. To ten siódmy krasnoludek, prawda? Jak on się nazywał? Nie widzę go tutaj. Chyba czytałam gdzieś, że umarł.

– Nie. To Królowna Śnieżka umarła. Zaćpała się na śmierć.

– Och, to musiała umrzeć szczęśliwa – odparła Karen. –
Może właśnie o tym czytałam.

– Jak na taką drętwą rozmowę, radzisz sobie całkiem nie-
źle.

– Mhm. Jak na rozmowę z kamieniem, to tak. Bo ty jesteś
kamieniem. Toczysz się i toczysz, i nic z tego nie masz.

– A co ty masz?

– Różane pączki – odrzekła z chichotem. – Łóżko pełne
róż. Ojej! Obiecali ci ogród, a dostałeś jedynie zawieszony cia-
sny wyrko. Więc co z tobą, Kelley? Masz to, czego chciałeś?
A może wciąż jeszcze harujesz, aby to dostać?

– Chcę tylko jednej rzeczy. Rozvodu – odparł spokojnie.

– O, nic! Po moim... nie, po twoim trupie!

– Będziesz robić problemy?

– Możesz być tego pewien. I nie tylko. Narobię masę
smrodu wokół i jeszcze wyciągnę kupę forsy. Przyglądałam
się twoim zdjęciom z tą ślicznotką i myślałam sobie tak: „Cie-
kawa jestem, czy on teraz spróbuje czegoś”. Myślałam sobie
też, że mogłabym załatwić tę twoją ślicznotkę jak pluskwę.
Tak na początek.

Kelley nie odpowiedział. Pociągnął łyk piwa.

– Rzec polega na tym – zaczął z wahaniem – że mam tę
taśmę. Słuchasz mnie, Karen? – W jej mętnym wzroku błysnę-
ła iskierka zainteresowania. – Jeśli chcesz kłopotów, to ja mo-
gę narobić jeszcze większych. Mogę pokazać tę taśmę w są-
dzie. A nawet wysłać do twojego żurnala.

– Nie zrobiłbyś tego – wyszeptwała.

– Spróbuj, to się przekonasz. A teraz posłuchaj. Jeśli

zechcesz i jeśli będzie trzeba, zapłacę za lekarzy i wszelkie kuracje, na jakie się zdecydujesz. Ale to wszystko.

Odezwał się dzwonek u drzwi.

Karen nadal siedziała bez ruchu. Tylko jej oczy pały gniewem.

– Nie możesz mi tego zrobić... – powtarzała.

– Mogę i zrobię to, jeśli będę musiał. A teraz lepiej idź do swojego pokoju.

Dzwonek zabrzmiał ponownie.

– Dlaczego? – spytała Karen.

– Spójrz w lustro, a dowiesz się dlaczego – odparł.

Poskutkowało. Karen poderwała się z krzesła.

– Znajdę tę taśmę – wycodziła z furii. – Znajdę i spalę.

Była już w połowie holu, gdy drzwi wejściowe otworzyły się i stanął w nich Roque wraz ze swoją przyjaciółką. Oboje zakutani w sobolowe futra.

Roque przebiegł wzrokiem od Karen do Kelleya.

– Bardzo przepraszamy – powiedział. – Ale drzwi były częściowo otwarte i...

– W porządku – odparł Kelley. – Już szedłem, aby was wpuścić. Karen, sądzę, że pamiętasz Jeana Roque'a. Jest producentem filmowym. A to Suzanne... hm...

– La Salle – podpowiedział Roque.

– La Salle? – Karen uśmiechnęła się. – Tak jak „pokój” po francusku?

– Zgadza się.

– Wszyscy chyba wiemy, o jaki pokój tu chodzi. – Karen nie dawała za wygraną.

– Wejdźcie, proszę – wtrącił Kelley. – Zapraszam na drinka.

Suzanne odwróciła się do Roque'a.

– Co, u diabła, ona miała na myśli? – spytała.

– Nie wiem. – Roque wyglądał jakby rzeczywiście nie wiedział.

– Pomyślmy – odezwała się Karen. – Co też ona mogła mieć na myśli? Spizarkę? A może piwnicę?

– Sądzę, że powinnaś iść na górę i odpocząć – wtrącił szybko Kelley.

– Poczekalnia! – rzuciła Karen. – Może o to jej chodziło?

– Proszę wybaczyć mojej żonie – powiedział Kelley. – Gołym okiem widać, że jest chora.

– Komórka – ciągnęła dalej Karen. – Jestem blisko?

– To poważna choroba umysłowa – próbował wyjaśnić Kelley. – Żona właśnie wróciła z sanatorium. Jeszcze nawet nie rozpakowała walizki.

– Pokój na godziny w hotelu? – Karen nie poddawała się.

Kelley nie odpowiedział. Wskazał gościom drzwi do salonu i dał znak oczami, że prosi o cierpliwość i wszystko zaraz wyjaśni.

Roque zrozumiał tę gestykulację i ruszył do salonu.

– Ach, spójrz tylko, Sooz! W oknach są oprawione w ołów szyby! I jaki wspaniały widok!

Kelley zamknął za nimi drzwi.

– Nie wiem, jak mam przeproszać – zaczął i zwrócił się do Suzanne. – Ta piękna młoda dama z pewnością wybaczy.

Moja żona była kiedyś, wiele lat temu, równie piękna jak ty.
No, prawie – dodał.

Za drzwiami słycać było rumor i przekleństwa.

– Może przyjdziemy kiedy indziej – powiedział Roque.

– O nie! – warknęła dziewczyna. – Zgubiliśmy drogę i było strasznie zimno.

– Dostała dreszczy – wtrącił Roque.

– To może trochę whisky – zachęcił Kelley.

– A w tym cholernym domu jest zimniej niż na dworze – powiedziała Suzanne. Usiadła na kanapie i szczelnie owinęła się futrem.

– Przez wiele miesięcy dom był zamknięty – odparł Kelley. Nalał whisky przy barku w salonie i wrócił ze szklaneczkami do gości. – Wypij to. Zaraz będzie ci ciepłej.

Dziewczyna wychyliła zawartość szklanki jednym haustem. Za drzwiami w holu dał się słyszeć tupot nóg.

– Co ona tam wyprawia?

– Karen myśli, że Rosjanie nagrywają jej sny. Uważa, że te taśmy są schowane gdzieś tutaj, w domu – odpowiedział Kelley.

– Och, jakież to straszne! – odrzekł Roque. – To musi... to musi sprawiać ci wielki ból.

– I sprawia – przyznał Kelley. – Pod wieloma względami. Ale nie chciałbym, żeby to wpłynęło na waszą opinię o tym domu. Zapalę światła i rozejrzemy się po całej posiadłości.

– Nie chcę oglądać posiadłości – kaprysiła Suzanne. – Jest za zimno.

– Och, skarbie! – odparł Roque. – W lecie nie będzie

zimno. Wyobraź sobie tylko! Możemy pływać i opalać się na własnej, prywatnej plaży! Możemy kupić łódkę!

Żadna z tych przyjemności nie odpowiadała Suzanne, która zastanawiała się pewnie, jak jej fryzura zniesie wpływ wody.

– To może obejrzymy dom – zaproponował Kelley.

Ale dom też jej nie przypadł do gustu. Nie pociągała jej duża sypialnia z kominkiem ani patio z widokiem na ocean, ani marmurowe łazienki, ani kuchnia w wiejskim stylu, ani malowniczy ogród czy wykładane boazerią ściany.

– Może być – stwierdziła. – Staromodny.

– Staromodny?! – Roque roześmiał się.

– No to stary – powiedziała. – Zwyczajnie stary.

– Stary? – Roque nie dowierzał. – Ależ, kochanie. Mój dom w Burgundii jest stary. Ma około trzystu lat.

– Więc na pewno są w nim pajęczyny i szcury.

Wrócili do holu. Karen usiłowała dostać się do zamkniętej szafy. Ciągnęła za rączkę i waliła pięścią w drzwi. Kelley minął ją bez słowa i skierował się do wyjścia. Roque i jego okutany w futro skarb podążyli za nim.

– No cóż – zaczął Kelley, gdy stali już na podjeździe. – Wydaje mi się, że ten dom niezbyt odpowiada Suzanne.

– Uważam, że musimy to przedyskutować – powiedział Roque.

– Nie ma zbyt wiele czasu – zauważył Kelley.

Roque odwrócił się do dziewczyny.

– Pamiętasz, jak nie podobała ci się ta bransoletka, dopóki

nie powiedziałem ci, że to siedemnastowieczny klejnot kryty emalią. A teraz nosisz ją, a wszyscy wpadają w zachwyty. Mówię ci, kochanie, że to samo będzie z domem.

– Nno... może... – odparła niezdecydowanie Suzanne.

– Co „może”? – spytał Roque. Dziewczyna zadrżała. – Och, ty zmarłaś! Porozmawiajmy zatem w samochodzie. Zadzwoń do ciebie wieczorem – zwrócił się do Kelleya.

– Będę tu, w domu.

– Będziesz za chwilę w trumnie, jeśli nie przestaniesz gadać z tym durniem i tą dziwką i nie otworzysz mi tamtej szafy – wrzasnęła od drzwi Karen.

Jej futro rozchyliło się i stała naga w jaskrawym świetle lampy na ganku.

Roque cmoknął z dezaprobatą.

– Pożałowania godne biedactwo – mruknął po francusku.

Gdy Kelley wszedł do domu, „pożałowania godne biedactwo” bębniło pięściami w drzwi szafy.

Zbliżył się do niej i pokiwał głową. Następnie uniósł ją, przerzucił przez ramię i poniósł na górę, mimo że kopała i wrzeszczała. Postawił ją w kabinie kąpielowej, odkręcił wodę i czekał spokojnie do czasu, kiedy wrzaski przeszły w jęki, a wreszcie w cichy, bezradny płacz.

Wytrzeł ją delikatnie i zaniósł do łóżka. Objął ją, gdyż prosiła o to, i słuchał obietnic, że będzie dobra, i że się zmieni. Wreszcie kazał jej spać. Usnęła koło północy.

Roque nie zadzwonił. Wciąż jeszcze istniała szansa, że zadzwoni rano. Lecz była to jedna z trzech niemożliwych rzeczy, które mogłyby zdarzyć się przed śniadaniem, a osobliwości na ogół nie wróżą nic dobrego.

Kelley chodził bez celu po wyziębniętym domu. Nalał burbona z wodą i zapatrzył się w okno, na błądy księżyc wyzierający zza postrzępionych chmur.

Szczególne gra, w której brał udział, skończyła się. Tradycyjne reguły gry mówiły, że ten, który otrzyma trzy ciosy, odpada.

Hollis: pierwszy cios.

Quaid: drugi.

Roque: trzeci.

W końcu nie mógł powiedzieć, że nie próbował. Grać czysto, zwyciężać zgodnie z regułami gry. No, prawie zgodnie z regułami. Teraz jednak przystępował do znacznie trudniejszej i niebezpieczniejszej gry.

Zdał sobie sprawę, że aż do tej rozpaczliwej chwili wykonywał jedynie posunięcia, które stanowiły próbę działań, których nigdy nie podejmie. A teraz zyskał absolutną pewność, że jednak to zrobi. Mimo że wciąż czuł chłód trzymany w ręce diamentów i instynkt, który ostrzegał, że coś może się nie udać. Stał w świetle zachmurzonego księżyca i doskonale rozumiał, że pogwałci coś znacznie ważniejszego niż prawo. Pogwałci swój charakter.

A jednak był zdecydowany.

O szóstej rano, gdy Karen jeszcze spała, zadzwonił do sanatorium Betty Ford w Południowej Karolinie i zarezerwował miejsce. Na nazwisko Karen Houghton. Następnie połączył się

ze swoim biurem i zarezerwował dwa bilety na samolot o pierwszej i jeden powrotny na nocny lot.

Licząc na jeszcze jeden uśmiech losu zadzwonił do swojego mieszkania w mieście i odsłuchał zapis na automatycznej sekretarce. Jednakże nie było żadnej wiadomości od Roque'a. Tylko poważny głos Chooka D'Aquino:

„Ten sam pokój w motelu. Piątek w południe”.

ROZDZIAŁ 26

Dwa policyjne wozy stały przed budynkiem Giełdy Diamentowej i blokowały wzmożony poranny ruch na ulicy. Paru kierowców trąbiło bezustannie, a z okien taksówek dolatywały pokrzykiwania.

– Co za miasto! – powiedział kierowca Kelleya. – Bez przerwy coś się dzieje.

W holu giełdy stało dwóch policjantów w niebieskich koszulach. Kelleya opanowała idiotyczna myśl, że zaraz któryś z nich zawoła: „Hej, ty tam! Tak, ty. Ten z nie wypełnionym czekiem w portfelu na dwa miliony dolarów, za które chce kupić kokę. Chodź no tutaj!”

Na piętrze, gdzie mieścił się pokój Savage'a, stali następni dwaj. Kelley przekręcił klamkę. Biuro Morty'ego Savage'a było otwarte, a w środku znajdowało się kilku umundurowanych policjantów i sześciu cywilów, bez wątpienia detektywów.

– Co się stało? – zapytał Kelley.

Mężczyzna w czarno-białej kraciatej marynarce spojrział na niego z wahaniem.

– Ma pan upoważnienie? – odpowiedział pytaniem.

– Do czego? – zdziwił się Kelley.

Mężczyzna odwrócił się i zaczął coś mówić do rudego policjanta z okazałym czyrakiem na twarzy.

– Z panem Savage'em wszystko w porządku? – Kelley nie dawał za wygraną.

– Jest tam. – Cywil wskazał kciukiem wewnętrzne drzwi.

Kelley doszedł do wniosku, że moment nie był zbyt odpowiedni na prywatne transakcje.

– To ja przyjdę później – rzucił i skierował się do wyjścia.

Morty Savage wyszedł ze swojego gabinetu w towarzystwie kilku policjantów.

– Co ja wam mogę powiedzieć? – tłumaczył. – Ja tylko wiem, że one były w skarbcu, a teraz są poza skarbcem. Ajaj!

– Podniósł wzrok. – Kelley! I co ja ci dzisiaj sprzedam? Kaloryfer? Parę krzesel? A może chciałbyś zainwestować w przeciwłamaniowy system alarmowy? Też go mam.

– Obrabowali cię? – domyślił się Kelley.

– Obrabowali?! – Morty roześmiał się z goryczą. – Skarbiec jest wyczyszczony lepiej niż kuchnia mojej babki na święto Paschy. Wiesz, to chyba bogowie zrobili mi kawał. Żartowałem, że jak ludzie usłyszą, co ja tu mam, to zbiegną się ze wszystkich stron. Pamiętasz? I przyszli. Nie wiem, sam nie wiem. Jeśli chcesz zrobić jakiś interes, to wróć tu latem.

– Przykro mi – powiedział Kelley.

– Ja jestem ubezpieczony. Nie pójdę z torbami. Ale ze zdenerwowania przybyło mi dwadzieścia lat. Wiesz co? Jak chcesz zrobić interes, to przyjdź za miesiąc. Jak Matuzalem

otworzy ci drzwi, to znaczy, że będę to ja.

Jeden z policjantów zwrócił się do Morty'ego.

- Potrzebujemy paru informacji.
- Informacji!?! – oburzył się Morty. – A co ja jestem? Encyklopedia, czy co?

Dziesiąta rano. I nie pozostawało nic innego, jak zacząć się upijać. Jedynym miejscem, w którym można by to zrobić, był bar „Blarney Stone”. Szczęście w nieszczęściu, był on czynny przez całą dobę i stanowił oazę dla wszelkiego rodzaju pechowców.

Kelley usiadł przy bufecie. Zamówił whisky i wypił za szczęście, które go opuściło. Nie tylko odwróciło się plecami, lecz wypięło się na niego całkowicie. Sam musiał przyznać, że to zabawne. Tylko sięść i ryczeć ze śmiechu. Gra, we wszystkich swoich gorzkich odmianach, dobiegła końca. Nie było sposobu, aby w ciągu paru godzin zdobyć dobrej jakości diamenty wartości dwóch milionów dolarów. Za nie wypisany czek z funduszu emerytalnego upadających linii lotniczych. W poniedziałek rano będzie mógł wkleić ten czek z powrotem do książeczki czekowej. I na tym koniec.

Z automatu w barze zadzwonił do Zeedee'ego. Nie chciał wdawać się w szczegóły.

- Przepraszam, stary, ale nie mogę tego zrobić – powiedział tylko.
- Nie możesz czy nie chcesz? – spytał Zeedee.
- To bez różnicy. Zawiadam Chooka.
- Będzie zachwycony – odrzekł Zeedee z przekąsem.

- Na pewno.
- Ale z ciebie głupek. I co teraz będzie?
- Nic – powiedział obojętnie Kelley. – *Idący na śmierć pozdrawiają cię.*
- Idący na samobójczą śmierć – poprawił go Zeedee. – Całe szczęście, że ja nigdy nie liczyłem na ciebie zbyt poważnie, więc się zabezpieczyliśmy. Będę musiał wprowadzić w życie plan numer dwa. Ale nie mów, że nie próbowałem ci pomóc.
- Nie powiem.
- No to do zobaczenia.
- Mam nadzieję. Trzymaj się, Zeedee.
- Trzymaj się, dupku.

Kelley wrócił do domu kilka minut po drugiej na lekko chwiejnych nogach. Mieszkanie pogrążone było w tak koszmarną ciszę, że szybko włączył radio, aby słyszeć jakiegokolwiek dźwięki. Chciał zagłuszyć ten przerażający bełkot myśli, które szalały w jego głowie. Te wszystkie „Jeśli”, „może”, „powinno się”, „można by” i całą resztę „gdybań”, które nie ucichły pod wpływem alkoholu.

Nalał sobie jeszcze jednego drinka i wzniosł toast za „poważnego człowieka” z portretu na ścianie. Nikt pije za „nikogo”. Zero za zero. Pomyślał o Claire i znów sięgnął po butelkę. W głowie tłukły mu się słowa wierszyka:

I wylał swą whisky,
i usiadł w pokoju.
Miss Muffet z obawą....

Teraz Claire nie musi się już niczego obawiać. On też nie. Była to w pewnym sensie ulga. Diabelski młyn przestał się wreszcie kręcić, a on mógł odpocząć. Usiąść, odprężyć się i ustąpić tej niewątpliwej złośliwości losu. Zrobił, co mógł, a szczęście lub pech dokonały reszty. A co musi zrobić teraz? No cóż. To co będzie trzeba.

Spojrzał na mężczyznę na obrazie, który szedł donikąd. Bez celu. Z pustki w pustkę.

A więc zacznij od nowa. Od trzech rozklekotanych „Dakot”, które stały w hangarze. Ale najpierw, postanowił, urznię się do nieprzytomności. Nieco chwiejnie podszedł do baru. W radiu ktoś gadał. Kelley sięgnął po lód.

Dwaj milionerzy, Tom Cubbitt i Zachary David, zostali dzisiaj aresztowani...

Kelley odwrócił się gwałtownie i upuścił kostkę lodu na podłogę.

... schwytani w motelu pod zarzutem importu i handlu kokainą. W pokoju znaleziono walizkę, zawierającą milion osiemset tysięcy dolarów i parę kilogramów wysokiej jakości kokainy. Współpracujący z policją federalną informator Chook D'Aquino...

Z gardła Kelleya wydarł się zwierzęcy ryk.

Adwokat pana Cubbitta twierdzi, że jego klient został podstępnie zwabiony w pułapkę. D'Aquino, który od jesieni pracował dla rządu pod kierownictwem agenta Axtona Chambersa...

Do Kelleya nie docierało już nic więcej. W głowie mu

dudniło, a fragmenty układanki zaczęły nagle pasować jeden do drugiego. Chambers. Rip miał brata, który nazywał się Axton Chambers.

Kelley spotkał go nawet kiedyś na kolacji w klubie „Pod skrzydłami”, gdzie Rip wygłaszał przemówienie. Axton wyglądał jak starzejący się zawodnik, który stracił formę i zaczął tyć. Miał bardzo krótko przycięte włosy i szczękę jak Dick Tracy. Nikt Kelleyowi nie powiedział, że Axton jest agentem federalnym, lecz ilu mogło być facetów o tym nazwisku?

Nie. To nie zbieg okoliczności. Axton Chambers zastawił pułapkę, w którą Kelley miał zostać schwytany.

Mógł nawet wyobrazić sobie, jak do tego doszło. Axton powiedział: „Słuchaj, mam prawdziwą bombę. Użyjemy pewnego gościa, żeby przyskrzynić paru facetów. A najlepsze ze wszystkiego jest to, Rip, że ten gość sprzedaje towar twoim znajomkom”. Rip zapytał wtedy, jakim znajomkom, a Axton wymienił Marcusa i Candy. Rip najpierw zmartwił się, lecz potem coś mu zaświtało. Może nie od razu, ale na pewno w krótkim czasie poskładał wszystko do kupy. Przypomniał sobie, że Kelley woził kiedyś trefny towar. Podobne informacje zapadają głęboko w pamięć. Człowiek przechowuje w głowie takie śmierdzące historyjki na temat swojego największego rywala, aby pewnego dnia wykorzystać je przeciwko niemu.

Rip przypomniał sobie także, gdzie o tym słyszał. Na przyjęciu w Palm Beach u Marcusa Imry'ego. Wtedy kiedy uwodził Mirandę, której mąż przespał się z jego, Ripa, żoną.

Reszta poszła już szybko i gładko. To, że Candy, Zeedee i Karen przyjaźnili się, było publiczną tajemnicą. *Times* pisał o

tym w kronice towarzyskiej. Tędy wiodła droga do Kelleya. Można go było dostać, wykorzystując jego obecną trudną sytuację, która stała się jeszcze trudniejsza po przecieku informacji z raportu o wynikach finansowych firmy. Niezbyt uczciwa przeszłość Kelleya stanowiła dodatkowy atut w ręce Ripa, który pewnie zaproponował Axtonowi: „Mam pomysł. Chcesz jeszcze kogoś uziemić?”

Tak to właśnie miało wyglądać. Chook odgrywał rolę kija, Zeedee piłeczki, a Kelley dołka, do którego piłeczka miała wpaść.

Tyle że to Zeedee, który szczerze chciał pomóc Kelleyowi, dał się złapać. I Cubbitt, który dołączył do Zeedee'ego w ostatniej chwili.

Niech to wszystko szlag.... pomyślał Kelley.

Instykt i przecucie. Symbole i znaki. Powinien im zaufać, a nie zrobił tego. Raz jeszcze jego szczęście pracowało po godzinach.

Zbankrutował, ale był wolny. Wylądował na finansowym dnie, lecz zachował dom. Ocalał. I może był w tym jakiś ukryty sens. Albo znak, jakby wypisany na niebie przez samolot. Duszki powietrzne, które pocieszają pilota, szepcząc mu do ucha: „Hej, stary! Mogło być gorzej”. „Kosmiczna” pociecha. Żart z nieba.

Kelley chodził po mieszkaniu i śmiał się w głos od czasu do czasu, mimo że aresztowanie Zeedee'ego wcale nie było zabawne.

Nagle pomyślał o Claire. I o tych obrzydliwych artykułach, które pojawiły się w gazetach po ich zatrzymaniu przez

szeryfa na Północy. „O, kurczę! Czy i tym razem Claire miała paść ofiarą?” – jęknął w duchu.

Złapał słuchawkę i zauważył, że jego sekretarka automatyczna zarejestrowała aż szesnaście wiadomości. Przewinął taśmę i wcisnął guzik.

„Pan Kelley? Tu Bill Hagen z *New York Timesa*. Jak zareagował pan na poranną decyzję Federalnego Zarządu Lotnictwa? Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że był pan ogromnie zadowolony, lecz chcielibyśmy uzyskać oficjalną wypowiedź. Spróbuję jeszcze raz zadzwonić”.

Kelley nie miał pojęcia, o co chodzi dziennikarzowi.

„Panie Kelley, tutaj Ed De Witt, *Associated Press*. Chodzi o tę niespodziewaną poprawkę do rozdziału jeden przez dwadzieścia do *Przepisów Lotnictwa Federalnego*. Przypuszczam, że uczyni pana sławnym. Prosiłbym o oświadczenie. No i oczywiście moje serdeczne gratulacje”.

Kelley wciąż jeszcze niczego nie rozumiał.

„Pan Kelley? Tu Ann Tobin z miesięcznika *Time*. W sprawie „kellometru”, no... tego wykrywacza wiatru uskokowego. W związku z nowymi przepisami chcielibyśmy przedstawić sposób działania tego urządzenia. Kiedy moglibyśmy się umówić?”

„Tu Kelton Crabbe, *Daily News*. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jaki pan będzie bogaty. Pięćdziesiąt procent od pięćdziesięciu tysięcy dolarów z każdego samolotu, który lata w Ameryce. Ile to daje? Naszym zdaniem blisko miliard dolarów. Jak pan się czuje jako miliarder?”

Kelley pstryknął wyłącznikiem i zapatrzył się tępo w magnetofon. Starał się uświadomić sobie to, co przed chwilą usłyszał.

Przepisy Lotnictwa Cywilnego. Rozdział jeden przez dwadzieścia. Niespodziewana poprawka. Detektor wiatru uskokowego. To znaczy.... pomyślał. No, dalej! Skup się. Poskładaj to jakoś sensownie.

Kilka wypadków lotniczych, których powodem był wiatr uskokowy... W ciągu paru ostatnich tygodni...

Kellometr jest jedynym na świecie detektorem, który można zainstalować w kabinie.

Federalny Zarząd Lotnictwa przyjął poprawkę do przepisów. Zgodnie z nią, każdy samolot musi zostać w ciągu dwięćdziesięciu dni wyposażony w detektor Kelleya. Jedno urządzenie kosztuje pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a Kelley, jako wynalazca, dostaje pięćdziesiąt procent od sztuki.

Czy o to właśnie chodzi?, pomyślał. Tak. Nie. Tak. Nie. Ale niby czemu nie, do diabła? Może dobry los oszalał dzisiaj?

Podkreślił głośniejszym głosem radio. Wszystkie stacje nie mówiły o niczym innym. Wydarzenie podano do wiadomości publicznej, gdy Kelley ciągnął nogę za nogą do baru. Był uratowany. A wraz z nim Blue Sky. Nikt nie ośmielił się teraz zlikwidować jego linii za długi. Banki rozpoczną walkę o to, który z nich udzieli mu następnego kredytu.

Burke M. Kelley. Nowy miliarder.

Spojrzał na mężczyznę z obrazu i wybuchnął szaleńczym śmiechem. Śmiał się, aż łzy zaczęły ściekać mu po twarzy.

Gdy w sobotę wszedł z Claire do restauracji McMullena na wczesny obiad, wszystkie głowy obróciły się ku niemu.

I tu, przy odosobnionym stoliku w rogu sali, czekał go ostatni, niewiarygodny prezent od losu. Siedziała tu grupka mężczyzn, przypominająca postacie z gabinetu figur woskowych. Ashe Warner, Frank Rosetti, Axton i Rip Chambersowie. Wszyscy z ponurymi minami. Pewnie wypłakiwali swe żale nad kuflami z piwem.

– Miałabyś coś przeciwko jeszcze jednemu nagłówkowi w prasie? Tylko jednemu i na tym koniec? – Kelley zwrócił się do Claire?

Niedzielne gazety podały na pierwszych stronach:

PÓŹNYM POPOŁUDNIEM NA MANHATTANIE KELLEY ZNOKAUTOWAŁ CHAMBERSA. PREZES FEDERAL AIRLINES SKARŻY KELLEJA O NAPAŚĆ